

ANNE FRASIER

ŚMIERTELNY SEN

Przekład AGATA KOWALCZYK

Rozdział 1

Z

a trzydzieści minut zakapturzony kat miał zrobić pierwszy zastrzyk z pentotalu sodu. Gdyby to był film, kamera dałaby w tym momencie zbliżenie na czarny telefon na ścianie.

Gdyby to był film.

Od czasu do czasu ktoś w zatłoczonej sali dla świadków zerkał na aparat. Jak na komendę, wiedzione jakimś pierwotnym odruchem oczy pozostałych zwracały się w tę samą stronę. I nikt nie mógł się powstrzymać, choć wszyscy mieli pewność, że telefon nie zadzwoni.

To była Wirginia. W Wirginii o wiele trudniej wygrać apelację niż w innym stanie. I w Wirginii szybko wykonuje się karę śmierci; panuje przekonanie, że skazany nie ma po co gnić w więzieniu.

Albert French, człowiek przypięty pasami do stołu po drugiej stronie grubej szyby, został uznany za winnego ohydneho morderstwa pary mieszkańców Wirginii. Nie był to jego jedyny tytuł do sławy. Popenił zbrodnie jeszcze w trzech innych stanach - w każdym razie o tym wiadomo. Wirginia była po prostu najlepszym miejscem, by szybko i sprawnie wykonać egzekucję. Niektórzy uważali, że trochę zbyt sprawnie.

Agent specjalny Nathan Fury liczył na odwołanie sprawy do chwili, aż Sąd Okręgowy ponownie rozpatrzy zgodę na transmisję egzekucji w Internecie. Nie chodziło o to, że nie pochwałał robienia z egzekucji widowiska; raczej obawiał się wrażenia, jakie bezpośredni przekaz ostatnich chwil szaleńca wywoła na całym świecie.

Teraz widzowie w domach widzieli ładną, jasnowłosą reporterkę z mikrofonem w dłoni, stojącą pod bramą więzienia i odliczającą minuty do chwili przełączenia na kamerę w komorze śmierci.

Większość z dwudziestu pięciu krzeseł dla świadków była zajęta. Ludzie stali też na końcu sali, z założonymi rękami, gapiąc się przed siebie, jakby szyba była ekranem telewizora.

Ktoś trącił Fury'ego w ramię.

Fury oderwał wzrok od skazańca i spojrzał na księdza w sutannie i koloratce. Nigdy dotąd go nie widział.

Ksiądz pokręcił głową.

- Środek przekazu jest wiadomością. Do tego się to sprowadza. Kto to powiedział? - zapytał ksiądz. - Medium jest wiadomością?
- Marshall McLuhan - odparł Fury. - Prorocze słowa, co?
- Ludzie mówią, że mają konstytucyjne prawo do oglądania egzekucji, ale się mylą. Nie wiem dlaczego, ale się mylą- powiedział ksiądz. - W moim przekonaniu człowiek nie musi znać powodu. Właśnie po to mamy sumienie. Żebyśmy nie musieli roztrząsać wszystkiego w nieskończoność, z takiego czy innego punktu widzenia. Jeśli coś jest nie tak, po prostu to czujesz... tu. - Puknął się palcem w brzuch. - W bebechach.
- Moja matka bała się, że to będzie w telewizji i że się na to natknie -odparł Fury. - Wyjaśniłem, że egzekucję będzie można oglądać tylko na komputerze i że musiałyby to zamówić. - Skrzywił się. Zamówić. Jak by to wyglądało na wyciągu z banku? „Zabijanie Ala - 19,95”.

Chore.

Ksiądz ucałował krzyż zawieszony na szyi i ruszył do pierwszego, zarezerwowanego rzędu krzeseł.

French nie życzył sobie wizyty duchownego. Ksiądz miał pewnie nadzieję, że zmieni zdanie w ostatniej chwili i poprosi o rozgrzeszenie. Jeśli nie, i tak będzie się modlił za tego zwyrodnialca.

Niektórzy uważali, że Bóg wybacza zabójcy, jeśli ten żałuje swoich czynów.

Ale nie Bóg Fury'ego.

Nic nie miało sensu, a religia tylko zaciemniała sprawę.

- On ma oczy mojego syna - powiedział starczy, drżący głos.

Po prawej stronie Fury'ego, w miejscu, które zwolnił ksiądz, stała drobniutka, siwa kobieta. Jej policzki pokrywała sieć zmarszczek. Nosiła żółtą opaskę, wskazującą, że należy do rodziny jednej z ofiar.

– Słucham? -

– Fury pochylił się.

Salka wydawała się cicha, ale wsłuchując się uważniej, można było usłyszeć pomruk -jakaś nerwowość z domieszką paniki, która przekładała się na jednostajny szum. Jak w radiu nieustawionym na żadną stację.

- Siedziałam tam z przodu i on na mnie spojrzał. - Kobieta uniosła drobna rękę. - Prosto w oczy. I zobaczyłam mojego syna. Mój syn, którego zabił, patrzył na mnie. - Położyła dłoń na szyi. - Myślałam, że umrę.

Fury szukał w myślach czegoś uspokajającego, co mógłby powiedzieć.

- To chwila ogromnego napięcia - rzucił. - Łatwo się pomylić albo wyobrazić sobie coś, czego naprawdę nie ma.
- Nie, to był on - upierała się kobieta. - Mój syn tam jest. Wewnątrz tego człowieka. Nie wiem, jak to się stało, ale jest. Nie słyszał pan o tym, że morderca zabiera coś swoim ofiarom? Jakiś łup. A ten widocznie zabrał sobie kawałek duszy mojego syna. - Westchnęła spazmatycznie. - Albert French umrze, a ja chciałam jego śmierci. Zasługuje na śmierć. - Jej ramiona zatrzęsły się gwałtownie. - Ale nie wiedziałam, że mój syn jest w środku!

Fury patrzył na nią skonsternowany, nie znajdując słów pocieszenia; kobieta błysnęła nagle białkami wywróconych oczu i zaczęła się osuwać.

Złapał ją, zanim upadła. Schylił się i dźwignął na rękę. Ważyła najwyżej czterdzieści kilogramów, kości obciążnięte pergaminową skórą.

Pojawiło się dwóch sanitariuszy.

Często ktoś ze świadków potrzebował pomocy medycznej. Fury był kiedyś przy egzekucji, podczas której ojciec ofiary zmarł na zawał w tym samym momencie, kiedy przestało bić serce mordercy.

Bardzo niezdrowa impreza.

Na miejscu był lekarz, który miał zbadać ciało Frencha i podpisać akt zgonu. Teraz przedzierał się przez tłum na sali. Kilka osób odwróciło głowy, by zobaczyć, co się dzieje. Reszta nadal wpatrywała się w człowieka za szybą.

Ktoś przytrzymał drzwi. Fury wyniósł biedną kobietę i ułożył na leżance w korytarzu. Odsunął się, żeby sanitariusze mogli robić swoje.

Staruszka dochodziła już do siebie.

Dostanie środek uspokajający i coś, co pomoże jej zasnąć w nocy.

Nic jej nie będzie. Chwilowo. Dopóki nie obudzi się następnego dnia i nie zacznie myśleć.

Egzekucja nie pomaga. Tak mówi większość rodzin. Czekają na ten dzień, łudząc się, że w jakiś sposób złagodzi rozdzierający ból, który nigdy nie wygasa, nigdy nie mija. Ale kiedy jest już po wszystkim, kiedy martwe ciało mordercy jest już zapakowane do worka i zostaje wyniesione, większość ludzi twierdzi, że to nie pomaga. Ból nie znika.

Czekanie na egzekucję było czymś, co pozwalało im funkcjonować. Obietnicą ulgi.

Fury wrócił do sali i znów stanął z tyłu.

Już czas.

French jest sam w komorze śmierci.

Technicy komputerowi kucali nad swoim sprzętem, czekając, by przełączyć obraz z kamery na zewnątrz na obraz z sali.

Pięć minut do północy.

Reżyser dał sygnał, by rozpocząć transmisję.

Światła, kamera, akcja.

Naczelnik więzienia przemówił do skazańca przez interkom.

- Czy chce pan wygłosić ostatnie słowo przed egzekucją? Magnetofon pracował, zapisując rozmowę.

- Czy chce pan pojednać się z Bogiem? - zapytał naczelnik.

French spojrział na tłum, badając wzrokiem obecnych, jednego po drugim. W końcu utkwił wzrok w kamerze.

- Niczego nie żałuję - powiedział wyraźnie. - Zrobiłbym to wszystko jeszcze raz, gdybym miał okazję. Nigdy bardziej nie czułem, że żyję, niż wtedy kiedy zabijałem.

Nadgarstki Frencha przypięto skórzanymi pasami, ale zdołał wygiąć dłoń na tyle, by pokazać światu środkowy palec.

Fury zerknął na czarny telefon na ścianie.

Już czas.

Telefon nie zadzwoni.

French spojrział Fury'emu prosto w oczy. Uśmiechnął się.

Opróżniono pierwszą strzykawkę z pentotalem sodu, usypiając Frencha. Minutę później zawartość strzykawki z pavalonem, środkiem zwiotczającym mięśnie, trafiła do krwiobiegu skazańca.

W sali panowała cisza, Fury słyszał bicie własnego serca.

Wstrzyknięto chlorek potasu.

Czy cierpieli?

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wszystko odbywało się bardzo spokojnie, skazaniec był sparaliżowany. Jeśli nawet czuł ból, nie był zdolny do fizycznej reakcji; nie mógł drgnąć ani krzyknąć.

Dziesięć minut później stwierdzono zgon. Kamera dała zbliżenie na twarz Alberta Frencha. Martwe oczy mordercy były szeroko otwarte - patrzyły w obiektyw kamery, spoglądały z monitorów komputerowych na całym świecie, i zdawało się,

że milcząco wyrażają jakieś pragnienie - zło, którym umierający zarażał żywych.

Martwe oczy były skierowane wprost na Fury'ego i na wszystkich widzów w internetowym świecie.

- Agent Fury? - Młody strażnik podał Fury'emu kopertę. Jego nazwisko wypisano na skos drobnymi, ściśniętymi literkami. - Miałem panu to oddać.

Fury otworzył kopertę i wyciągnął kartkę papieru w linie, złożoną trzy razy. List był napisany tym samym ciasnym pismem.

*Drogi agencie Fury,
może rozbawi pana wiadomość, że to nie ja zabiłem ludzi w Ohio, choć żałuję, że tak nie było. Zabiłem wszystkich innych, ale nie uroczą parę z Ohio.
Szczерze oddany,
Albert French*

Fury powoli złożył list i oparł się o ścianę. Teraz jemu zrobiło się słabo.

French przyznał się do zamordowania Davisów w Ohio. To był jego *modus operandi* od początku do końca.

Fury zwykle wierzył w wyznania na łożu śmierci, ale pożegnalny liścik Frencha mógł być po prostu ostatnią gierką. Ostatnim: „pieprzcie się”.

A jeśli mówił prawdę...?

Oznaczało to, że morderca wciąż jest na wolności.

Rozdział 2

Przyjmowanie drinków od klientów było dobre dla interesu. Wywoływało poczucie zażyłości. Sprawiało, że zamawiali nowe, powstrzymywało ich od wyjścia i wydawania pieniędzy w innym obskurnym barze.

Czasami Arden Davis tylko otwierała piwo i stawiała je przed sobą, po czym wylewała, kiedy klient nie patrzył. A czasami, jak dziś, robiła wszystko, by nadażyć. Jak na razie miała pięć drinków na koncie i dwa następne w kolejce. Jutrzejszy ból głowy gwarantowany.

Stawiał jakiś facet, którego wcześniej nie widziała.

Ale tak to już było. Bar przyciągał miejscowych, ale zjawiali się też samotni mężczyźni, zwykle handlowcy w podróży, zatrzymywali się na drinka i na nocleg, a czasem i na seks, jeśli mieli szczęście.

Mężczyzna, który stawiał jej drinki, był przystojny.

Nie wiedziała, jak się nazywa.

Włosy miał siwe, ostrzyżone tuż przy skórze.

I niebieskie niesamowite oczy. Błękitne spojrzenie niepokoiło ją, a jednocześnie odrobinę podniecało.

Kiedy się zjawiał, pomyślała, że ma około czterdziestki; czarny garnitur wydawał się nie na miejscu w brudnym barze. Kiedy usiadł bliżej na barowym stolku, stwierdziła, że jest młodszy.

Jeden z tych facetów, którzy osiwiali przedwcześnie.

Małe, pustynne miasteczko Artesia leżało w Nowym Meksyku, pół drogi między Roswell i Carlsbadem, przy trasie numer 285. Po wschodniej stronie miasta z pustyni wyrastała rafineria Aztec Oil - moloż z zasmolonej, matowej stali, górujący nad wszystkim, wyrzucający z siebie ciężki, nasycony ropą dym, którym przesiąkało miasto, chyba że wiał wiatr z zachodu.

Można się było przyzwyczaić do zapachu i do otepienia, które leżało się w głowie od tych oparów. W Artesii nie było po co się zatrzymywać, chyba że kogoś zmusił do tego przegrzany silnik lub zmęczenie. W latach siedemdziesiątych miasto doświadczyło krótkiego momentu nieproszonej chwały, kiedy Dawid Bowie przyjechał tu nakręcić *Człowieka, który spadł na Ziemię*. Ekipa filmowa poszukiwała wymarłego krajobrazu i atmosfery ponurej obcości. Wszystko to znaleźli w Artesii.

Kilka miesięcy temu Arden Davis, poszukując miejsca, gdzie mogłaby rozpocząć nowe życie, pojechała drogą, którą wzięła za skrót do El Paso, i wylądowała w Artesii.

Czynsz był niski. Tego dnia wiatr wiał z zachodu, a w miejscowym motelu poszukiwali barmanki. Wydawało się, że to przeznaczenie.

- O której kończysz? - zapytał siwy mężczyzna.

W barze było jeszcze pięć osób. Dwóch facetów grało w bilard; trójka gości siedziała przy stoliku, puszczając z szafy grającej piosenki country, od których aż gniotło w żołądku.

- Przystaję podawać o pierwszej - odparła Arden. - A wyrzucam wszystkich o wpół do drugiej.

Mężczyzna pokiwał głową i kupił kolejne piwo dla siebie i dla niej. Zadzwoił telefon. Po drugim sygnale Arden podniosła bezprzewodową słuchawkę, zalatującą dymem papierosowym i cudzym oddechem.

- Arden? - rozległ się głos na drugim końcu linii. - To ja. Harley.

Harley Larson. Tak jak ona, został zwerbowany do programu OZ, Oczami Zabójcy. Oboje byli agentami FBI, zaledwie kilka lat po studiach. Zaproszenie do udziału w programie było dla nich zaszczytem. A poza tym cholernie ich kręciło.

- Wracam do Wirginii Zachodniej - powiedział Harley. - Na Wzgórze.

Arden poczuła ciężką kulę w żołądku; serce zaczęło jej łomotać. Z opuszczonymi ramionami

wyślizgnęła się przez stalowe drzwi do kuchni, gdzie mogła być sama.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Potrzebują mojej pomocy.

Przez jakieś dziesięć lat Wydział Nauk Behawioralnych FBI był gwiazdą w Quantico. Tworzenie profili osobowości było prawdziwym krzykiem mody i przyniosło sławę specjalistom od profilowania, takim jak John Douglas i Robert Ressler. Ich książki zainspirowały filmowców.

Wydziały policji wysyłały funkcjonariuszy do obozów szkoleniowych FBI, by tam nauczono ich, czym się to je. Z czasem okazało się, że profilowanie ma swoje ograniczenia, a uczestnicy kursów często nie potrafili w praktyce zastosować tego, czego się nauczyli. Zdarzało się, że nawet najstłynniejsi specjaliści z Wydziału Nauk Behawioralnych popełniali pomyłki o bardzo poważnych konsekwencjach.

Posunięto się więc krok dalej i powołano do życia program OZ.

- Nie jedź - jęknęła Arden.

- Ty też powinnaś przyjechać. - Harley się roześmiał. - Będzie jak za dawnych lat.

- Nie mogłabym, nigdy. - Arden starała się zagłuszyć panikę, szukając oparcia w uspokajającym widoku zdechłego neonu i pustej ulicy o kilka kroków przed nią. Obcy, nagi świat, który ścisnął bolesnym smutkiem serce, ale jakimś cudem sprawiał, że czuła się odrobinę żywa.

Nowy Meksyk leżał tak daleko od Wirginii Zachodniej. Tak cholernie daleko, niemal na innej planecie. A już z pewnością w innym życiu.

- Nie mogłabym tam wrócić.

Tutaj mogę oddychać. Przynajmniej oddychać.

- Wszystko w porządku?

Siwy mężczyzna. Zapomniała o nim. Wykasowała go. To jej stały numer -wykasowywanie ludzi. Tak jak wykasowała swojego brata, Daniela.

Jak długo rozmawiała z Harleyem?

Jej czas nie zawsze płynął normalnie. Płynął raz powoli, a raz szybko. W końcu zrozumiała, dlaczego niektórzy ludzie zostawiają na cały rok bożonarodzeniowe dekoracje. Po co je chować, skoro cholerne święta za chwilę znów z piskiem opon wypadną z zakrętu?

- Muszę kończyć - powiedziała do Harleya.

- Uważaj na siebie - odparł. - Na świecie jest pełno złych ludzi. Pożegnała się z nim i rozłączyła.

Do wpół do pierwszej tylko ona i siwowłosy mężczyzna zostali w barze.

- Przyjdiesz do mojego pokoju? - zapytał gość, nie tracąc czasu. - Napić się? Pogadać?

Uśmiechnęła się do niego.

- Zamknę wcześniej.

Była pijana i samotna. Nie na tyle pijana, by się zataczać czy bełkotać, ale na tyle, by nie czuć bólu, a to w końcu przyjemny stan.

Nie zawracała sobie głowy liczeniem utargu. Pieniądze zostawiła w kasie. Mężczyzna pomógł jej uzupełnić lodówkę z piwem i poznosić brudne kufle do zlewu. Postanowiła, że jeśli nie będzie zbyt skacowana, umyje je jutro rano, zanim Linda przyjdzie na pierwszą zmianę.

Pogasiła światła, pozamykała drzwi i włączyła alarm. Razem z siwowłosym mężczyzną w ciemnym garniturze wyszli z baru i ruszyli w stronę pokoi motelowych.

Do jego pokoju.

Motel był piętrowy, z pomarańczowymi drzwiami. Na parkingu stało parę samochodów, w większości z innych stanów. Kilka rodzin w drodze do Jaskiń Carlsbadzkich, a reszta - handlowcy jadący do El Paso.

Nocą Artesia wydawała się inna, zaczarowana. Było cicho jak makiem zasiał, niebo wyglądało jak peleryna z czarnego aksamitu. Arden w życiu nie widywała tylu gwiazd. Daleko za miastem rafineria migotała jak choinka na gwiazdkę.

Weszli do pokoju, mężczyzna zamknął drzwi na klucz i zapiął łańcuch. Nie zapalił światła.

W porządku.

Ciemność jest dobra.

Odsunął zasłonę na kilkanaście centymetrów, by światło z parkingu trochę rozrzedziło mrok.

- Usiądź. - Wskazał jeden z pasiastych foteli przy okrągłym stoliku ze stojącą lampą wmontowaną w blat.

Pokój śmierdzał skisłym dymem tytoniowym z domieszką starego zapachu ciała. W tym tanim pokoju mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej nie na miejscu niż w barze. Równie obco musiał wyglądać David Bowie w miasteczku.

Arden potarła nos i zanotowała w myślach, żeby doradzić właścicielowi zakup odświeżaczy powietrza najlepiej takich wtykanych do kontaktu. Przytrzymywanie krzesłem otwartych drzwi w czasie sprzątania najwyraźniej nie wystarcza.

Spodziewała się, że mężczyzna zdejmie marynarkę i krawat, on jednak usiadł naprzeciw niej przy małym brązowym stoliku.

Może naprawdę chciał tylko pogadać. Cisza narastała.

- Masz coś do picia? - zapytała w końcu Arden.

- Chyba masz już dość. Co takiego?

Zagapiła się na niego, a przynajmniej próbowała. Prostokąt światła z ulicy przecinał stół, oświetlając jego dłoń, spoczywającą na gładkim blacie, ale w tym głębszym cieniu tkwiła jego twarz.

Nie miał obrączki, co wcale nie oznaczało, że nie jest żonaty.

- Często to robisz, Arden? - W jego głosie brzmiała dezaprobata. - Chodzisz do pokoi z mężczyznami, których nawet nie znasz?

Co jest grane? Wyprostowała się, próbując otrząsnąć się z zamroczenia.

- To nie twój interes.

Przez upojenie alkoholowe nagle dotarło do niej, że on nie jest pijany, ale trzeźwy i czujny.

Jak drapieźnik.

Poczuła mrowienie na karku. Musi ostrzec Harleya.

Opuściła rękę do kostki, szukając małego smith & wessona, którego zwykle nosiła. Nie było go tam.

Nazwał ją Arden. Przedstawiała mu się?

Coś tu jest mocno nie tak.

Szybkim ruchem zerwała się na nogi i skoczyła do drzwi. Zanim zdążyła odpiąć łańcuch, był już przy niej; chwycił jej dłoń w twardy, silny uścisk.

Rozdział 3

Arden wbiła łokieć w żołądek mężczyzny i trzasnęła obcasem w jego stopę. Facet stęknął głucho i rzucił się na nią całym ciężarem, przyciskając ją do drzwi.

Mogła go przynajmniej naznaczyć. Zostawić jakiś widoczny ślad dla policji, coś, co wzbudzi podejrzenia. Sięgnęła w górę, by przeorać mu twarz paznokciami. Wiedziała, że wbije je głęboko i zostawi mu bliznę.

- Jestem z FBI - powiedział przez zaciśnięte zęby, w głosie słychać było ból. - Z FBI. Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Pokaż legitymację.

Nadal przyciskał ją do drzwi. Z łomoczącym sercem czuła, jak gorączkowo sięga do kieszeni marynarki. Coś plasnęło o drzwi nad jej głową. Skórzane etui na legitymację. Takie samo, jakie

kiedyś nosiła.

Z trudem rozpoznała znak firmowy, ale nie była w stanie przyjrzeć się zdjęciu ani odczytać nazwiska.

- Nic nie widzę. - Wiedziała jednak, że facet mówi prawdę.

-- Widziałaś dość. - Puścił ją i odsunął się. Włożył etui z powrotem do kieszeni.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na fotel; serce wciąż galopowało jak szalone.

- Czemu po prostu nie powiedziałeś mi, kim jesteś? - Usiłowała zachować pozory spokoju. -

Dlaczego mnie podpuszczałeś i udawałeś, że ci się podobam?

- Mówiłem prawdę. Chciałem pogadać na osobności.

- Daj spokój. Oblaskawiłeś mnie drinkami. Roześmiał się.

- Oblaskawiłem?

Powinna przewidzieć, że to agent. Wszystko było jasne jak słońce.

- Nie mam nic do powiedzenia tobie ani nikomu innemu z firmy. Też usiadł na fotelu.

- Chcemy, żebyś wróciła, Arden.

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, wywołał dziwne uczucie. Ścisnęło ją w dołku. Jakim cudem sprawy przybrały taki obrót?

- Kim jesteś? - zapytała, wpatrując się w niewyraźną sylwetkę, ale nie była w stanie dostrzec niczego w ciemności. Wyciągnęła rękę i zapaliła lampę wprawioną w stół.

Ostre rysy, przedwcześnie posiwiałe włosy. Błękitne, bardzo błękitne oczy.

- Pomyśl o mnie jak o krewnym - odparł. - Wuju Samie. O miłym oficerze werbunkowym.

Skończyłam z firmą. - Najpierw przyszli po Harleya, teraz po nią. Nie umiała logicznie uzasadnić przerażenia i niepokoju, które ją ogarnęły, ale wiedziała, że nie może wrócić.

- Ale firma nie skończyła z tobą. Czy był kimś, kogo kiedyś znała?

FBI uwielbiało różne gierki, a „tajne łamane przez poufne” stało na czele listy. Mogłaś go kiedyś znać.

Znała go?

Może tak. Może nie.

Jej pamięć została skorygowana. Zafałszowana. Wymazana.

Po prostu chcemy, żebyś wróciła - powtórzył spokojnie, rzeczowo. Arden spróbowała wyobrazić sobie siebie w innym miejscu niż to, w którym była w tej chwili. Myśl o tym przerażała ją.

- Jestem zajęta. Mam swoje życie.

Jutro mieli odebrać nową łódźkę do piwa. Za dwa dni wieczorem z Las Cruces przyjedzie gość od punkowego karaoke. Pewnie nie zrobi furory w Ar-tesii, ale Arden cieszyła się na to od miesiąca.

- Obiecałam przyjaciołom, że pomogę im w ten weekend w przeprowadzce.

- Naprawdę odpowiada ci takie życie? - zapytał z przekąsem. - Powiedziałaś komukolwiek z twoich przyjaciół o sobie? O tym, co robiłaś? Kim byłaś?

- Nie chcę, żeby wiedzieli. Nie chcę, żeby stare życie zatruło nowe.

- No to jak mogą być twoimi przyjaciółmi? Przecież nawet nie wiedzą, kim jesteś?

- Nie jestem już agentką. - Dlaczego w ogóle próbowała mu cokolwiek wyjaśniać?

Jak mogą być twoimi przyjaciółmi, skoro nie znają najważniejszych faktów z twojego życia? - zapytał. - I nigdy się nie dowiedzą, co miało i co dalej ma wpływ na twoje życie?

Wiedziała, że egzystencja, którą sobie zbudowała, nie jest prawdziwa. To kartonowa budka, pełna podpórek, których trzymała się kurczowo z powodu ich nudnej zwyczajności. Potrzebowała nudy, pragnęła jej, żywiła się nią. Nuda zawsze i wszędzie - tego chciała.

- To jak spotykanie się z przyjaciółmi co wieczór - powiedział szef, kiedy przyjęła pracę barmanki. - Po prostu gadasz z ludźmi i podajesz im drinki. Wspaniała robota. Bardzo szybko zaczynają cię traktować jak rodzinę, a ty martwisz się, kiedy nie przychodzą i wpadasz do nich, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Żebyś wiedziała, jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną.

Być może przemówiła do niej myśl o rodzinie. Nie miała rodziny. A nie, miała brata, ale jej nienawidził.

- Potrzebujemy twojej pomocy - odezwał się siwy mężczyzna. Roześmiała się głośno, szyderczo. Serce uspokoiło się, kiedy minął pierwszy szok.

- Mojej pomocy? - Czy ma zamiar obudzić jej patriotyzm propagandową gadką, czy tylko naiwnie wymachując flagą? Nie, nie był taki głupi, po prostu wykonywał zadanie.

- Posada królika doświadczalnego przez chwilę była zabawna — powiedziała - ale już mnie to nie kręci.

- Byłaś czymś więcej niż królikiem doświadczalnym. Wiesz o tym, A program został udoskonalony.

A co to za różnica? - pomyślała. Martwi pozostaną martwymi.

- Budynek 25 i komory wyszły już z użytku. Komory... Jezu. Nie chciała o nich myśleć.

Pomysł, na którym oparto program OZ, był prosty. Przy zastosowaniu pozbawiania impulsów zmysłowych i metody zwanej psychicznym naprowadzaniem - termin ten ukuł nieżyjący już doktor Ewen Cameron z Instytutu Allena w Montrealu - badani byli zalewani informacjami na temat wybranych seryjnych zabójców, masowych morderców, osobników ogarniętych szaleństwem zabijania. Sprawiano, by uczestnicy programu zobaczyli świat oczami zbrodniarzy, co pozwalało z wyprzedzeniem określić następny krok danego mordercy.

W Instytucie Badawczym Webbera na Wzgórzu badani wchłaniali w siebie każdy strzęp informacji, jaki dało się wykopać na temat konkretnego mordercy, łącznie z najbardziej trywialnymi opowiastkami z dzieciństwa dostarczonymi przez krewnych, a często przez samego uwięzionego zbrodniarza. Informacjami o dziewczynach, szkołach, samochodach. O życiu rodzinnym. Co się dało.

W Budynku 25, pod uważnym okiem doktora Phillipa Harrisa, badanych zamykano w odosobnieniu i puszczano im nagrane wyznania szaleńców. Mordercy brali ich za rękę i prowadzili przez swoje krajobrazy śmierci, zachęcając, by nawrócili się na kult zła.

- „Przyjmijcie go. Zaakceptujcie jako własnego, prywatnego zbawiciela - zażartował ktoś z programu. - Poznajcie go od środka i od zewnątrz”.

Przynajmniej taki był plan.

Krótko po wdrożeniu projektu odpadło wielu starannie wyselekcjonowanych ochotników; niektórzy już po kilku godzinach izolacji. Ci, którzy pozostali, doświadczały zaburzeń snu i koncentracji, zmian w odbiorze wrażeń przestrzennych i dotykowych, w końcu - i to było najgorsze - tracili pamięć.

Zamiast wczuwać się w psychikę mordercy, gubili swoją i pozbawiali się części siebie.

Ona i Harley zostali. Ona i Harley stali się sztandarowymi postaciami programu. Arden została przez najwykleszy ośli upór. Harley... nie wiedziała, co nim kierowało. Może pragnienie sławy. Bo czy złapanie grubej zdobyczy nie było marzeniem każdego specja od profilowania?

- Obserwowaliśmy cię - powiedział agent.

Te słowa, wypowiedziane bez cienia skrępowania, wytrąciły Arden z równowagi. Poczuli się obnażona.

- Wiemy o wszystkim, co robiłaś.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tego rodzaju praktykami Wielkiego Brata.

- Nie możesz tak dłużej żyć - powiedział łagodnie, z troską, od której nagle ścisnęło jej się gardło i zapiekły oczy.

- O co ci chodzi? - zapytała, starając się opanować. - Znalazłam tu sobie miejsce.

- Nie, tylko odgrywasz czyjąś rolę. Nie widzisz, że weszłaś w życie kogoś innego? Nic poza tym.

- Skąd wiesz, co myślę? Co czuję? Przecież chodzi właśnie o to, żeby wejść w cudze życie? Czy

nie tego mnie uczono? - Wykuła tę lekcję na blachę.

- Zapoznałem się z twoją teczką - powiedział. - Wiem, kim byłaś i kim jesteś teraz.

- Co jest złego w szukaniu nowych dróg osiągnięcia satysfakcji? Widzę ludzi, którzy robią to samo. I są szczęśliwi.

- Nie są tacy jak ty. Nigdy cię nie zrozumieją.

Poczuła w głębi duszy, jak jej lice, papierowe życie traci atrakcyjność, niczym telewizyjny serial, który kiedyś namiętnie oglądała, ale z poczuciem winy, bo doskonale wiedziała, jaki jest kiepski.

Eskapizm.

Przez jakiś czas to zdawało egzamin. Ostatnio czuła jednak, że to, co pozostało z dawnej tożsamości, zaczyna się jej wymykać. Budziła się w środku nocy z uczuciem paniki. Kim była? Kim jest Arden Davis? A jeśli to życie naprawdę stało się jej życiem?

Chciała uciec jak najdalej od tego, kim była. Ale gdy zdała sobie sprawę, że jest skazana na nieustanną harówkę i beznadzieję, że nic się nie zmieni, urok nowości zaczął blednąć.

Zapach siwowłosego mężczyzny wydawał się znajomy, jak znajomy jest zapach stosu okładek starej kolekcji płyt, znalezionych w piwnicy

- Znam cię? - zapytała.

- Nie.

Odpowiedź padła szybko. Czy na twarzy nieznanego pojawił się dziwny błysk? Czy to tylko jej wyobraźnia, kolejne zafalszowanie rzeczywistości?

Wydawał się w jakiś sposób znajomy, a jednak nie był. Przypominał jej kogoś, kogo kiedyś znała w czasach, o których zapomniała, które zostały wymazane z jej pamięci. Nie z okrucieństwa, ale po to, by dać jej szansę na normalne życie, gdyż bolesne, pełne poczucia winy wspomnienia potrafią śmiertelnie okaleczyć. A teraz FBI błagało ją, by wróciła.

Nazywali to wybielaniem. niesprawdzony eksperymentalny zabieg przeprowadzono wyłącznie na niej, bo tego chciała. Ale nie wiedzieli - a ona nie powiedziała o tym nikomu - że wybielanie nie dołądo do końca uciszyć głosu mordercy w jej głowie.

Od momentu opuszczenia ośrodka badawczego w Madeline, marym miasteczku w zakątku Wirginii Zachodniej, wróciło do niej kilka mglistych wspomnień. Niewyraźne przebłyski tego, co było, ohydnych rzeczy, które widziała. Bała się, że pewnego dnia wszystkie wspomnienia wróca. Nie próbowała sobie przypominać.

Nie chciała.

Chciała być zadowolona, należeć do tych ludzi, którzy nie myślą, tylko reagują. Chodzą po południu na promocyjne piwo i darmowe skrzydełka kurczaka. Śmieją się z drętwych dowcipów. Rozpaczliwie pragnęła być taką, ale jednocześnie przez cały czas miała wrażenie, że jej się nie udało - tak jak wiedziała, że nigdy nie przyzwyczai się do pustyni i rafinerii, wyrzucającej kłęby duszącego dymu.

Śmiech.

Rodzice.

Rodzina.

Nie ona. Ktoś inny.

Krew. Tyle krwi.

Ile litrów krwi jest w mężczyźnie? W kobiecie? Dziecku?

- Jesteś siwy... Dlaczego? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Nie jestem tu po to, żeby mówić o sobie.

- Pewnie ukryłeś się w ciemnym schowku, sięgnąłeś do kontaktu, żeby zapalić światło, i zamiast tego złapałeś rękę trupa.

To wywołało krótkie parsknięcie, a w końcu niechętny uśmiech. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął tekturową okładkę ze znakiem linii lotniczych.

- Bilet. - Klasnął okładką o stół. - Masz samolot za dwa dni. Chinka tu, Chinka tam, Chinka gości sprasza nam...

- Nie martw się. Nie lecimy tym samym samolotem. Ja polecę jutro rano.

- Kupiłeś bilet, nie pytając mnie o zdanie? - Nie była kimś, kto dawał się prowadzić na sznurku. Nie przybiegała na pstryknięcie palcami. To jedno wiedziała o sobie na pewno. - Sporo sobie wyobrażasz.

- Spójrz na to tak: możesz wrócić albo dalej podrywać obcych facetów i skończyć jako pozycja w statystykach policyjnych. Wybór jest chyba oczywisty.

- W końcu wszyscy skończymy jako pozycje w statystykach.

- Tylko niektórzy prędzej niż inni?

- Pracujesz w Wydziale Nauk Behawioralnych?

- To się teraz nazywa Narodowy Ośrodek Badania Okrutnych Zbrodni, NOBOZ.

Znów czuła jego zapach.

Zapach tajemniczych drobiazgów zamkniętych w szafie. Pudeł pełnych kieszonkowych powieści, zapleśniałych od wilgoci. Skórzanej rękawicy bejs-bolowej. Kadzidełek i nadpalonych świeczek. Spranych dżinsów i flanelowych koszul.

Cudza przeszłość.

Jego przeszłość. Nie jej.

Chciała, by czas cofnął się o piętnaście minut.

Skasować taśmę i cofnąć ją do początku.

Chciała zapomnieć, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. Poszliby ze sobą do łóżka, on by ją całował, tulił. Odciągnąłby ją od krawędzi.

- French został stracony - oznajmił nagle mężczyzna.

- Wiem. - Czyżby próbował nią wstrząsnąć? - Cały kraj wie.

- Oglądałaś to?

Chciała skłamać, by zmienić tor tej rozmowy, ale domyślała się, że i tak zna prawdę.

- Tak. - Niektórzy twierdzili, że patrzenie, jak zabójca umiera, nigdy nie zamyka sprawy, ale ona poczuła ulgę, kiedy French wydał ostatnie tchnienie. Człowiek, który zabił jej rodziców, przestał istnieć. Może teraz wreszcie wyniesie się z jej głowy.

Agent pokiwał głową.

- Tak myślałem.

Nie chciała, ale nie mogła nie oglądać.

- Tydzień później miało miejsce interesujące wydarzenie - rzucił od niechcenia.

- Tak?

- Morderstwo. - Umilkł na chwilę. - Pewnej wiejskiej rodziny z północno-wschodniej Oklahomy. Sposób działania był identyczny jak u Frencha.

Poderwała gwałtownie głowę.

- Ktoś kontynuuje jego dzieło?

- Być może.

- To dlatego chcecie, żebym wróciła?

- Tak.

Strach ścisnął jej serce. Strach.

Zapomniała już, co to jest strach. Najgorsze uczucie na świecie.

Z niepokojem odniosła wrażenie, że jeszcze nie skończył i że ma w rękawie jeszcze jedną kartę.

- Ale dlaczego ja?-zapytała.

- Byłaś jedną z najlepszych.

- Byłam. - Zaschło jej w ustach, przełknęła ślinę. - To czas przeszły. -Nie mogła wrócić, nie

potrafiła się zmusić do opuszczenia bezpiecznego schronienia na pustyni. - Arden Davis nie istnieje.

Większość ludzi powiedziała by: istnieje, jest tam gdzieś w środku. Zamiast tego przyglądał się jej, jakby milcząco przyznawał, że to może być prawda.

Podniosła sztywną okładkę i wyjęła bilet.

Lot z Albuquerque do Charleston w Wirginii Zachodniej.

Przez głowę przemknęło jej zdanie ze starego serialu: twoja misja, o ile zechcesz się jej podjąć...

Jak się ten serial nazywał? Ojciec go lubił...

Jej umysł zamknął się na głucho.

Schowała bilet do obwoluty i podała go mężczyźnie.

- Nie, dziękuję. Muszę odmówić.

- Jeszcze jedno, chodzi o Frencha. - Spojrzał na nią w wyzwaniem w oczach. Przez ułamek sekundy coś przemknęło przez jego twarz i Arden pomyślała, że początkowo nie chciał jej mówić tego, co zamierzał powiedzieć. - Odwołał zeznania. - Umilkł. - Wyparł się zabójstwa twoich rodziców.

Ogarnęła ją fala mdłości, serce zamarło w piersi. Nie.

Nie chciała w to uwierzyć. Patrzyła w niebieskie oczy nieznanego, szukając w nich kłamstwa.

Nie znalazła.

- Przecież się przyznał. Agent powoli podniósł wzrok.

- Wiem.

- A co z dowodami? Musiały być jakieś dowody.

- Miejsce zbrodni zostało zniszczone przez miejscową policję. To był jeden wielki burdel. Nigdy przedtem nie widzieli tego, co znaleźli tamtego dnia.

A co znaleźli - tego Arden nie pamiętała. Właśnie to zostało wymazane z jej pamięci.

- Zresztą nie potrzebowaliśmy dowodów. Dopadliśmy go już za zabójstwa w Wirginii. I wiedzieliśmy, że Wirginia się nim zajmie i dopilnuje, by nigdy więcej nikogo nie zabił.

Czuła smak strachu. Był metaliczny. A może przygryzła sobie język.

Niech to się już skończy. Niech zniknie.

Za pierwszym razem Arden walenie przyczyniła się do złapania Frencha. Jej profil naprowadził śledczych wprost na niego. Potem próbki DNA i narzędzie zbrodni - nóż rzeźnicki - pozwoliły zamknąć sprawę.

Wtedy jeszcze FBI było dumne ze swojego programu OZ, a media wychwalały Arden pod niebiosa jako superspeca od profilowania.

Była przy aresztowaniu. French, z rękami skutymi za plecami, uśmiechał się szeroko. Żrenice miał szkliste, ogromne.

- Jesteś następna na mojej liście, cukiereczku - powiedział, zanim brutalnie wepchnięto go na tylne siedzenie policyjnego wozu.

Dwa miesiące później uciekł podczas transportu do szpitala, z powodu -jak sądzono - zawału serca.

Nie mogli go złapać przez trzy miesiące.

Wtedy Arden zaczęła naprawdę studiować jego wnętrze. Wślizgnęła mu się pod skórę i zobaczyła świat jego oczami. I wtedy zabił jej rodziców -przynajmniej tak sądzono. Krótco po zabójstwie Davisów został ujęty i przyznał się do zamordowania rodziców Arden.

Teraz nie żył, a morderca być może nadal był wolny.

Dłonie jej się pociły.

- Może kłamał.

- A może nie. Może doznał reinkarnacji i teraz znów zabija w ten sam sposób.

Nie mogła oderwać wzroku od niebieskich oczu agenta.

- A jeśli French nie zabił twoich bliskich? - zapytał.

- Chcesz, żebym wróciła i pracowała nad sprawą moich rodziców? Zwariowali? Chcą ją doprowadzić do kompletnego, samobójczego szaleństwa? To jak prośenie lekarza, żeby przeprowadził operację na otwartym sercu własnej żony. Albo pracownika firmy pogrzebowej, żeby zabalsamował swoje dziecko.

A on po prostu stał, patrząc na nią, nagle dziwnie smutny. Nie mogą tego zrobić. Nie mam tyle siły.

- Przykro mi.

Chyba naprawdę było mu przykro.

Współczucie, prawdziwe czy nie, sprawiło, że łzy zapiekły pod powiekami.

- To musi być ktoś inny. Harley. Co z Harleyem Larsonem?

- Byłaś lepsza od Harleya.

Twierdził, że wie o niej wszystko, ale najwyraźniej nie wiedział.

Teraz jestem wrakiem. Nie widzisz tego? Nie rozumiesz?

Rodzice zginęli z jej winy, to ona sprowadziła mordercę do domu. Wciąż by żyli, gdyby nie zaangażowała się w projekt.

Ale jeśli to nie French ich zamordował...? Co to oznaczało? Co to oznacza, do diabła? Przecież ich śmierć musiała mieć z nim jakiś związek. I z nią. To byłby za duży zbieg okoliczności, to nie mógł być przypadek.

Wyciągnęła rękę, niewiele widząc przez łzy napływające do oczu.

- Dawaj ten cholerny bilet.

Rozdział 4

Nathan Fury leżał na wznak na podwójnym łóżku, z laptopem na kolanach, cały czas czując obecności Arden Davis o kilka pokoi dalej.

Miał nadzieję, że zdoła ją przekonać do powrotu, nie mówiąc o ostatnim wyznaniu Alberta Frencha. Nie chciał jej tym obarczać, w każdym razie nie teraz, nie tak szybko. Wolałby poczekać, dać jej czas, aż przyzwyczai się, że z powrotem jest na Wzgórzu.

Ale ona w typowy dla siebie sposób nie chciała się ugiąć i musiał dokręcić jej śrubę do samego końca.

Nieprędko zapomni wyraz jej twarzy w chwili, kiedy jej to powiedział. Było w nim niedowierzanie, ból, wyparcie, akceptacja. A potem znów ból.

Wszyscy w firmie uważali ją za stracony przypadek. Ofiarę wojny. Miał nadzieję udowodnić im, że się mylą.

Znał podstawowe fakty dotyczące Arden Davis.

Miała trzydzieści lat, metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, ważyła sześćdziesiąt trzy kilo. Rude włosy i zielone oczy.

Wiedział, kim Arden Davis była kiedyś.

Ulubione książki: *Buszujący w zbożu* i *Obcy w obcym kraju*.

Ulubione filmy: *Nocny kowboj* i *Ptaki*.

Ulubiona muzyka: Pogues, Waterboys i Neil Young. Znała na pamięć słowa *Heart of Gold* i *Fairytale of New York*.

Wiedział o wypadkach w dzieciństwie, takich jak złamanie ręki podczas jazdy na łyżwach na stawie za farmą. Wiedział, jak bardzo była zżyta z babcią, i to, że śmierć babci wpędziła ją w głęboką depresję, trwającą ponad rok.

Davis lubiła i koty, i psy, ale była raczej psiarą. Miała czarnego psa o imieniu Zeke, który sypiał

w nogach jej łóżka i dotrzymywał jej towarzystwa, gdy chorowała na wietrzną ospę. Ospę złapała w szkółce niedzielnej od dziewczynki imieniem Molly. Matka Molly twierdziła, że córka już nie zaraża, i mała zjawiała się w kościele pokryta strupami i śmierdząca gorączką. A kiedy tak siedziała w podziemi kościoła, zarażając wszystkich na prawo i lewo, jej matkę przyłapano, jak pieprzy się z jakimś gościem w toalecie pobliskiej stacji benzynowej.

Nie ma to jak życie w małym miasteczku.

Swego czasu Davis potrafiła piekielnie szybko biegać. W drużynie lekkoatletycznej w średniej szkole zdobywała nagrody za biegi długodystansowe. Zawsze była wysportowana i nic dziwnego, że wybierała biegi długodystansowe, które polegały na indywidualnej rywalizacji, a nie na grze w drużynie. Żadnej koszykówki ani siatkówki. Sporty drużynowe nie były w stylu Arden Davis ani wtedy, ani teraz.

Wiersze, które pisywała w czasach smutków i rozterek.

Pierwszy chłopak. Potem drugi i trzeci. Gwałt na randce w college'u, kiedy straciła dziewictwo.

Pamiętniki, które z przerwami prowadziła w gimnazjum, liceum i przez jakiś czas w college'u.

Morderstwo z zeszłego grudnia, które doprowadziło ją do obecnego stanu.

A potem zgłoszenie na ochotnika do wybielania.

Była albo cholernie odważna, albo cholernie zdesperowana. A pewnie jedno i drugie.

Gdyby Fury miał możliwość wyboru, znalazłby w przeszłości takie rzeczy, które chciałby wymazać. Nie da się jednak przewidzieć, co zniknie, a co zostanie - choć uważał, że wybielenie Arden Davis miało coś wspólnego z jej własnym podświadomym pragnieniem zapomnienia, było podobne do amnezji wywołanej szokiem i traumą.

Zapomniała o tych wydarzeniach i ludziach, o których chciała zapomnieć - z kilkoma dodatkowymi dziurami w pamięci.

W teczce Fury'ego znajdowały się zdjęcia Arden, a także fotografie jej rodziny, przyjaciół, współpracowników, zwierzaków - niektóre należały do FBI.

Zaczął je przerzucać.

Fotki z urodzin. Zdjęcie zrobione na podwórku białego piętrowego domu na wsi, w Ohio, na tle lśniącego czystością traktora marki John Deere. Roczna Arden w falbaniastej sukience i skarpetkach z falbanką. Zielone, uważne spojrzenie, dziwne u tak małego dziecka.

Trzynastoletnia Arden z Zekiem.

Idylliczne życie. Właśnie takie, jakie lubił niszczyć Albert French - i jego naśladowcy.

Na nowym zdjęciu, zrobionym przez teleobiektyw zaledwie kilka miesięcy temu, proste rude włosy Arden były tak jaskrawe, że wyglądały na ufarbowane.

Fury patrzył na zdjęcia próbując połączyć zielonookie dziecko z kobietą baru.

Dwie różne osoby.

Zawsze mówił: jesteś tym, co pamiętasz. Jeśli była to prawda, kim jest Arden Davis?

Wyciągnął kolejne zdjęcie.

Arden i ciemnowłosa mężczyzna nad brzegiem górskiego strumienia. Siedzieli na kocu; obok nich stał koszyk piknikowy, w rękach trzymali kieliszki z winem. Ustawili samowyzwalacz i postawili aparat na pniaku. Krótco po zrobieniu tego zdjęcia kochali się.

Wiedział, że się kochali, bo to on był mężczyzną ze zdjęcia. Mężczyzną z Arden Davis.

Mężczyzną, którego wykasowała z pamięci.

Rozdział 5

Z okna podchodzącego do lądowania boeinga 757 Arden patrzyła na lotnisko Yeagera w Charleston w Wirginii Zachodniej. Koła samolotu wydały ostry dźwięk, wchodząc w kontakt z ziemią.

Ublagała swoją zmienniczkę, Lindę, by przed świtem podwiozła ją do Roswell. Stamtąd pojechała autobusem do Międzynarodowego Portu Lotniczego w Albuquerque, skąd miała lot z przesiadką; przed ostatnim etapem podróży spędziła dwie godziny w Cincinnati. To był łatwy etap. Teraz musiała się dostać do Madeline, miasteczka w Wirginii Zachodniej, przy którym Artesia wyglądała jak metropolia. Do Madeline nie

było samolotów, raptem kilka autobusów. Z doświadczenia wiedziała, że każdy środek transportu do tego oddalonego zakątka jest mocno przypadkowy, a jazda, która w teorii powinna trwać dwie godziny, często zamienia się w całodzienną przygodę. Wynajęcie samochodu wydawało się najbardziej sensowne.

Podchodząc do karuzeli z bagażami, zauważyła młodego człowieka z kręconymi, jasnymi włosami, trzymającego tabliczkę z jej nazwiskiem, wypisanym flamastrem.

Przysłali po nią kogoś.

Idiotycznie pomachała do młodzieńca.

Chłopak otworzył usta, przechylił głowę i w końcu uśmiechnął się szeroko. Szedł w jej stronę, wciąż wystawiając tabliczkę; nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi, i opuścił znak.

- Hej. - Wyciągnął rękę. - Jestem Eli. Miał silny, ale wilgotny uścisk.

Gapił się na nią trochę za długo, z wyrazem twarzy, który Arden nazwałaby uwielbieniem dla bohaterki, gdyby była na tyle głupia.

Musiała jeszcze raz spojrzeć na tabliczkę, by się upewnić, że naprawdę widnieje na niej jej nazwisko.

Bagaż wyskoczył z leja, podeszła więc do taśmy, by go zdjąć.

- To twoje? - Eli złapał szelkę wielkiego zielonego marynarskiego worka i wydał z siebie głośne, zdumione stęknienie, zdejmując go na podłogę.

Był jednym z tych wysokich, patykowatych chłopaków, którzy nie odchodzą od komputera i wydają się składać wyłącznie z chudych rąk i nóg. Miał na sobie dzinsy i pomarańczową za ciasną koszulkę. Dziesięć lat temu pewnie namiętnie grywał w lochy i smoki.

- Przepraszam, że to takie ciężkie. - Nie miała zbyt wiele, ale kiedy cały dobytek wpakuje się do jednego worka, ten worek może sporo ważyć. - No. - Złapała bliższy uchwyt. - Ty weź tamten koniec, ja ten.

Z workiem pomiędzy nimi niezręcznie poczapali do wyjścia.

Eli jeździł małym, zardzewiałym, kremowym kombi, z bagażnikiem oblepionym nalepkami zespołów. Głównie z nurtu Emo, takich jak Dashboard Confessional i Alkaline Trio.

Dźwignęli worek do bagażnika. Eli wrzucił do środka tabliczkę z nazwiskiem, zatrzasnął klapę i pojechali.

Po pięciu minutach jazdy zanurzyli się w pagórkowaty, wiejski krajobraz Wirginii Zachodniej.

Jechali wąską drogą, wijącą się jak serpentyna między gęstymi zagajnikami, pełną znaków ostrzegawczych przypominających znaki zapytania.

Arden spojrzała na zegarek, w nadziei, że zażyta przez nią dramamina jeszcze działa.

- Żałuj, że nie byłaś tu dwa tygodnie temu. - Eli zahamował przed ciasnym zakrętem. - Kolory były fantastyczne. Ale potem zaczęło padać i już jest po wszystkim.

Dzień był szary; pnie drzew połyskiwały czarno, gałęzie były nagie, z wyjątkiem kilku bardziej wytrzymałych gatunków. Ziemią pokrywała gruba warstwa opadłych, żółtych liści. Arden czuła wilgotny zapach próchnicy, sączący się przez wywietrzniki.

Eli był zdenerwowany i za dużo gadał.

Powiedział, że on i jego przyjaciele pracują dorywczo na Wzgórzu, próbując zarobić na college.

Wszyscy tam na nią czekają i ktoś ją oprowadzi i wtajemniczy we wszystko, kiedy przyjadą.

- Ja i moi przyjaciele... nie pracujemy w programie OZ. Jesteśmy królikami doświadczalnymi

innego, pobocznego projektu.

- Jakiego?

- Słuchamy muzyki, żeby sprawdzić, czy to poprawia pamięć. Takie tam. Kiwnęła głową. Był taki młody, pełen entuzjazmu i energii.

Mniej więcej w wieku Daniela...

Kilka razy próbowała dzwonić do brata. Podnosiła słuchawkę i wybierała numer z przeszłości. Ze świata i życia, które już nie istniały.

Za pierwszym razem nie była w stanie mówić. Otworzyła usta, ale nic z nich nie wyszło - a Daniel czekał na drugim końcu linii, z każdą sekundą coraz bardziej wkurzony.

Następnym razem usłyszała, że numer został odłączony.

Po prostu tam pojedą, pomyślała. Do hrabstwa Lake w Ohio. Lepiej będzie pojechać. Spotkać się z nim twarzą w twarz, bo rozmowa telefoniczna to za mało. Rozmowa telefoniczna niczego nie naprawi.

Tego się nie da naprawić.

Nie możesz tego naprawić.

On nie może naprawić.

Co się stało, to się nie odstanie, martwi pozostaną martwymi.

To nie były jej myśli, tylko cudze. Pozostałości Alberta Frencha, który nie chciał zniknąć z jej głowy.

Czasami myślała o Frenchu jak o chmurze dymu wirującej w czasie, wciskającej się głęboko w szczeliny i zagłębienia, w miejsca, gdzie lubiły się ukrywać myśli...

Paplanina Elego była jak brzęczenie w uchu, niezawierające wyraźnych słów, które można by było zamienić na obrazy. Gorsze niż szum motoru, ale nie tak uciążliwe jak muzyka z radia samochodowego.

I nagle pojawiły się znaki.

MADELINE 30 KM

Znaki sprawiły, że cel stał się rzeczywisty.

MADELINE 25 KM

Kiedy minęli tablicę MADELINE 10 KM, Arden wyprostowała się na siedzeniu i spięta, lekko pochyliła do przodu.

Dziesięć kilometrów w wiejskich okolicach Wirginii Zachodniej to jak czterdzieści gdzie indziej. Zdążyła o tym zapomnieć. Zdążyła zapomnieć, jak długo może trwać jazda z punktu A do punktu B.

Wieczność.

Szczególnie kiedy serce ci wali jak szalone, a ty nie chcesz dojechać do miejsca przeznaczenia.

Minęli szczyt ostatniego wzgórza.

I oto miasto. Oto Madeline. Takie śliczne, przytulne i niewinne. Czerwona cegła i wieże kościelne przezierające spomiędzy kęp drzew. Byłaby z tego ładna pocztówka.

Miasteczko leżało w głębokiej dolinie otoczonej wzgórzami. W filizance, jak mawiali mieszkańcy, w której odległość od krawędzi do krawędzi wynosiła zaledwie kilkanaście kilometrów.

Oślonięte. Chronione. Izolowane.

Spojrzenie Arden powędrowało przez dolinę, w stronę urwiska górującego nad miastem.

Zakład odpowiedział spojrzeniem, od którego podskoczyło jej serce.

Przyłożyła dłoń do piersi i poczuła szybkie, nierówne bicie. Czy ja oddycham? Zdaje się, że nie oddycham.

Otworzyła usta i wciągnęła powietrze, a potem wypuściła je. No. Lepiej.

Eli skręcił w lewo, wjechał na nową obwodnicę i skierował prosto na Wzgórze.

Gdyby Arden prowadziła, zjechałaby z drogi. Zatrzymałaby się.

Czy nie wyjechała z Nowego Meksyku raptem dwie godziny temu?
Spojrzała na zegarek. Nie dwie. Osiemnaście. Osiemnaście godzin od chwili, kiedy po raz ostatni stała pod czarnym, aksamitnym, wygwieżdżonym niebem, wdychając dym rafinerii.
Tutaj jest złe miejsce.

Wiedziała to już wcześniej, ale teraz, kiedy wjeżdżali krętym, stromym podjazdem przy akompaniamencie znajomego, ostrego odgłosu opon ślizgających się na mokrej cegle, potrzebowała całej siły woli, by nie wyskoczyć w biegu.
Wszystko działo się za szybko. Trzeba trochę spowolnić bieg spraw, odwrócić uwagę.
Zauważyła mężczyznę w kraciatej, wełnianej kurtce, prowadzącego czarnego labradora na czerwonej, nylonowej smyczy.

Psy. Czy jej życie jeszcze kiedyś będzie normalne? Na tyle normalne, by mogła mieć psa?
Może kot byłby lepszy niż pies. I to więcej niż jeden kot, tak żeby dotrzymywały sobie towarzystwa, gdyby wyjechała na parę dni.

Ale tak naprawdę lubię psy...

Tyle że psy mają o wiele większe potrzeby. Oczekują od ciebie różnych rzeczy, chcą cię uszczęśliwiać i nie podoba im się, kiedy leżysz cały dzień w łóżku. Koty wręcz przeciwnie, dla nich taki łózkowy dzień to czysta frajda.

Psy lubią się bawić.

Arden nie mogła sobie wyobrazić, że się bawi. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby rzucać piłkę, a potem przybierać ten radosny, entuzjastyczny ton, kiedy pies przynosi zabawkę.

Czy naprawdę kiedyś to robiła? Tak, kiedyś tak.

Głos Elego wciągnął ją z powrotem w rzeczywistość, od której próbowała uciec.

- Pamiętasz to?

Pytanie dało jej do myślenia. Jak dużo o niej wiedział?

- Tak.

Wrażenie, jakie wywierał widok Wzgórza, odcisnęło się w jej umyśle na stałe i nigdy nie zbladło. Wybielanie nie dało rady go usunąć.

Zakład był ogromny. Przypominał miasto, a przynajmniej duży kampus. Od frontu pysznił się wypiełgnowanymi ogrodami, pełnymi fontann, łabędzi i gęsi; mieszkańcy miasta przychodzili tu w weekendy na piknik. Cegłę, z której powstały budynki, wypalano na miejscu, z tej samej gliny, po której teraz jechali.

Eli skręcił w kierunku głównego budynku.

Ze swoimi czterema piętami, potężnymi kolumnami i szeroką klatką schodową wyglądał jak wzięty żywcem z wyciskacza łez z Natalie Wood, *Wiosenna bujność traw*.

Mama uwielbiała ten film.

Nie myśl o niej. A już na pewno nie tutaj.

Ten cud architektury nazywano Budynkiem 50, co zawsze wydawało się Arden bez sensu, jako że był to największy gmach i ośrodek zakładu. Powinien się raczej nazywać Budynkiem 1. Ale wyglądało na to, że im wyższy numer, tym większe znaczenie.

Zakład był jednym z przejawów trendu, który rozpowszechnił się w XIX wieku. W krótkim czasie w małych miasteczkach rozsianych po całych Stanach powstało niemal dwieście szpitali dla umysłowo chorych. Powalające urodą i spokojem budynki i tereny zaprojektowane zostały przez Thomasa Kirkbride'a, wizjonera i lidera reformatorskiego ruchu w leczeniu.

Wszystko tu było estetyczne. W każdym razie było kiedyś, zanim środki farmakologiczne stały się głównym elementem leczenia, a pacjentów wykopano na ulicę. Szpitale zamknięto, skazując budynki na całe lata zaniedbania.

Wysokie, wąskie okna przecinały fasadę, imponujące i dostojne; każda rama okienna w innym

stylu, wyposażona w ozdobne, kute kraty. Ich widok przytłaczał i obezwładniał nawet osobę bardzo zrównoważoną.

Po obu stronach od wejścia rozciągały się dwa skrzydła, niegdyś rozdzielone i przeznaczone osobno dla mężczyzn i dla kobiet. Za nimi znajdowały się budynki, mieszczące swego czasu kuźnię, elektrownię, piekarnię, zakład tapicerski, gabinety lekarskie i szpital, pyszniący się swoim oddziałem położniczym i salą operacyjną.

W późniejszych czasach Stanowy Zakład dla Obląkanych w Madeline przemianowano na Centrum Zdrowia Psychicznego w Madeline, ale większość miejscowych nazywała go po prostu Wzgórzem.

Miejsce, które kiedyś było oazą spokoju dla strudzonego umysłu, teraz trudno było nazwać spokojnym. Cały teren tętnił życiem. Zakurzone ciężarówki budowlane stały zaparkowane gdzie popadnie. Ściany i okna przesłaniały rusztowania i półprzezroczysty plastik. Robotnicy z młotkami, dłutami i wiertarkami usuwali stary tynk, by zastąpić go nowym.

Za tym wszystkim, zasłonięty budynkami i ogrodami, stał Budynek 25.

Eli zatrzymał samochód przed kolumnowym frontem Budynku 50, w pobliżu starych, kamiennych schodów. We dwójkę wyciągnęli worek marynarski z bagażnika i wnieśli po schodach na próg dwuskrzydłowych drzwi.

Eli puścił worek, wyprostował się i stał niezdecydowany. Arden czekała, spodziewając się, że sobie pójdzie.

„Długie pożegnanie” - właśnie tak Arden nazywała ten niezręczny moment, kiedy bohaterowie powinni się rozstać, ale wydawało się, że wypadaloby coś jeszcze powiedzieć.

Nie chciała, żeby odchodził. Nie chciała odwrócić się i wejść przez te drzwi sama.

Napiwek. Pewnie czekał na napiwek. Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła kilka banknotów. Eli zamachał ręką. Nie chciał pieniędzy.

Był takim słodkim dzieciakiem. Kiedy tak stał, przypominał jej Daniela.

A ona? Wszystko przypominało jej o bólu. To nie *fair*, to nie tak miało działać. Wybielanie powinno zlikwidować ból. Bo co z niego za pożytek, jeśli tego nie zrobiło?

W końcu Eli odszedł. Zszedł po schodach do samochodu.

Patrzyła, jak odjeżdża. Zamiast zawrócić, pojechał dalej, zapuszczając się głębiej na teren zakładu. Było wiele bram wyjazdowych.

Kiedy samochód zniknął Arden z oczu, złapała worek i powlokła go za próg, przez dwuskrzydłowe drzwi. Na jej spotkanie wyszła kobieta, która przedstawiła się jako Victoria. Była wysoka i chuda, miała ciemne, kręcone włosy i umalowane czerwoną szminką usta.

Arden poszła za nią do małego biura, przylegającego do holu.

- Umieścimy panią na trzecim piętrze, w dawnym żeńskim skrzydle - wyjaśniła Victoria. - Ma pani stamtąd ładny widok na park i miasto. Zdaje się, że kiedy była tu pani przedtem, te pokoje były zamknięte, ale Wzgórze się zmieniło i dawne męskie skrzydło stanowi teraz niezależną część mieszkalną z całodobową opieką.

Dom starców? Kiedy Arden była na Wzgórzach, uczestnicy projektu zamieszkiwali dawny Szpital Miłosierdzia, przylegający do Budynku 25. Ucieszyła się, że teraz jej kwatera będzie daleko od niego.

Wiele lat temu, by uchronić zakład od całkowitej ruiny, miasto kupiło go za dolara. W zamian za to rada miejska zgodziła się przywrócić mu dawną świetność i by zdobyć pieniądze na remont, zaczęła wynajmować poszczególne budynki. Niektórzy lokatorzy prawdopodobnie się zmienili, ale w czasach Arden większość pomieszczeń zajmowała klinika psychiatryczna z gabinetami lekarskimi i skrzydłem psychoanalizy.

- Wstępna konsultację z doktorem Harrisem ma pani jutro rano, o ósmej trzydzieści. - Victoria wyciągnęła skądś skserowaną mapkę i zakreśliła czerwonym pisakiem jeden z budynków. - Wyjdzie pani frontowymi drzwiami i pójdzie w prawo aleją Klonową. Instytut Badawczy

Webbera w Szpitalu Miłosierdzia będzie po lewej, tuż za elektrownią i kuźnią. Arden z bijącym sercem wpatrywała się w prostokąt z napisem BUDYNEK 25. Agent FBI powiedział, że go zamknięto i że już go nie używają. Dodał jednak, iż krążą pogłoski, że jest połączony tunelem ze Szpitalem Miłosierdzia.

- A Budynek 25? - Głos Arden rozległ się echem. Miała wrażenie, że obszerne pomieszczenie wypełnia się ponurymi obrazami z przeszłości.
- To administracja. Ale większość budynku jest nieużywana. Chyba jest przeznaczony w następnej kolejności do renowacji.

Poczuła ulgę.

- A co z Harleyem Larsonem? - Musi się zobaczyć z Harleyem. Harley był jedyną osobą, która to rozumiała. Przeszedł przez to samo, co ona.

Victoria zmarszczyła brwi.

- Pan Larson był tu, ale nie został. Arden znów zeszytniała.

- Wyjechał. O ile wiem, po dwóch godzinach.

- Dlaczego?

Victoria pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. - Wręczyła Arden ciężki, mosiężny klucz, wygładzony od użycia.

Klucz. Nawet motel w Artesii dorobił się kart magnetycznych.

- Niestety w tej chwili działa tylko główna winda. Oczywiście oprócz wind służbowych.

Dlaczego Harley wyjechał? Czy powrót był dla niego zbyt ciężkim przeżyciem? A może nie przyjęto go do programu? Może jej też nie przyjmą?

Cały czas myślała, że po przyjeździe będzie miała oparcie w Harleyu, że znów będą zespołem.

Pociągnęła worek przez czarno-białą szachownicę podłogi do zabytkowej windy, wcisnęła guzik i czekała.

Gdy mosiężne drzwi otworzyły się spazmatycznie, okazało się, że w kącie windy stoi zasuszone staruszka.

- Co dzisiaj podają? - zapytała głośno. - Mam nadzieję, że nie indyka z tłuczonymi ziemniakami. Szurając nogami, wyszła z windy. Rozejrzała się.

- Gdzie się podziała jadalnia? - zapytała, jakby oskarżała Arden, że ją zwędziła.

Arden wtaszczyła worek do windy. Było w niej gorąco i duszno. Obok czarnego, okrągłego przycisku sutereny widniała pożółkła nalepka z napisem JADALNIA.

- W suterenie - wyjaśniła Arden.

- He?

- Jest pani na złym piętrze. - Tym razem mówiła głośniejszym głosem.

- Naprawdę? - W oczach staruszki błysnęła panika. - Ojej.

Arden przytrzymała guzik otwierający drzwi i kobieta wsiadła z powrotem do windy.

- Moja synowa zwabiła mnie tu podstępem - powiedziała staruszka. - Twierdziła, że to tylko na tydzień, żeby mogła pojechać na wakacje. Siedzę tu już sześć miesięcy. Nie mam samochodu.

Zresztą i tak nie mogę jeździć. No i gdzie bym pojechała? Sprzedali mój dom. Nie mam już domu. - Spojrzała na Arden przejrystymi, jasnymi oczami. - Dlatego tu jesteś? Przyjechałaś odwiedzić teściową, którą ściągnęłaś tu podstępem?

- Nie, mieszkam w żeńskim skrzydle. I nie mam tu żadnych krewnych.

- No i dobrze. Nazywam się Vera Thompson. Pewnie myślisz, że Vera to staroświeckie imię.

- Ja jestem Arden.

Vera rozejrzała się wokół siebie z tą nagłą niecierpliwą irytacją, jaką często okazują starsi ludzie.

- Wcisnęłaś guzik? - Wskazała go palcem. - Wcisnij guzik.

Arden wcisnęła. Trzęsąc się i podskakując, zjechały do sutereny. Drzwi się otworzyły.

- Indyk - mruknęła Vera, wychodząc z windy; wyglądało na to, że kompletnie zapomniała o Arden, kiedy jedzenie pojawiło się na horyzoncie. - Nie cierpię indyka. - W ostatniej chwili się odwróciła. - Zamykaj drzwi na klucz, zanim się położysz. Ludzie-cienie przez całą noc biegają tam i z powrotem po korytarzach. - Oblizwała suche wargi. - A jeśli ktoś ci powie, że zabiera cię na tydzień do domu opieki, nie wierz w to.

Drzwi windy zamknęły się. Arden z radością uciekła na trzecie piętro.

Okazało się, że Victoria trochę naciągnęła prawdę. Rzeczywiście dwa okna jej pokoju na trzecim piętrze wychodziły na frontowy podjazd, ale wysokie na dwa metry szyby w drewnianych ramach nie były myte od lat i prawie nic nie było przez nie widać. A drzwi nie miały ani łańcucha, ani zasuw.

Skąd się ci ludzie urwali? Wydaje się im, że w małych miastach nie zdarzają się poważne przestępstwa? Niektóre najbardziej krwawe i przerażające morderstwa miały miejsce właśnie w takich sennych, idyllicznych miasteczkach środkowych stanów.

Pokój zalatywał starością. Drewno i tynk wchłonęły i skondensowały w sobie powietrze prawie stu pięćdziesięciu lat. Żadna ilość farby, wosku do mebli czy sosnowego odświeżacza nie była w stanie zamaskować tego zapachu.

Na kartce, na stoliku obok łazienki, widniała lista miejscowych atrakcji. Za dodatkową opłatą można było zjeść na dole indyka. W podziemiu znajdowały się też automaty z kawą i słodyczami.

W pokoju stało pojedyncze łóżko, starannie przykryte gładką beżową narzutą. Arden zajrzała do łazienki. Wanna na nóżkach, otoczona białą plastikową zasłoną prysznicową. Czysta umywalka. Czyste ręczniki. Świeża, nie-rozpakowana kostka mydła.

Wróciła do pokoju i przejrzała szuflady biurka. Puste, z wyjątkiem Biblii dostarczanej przez stowarzyszenie Gideons. Ci to się wszędzie wcisną.

W pokoju było duszno.

Arden odczepiła haczyk jednego z okien. Otwierało się jak dwuskrzydłowe drzwi, do środka, odsłaniając kratę z kutego żelaza.

Wieczne powietrze ochłodziło twarz Arden, ale nie złagodziło jej klaustrofobii. Robotnicy budowlani poszli już do domu, na parking stało zaledwie kilka samochodów.

Zapadał zmierzch.

Musi się stąd wyrwać. Tylko na chwilę, powiedziała sobie.

Z kluczem w jednej kieszeni, pieniędzmi i dowodem w drugiej, zeszła schodami, by nie ryzykować spotkania z pensjonariuszami wracającymi po kolacji do pokoi.

Hol był pusty, małe biuro Victorii zamknięte.

Arden wyszła pospiesznie przez frontowe drzwi, zbiegła po szerokich schodach. Nie było chodnika. Przebiegła trawiastą przestrzeń, trzymając się cieni budynków i iglastych drzew.

Już to kiedyś robiłam.

Ale nie sama.

Ktoś z nią był. Mężczyzna. Ciemnowłosa mężczyzna, którego imienia i twarzy nie pamiętała. Harley? Może to był Harley.

Biegli w dół zbocza, tłumiąc śmiech, podekscytowani i uradowani, że wyrwali się z budynku. Był koniec lata.

Świerszcze grały, świetliki migotały w ciemniejszych miejscach pod drzewami.

Wiele lat temu pacjenci uprawiali ziemię. Doili krowy w mleczarni i zbierali jabłka w sadzie. Na spadzistym zboczu, o wiele za stromym na pastwisko czy pod uprawę, chowani byli zmarli. Nie było prawdziwych nagrobków, tylko rzędy numerków, wrytych na ustawionych pionowo, wąskich, granitowych słupkach. Numery przypisywano do nazwisk i notowano ręcznie w specjalnej księdze.

Tamtej nocy, biegnąc po stoku z ciemnowłosym mężczyzną, Arden potknęła się o jeden z kamieni i upadła.

Mężczyzna przysiadł obok niej i razem patrzyli w gwiazdy.
Arden zwolniła, zatrzymała się. Spojrzała w górę. Dziś niebo było zachmurzone i nie było widać gwiazd.
Tamtej nocy, kiedy uciekli, mężczyzna ją pocałował. Potem równie szybko skoczył na nogi i razem przebiegli resztę drogi po stoku.
Myślała o tamtej nocy, próbując sobie przypomnieć...
Poszli do baru. U Ponurego Steve'a. U Steve'a była pizza, strzałki, alkohol.
Potrzebowała drinka.
Drink na pewno pomoże. Zawsze pomagał.

Rozdział 6

Nathan Fury patrzył, jak Arden znika w drzwiach U Ponurego Steve'a. Czekał w wynajętym samochodzie.
Po godzinie poddał się i wszedł. Przystanął tuż za drzwiami.
Był to typowy małomiasteczkowy bar z automatem kulkowym w kącie i elektroniczną grą pacman. Ściany były pokryte starymi, oprawionymi w ramki zdjęciami Madeline, urozmaiconymi tu i ówdzie spreparowaną rybą na deseczce. Menu na ścianie polecało chili w piątki i smażonego suma w soboty. Ale specjalnością zakładu była pizza.
Pod najdalszą ścianą, naprzeciw baru, siedziała rodzina z dwójką małych dzieci; jeden z malców błagał o drobne do automatu. Dwóch facetów w zakurzonych bejsbolówkach paliło i piło przy innym stoliku.
Arden, ubrana w dzinsy, czarną koszulkę i granatowe sportowe buty, siedziała przy barze, z nogami na poprzeczce barowego stołka.
Fury przeszedł przez salę i usiadł na stołku obok.
Odrzuciła głowę, ze szklanką w ręce. Na jego widok uniosła brwi. Spojrzała na garnitur ten sam, który miał na sobie, kiedy widzieli się ostatnio, po czym przechyliła głowę i wytrząsnęła do ust kostkę lodu.
Przywiezienie jej tu z powrotem było okrucieństwem. Wiedział o tym. Ale farsa w Nowym Meksyku nie robiła jej dobrze. To Fury stał za propozycją zaangażowania jej na nowo w projekt i nowe dochodzenie. Niełatwo było to przeforsować. Nikt nie uważał tego za dobry pomysł. I może słusznie. Może Fury był po prostu egoistą.
- Jadłaś coś? - zapytał. - Kupimy pizzę na spółkę?

Była trochę podcięta. Znowu. Powieki miała ciężkie, w kąciку ust czaił się uśmiešek.
Dawna Arden nie piła dużo. Nigdy nie widział, by wypila więcej niż parę kieliszków wina, i może jakiś koktajl od czasu do czasu.
Przed Furym pojawiła się podstawka pod szklankę.
- Co podać? - zapytała barmanka. Była wysoka i jasnowłosa, koło pięćdziesiątki.
- Jasne piwo. Co tam macie. Arden podsunęła swoją szklankę.
- Jeszcze raz to samo.
Kobieta nalała Arden setkę. Burbon z lodem. Ulubiony alkohol Alberta Frencha.
- To jak z tą pizzą? - zapytał jeszcze raz Fury.
- Dobrze.
Barmanka podała obojgu laminowane kartoniki z menu. Arden szybko przejrzała listę.
- Pieczarki, szpinak i ananas.
To samo zamówiła, kiedy byli tu ostatni raz.

- Świetny wybór. Średnia powinna wystarczyć. - Fury wziął kufel. -Chodźmy do stolika.
Nie sprzeciwiła się, co w pierwszej chwili go zaskoczyło. Ale kiedy siedli już w ciemnym kącie, stało się oczywiste, dlaczego się zgodziła.

- To jak, teraz mi się wreszcie przedstawisz? - Pochyliła się do przodu, opierając złożone dłonie na lakierowanym blacie.

- Nathan. - Odczekał chwilę, z nadzieją szukając choćby najmniejszego znaku rozpoznania. Nic.

- Nathan Fury.

Wyciągnęła rękę.

- Miło mi cię poznać, Nathanie Fury. Uścisnęli sobie dłonie.

Trudno było puścić jej rękę, nie trzymać dłużej, niż nakazywały konwenanse, ale jakoś mu się udało.

Jakie to surrealistyczne, siedzieć przy tym samym stoliku co kiedyś, twarzą w twarz z nią, która patrzy na niego oczami obcej osoby.

I bolało jak diabli.

Kiedyś byli razem. Potem oboje dostali się do programu OZ, i to program był początkiem końca ich związku.

Wtedy miał brązowe włosy. Zaczęły siwieć po sesji w komorze. Arden zauważyła to pierwsza.

- Malowałeś coś? - zapytała go pewnego ranka. - Masz farbę na włosach.

- Gdzie?

- Tutaj.

Spojrzał w lustro i zobaczył dwie plamy siwizny na skroniach. To była pierwsza widzialna oznaka, że komory to coś złego. Ale już wcześniej zaczął podejrzewać, że robią coś złego z ich umysłami.

Dwa dni później oświadczył, że ma dość. W programie zostali już tylko on, Arden i Harley Larson, cała reszta zrezygnowała.

- Pieprzy mi się w głowie - powiedział do Arden. - Zmieniłaś się, ja się zmieniłem. Musimy to przerwać. Nie widzisz, że przejmujemy cechy morderców?

Nie chciała wierzyć.

- Jestem ciągle tą samą osobą. Poddawanie się nie jest w moim stylu, nigdy w życiu się nie poddałam.

- Może to dobry moment, żeby się tego nauczyć.

Zarzuciła mu, że jest zazdrosny. O to, że jej tak dobrze idzie, że przez krótki czas pobytu na Wzgórzu została gwiazdą. Fury skarżył się na chorobę lokomocyjną i bóle głowy, od których słabł i robił się błąd. Odpadł.

Zostali ona i Harley Larson.

Fury spotkał Larsona tylko raz, na początku. Miły facet, choć trochę nerwowy i nieśmiały.

Arden i Larson byli więc przebojowym duetem programu.

- Co się stało z Harleyem? - zapytała nagle Arden. - Zadzwoił do mnie parę dni temu i powiedział, że wraca na Wzgórze.

Pamiętała Larsona, ale zapomniała o Furym - człowieku, któremu kiedyś wyznawała miłość.

Najnowsze badania udowodniły dobrowolne tłumienie wspomnień. Fury nie mógł się nie zastanawiać, czy nie wymazała go z pamięci celowo.

- Larson wrócił, ale zdecydował, że tu nie zostanie. - Fury nie widział się z nim, nie chciał się z nim widzieć. - Nikt nikogo nie zmusza do zostania tutaj.

Może miała wtedy rację. Może istotnie był zazdrosny. Dostali pizzę.

- A ty? - zapytała Arden, kiedy barmanka odeszła. - W jaki sposób jesteś w to zaangażowany?

- Cóż, jestem chłopcem na posyłki, jak sądzę.

Trójkątną łożatką nałożył kawałek pizzy na talerzyk i podał go Arden.

- Załatwiam różne sprawy dla Firmy. Nie wiem, co pamiętasz o programie OZ, ale to chyba wiesz, że FBI ściśle współpracuje z doktorem Harrisem i jego zespołem. OZ nie był jedynym projektem, prowadzonym w starym szpitalu. Prywatne datki i dotacje finansowały najróżniejsze rodzaje badań dotyczących braku snu, muzykoterapii i funkcjonowania pamięci.

- Doktor Harris przedstawia nam protokół, a FBI go aprobuje i finansuje. Chcieliśmy, żeby na czele programu stanął najlepszy badacz, a badacze potrzebują gotówki, by finansować swoje badania. To się nieźle sprawdza w obie strony. My mamy Harrisa, on ma dotacje, których potrzebuje.

- Nigdy nie rozumiałam do końca, jak to działa, ale jestem zdziwiona, że FBI pozwala mu na tyle swobody - powiedziała Arden.

Fury nałożył sobie kawałek pizzy.

- To już nie jest FBI Edgara Hoovera.

- Chwała Bogu - mruknęła. - Mieszkasz na Wzgórzu? - zapytała nagle.

- Dzielę swój czas między Madeline i Quantico.

Jego zadaniem było ściągnąć Arden na Wzgórze. Podczas jej pobytu w ośrodku miał składać raporty kwaterze głównej i dyrektorowi FBI, Nelsonowi Robertsowi. Prywatnie siedział tu po to, by mieć na nią oko.

- Prowadzę kilka spraw, które wymagają mojego nadzoru, pracuję też nad ostatnim morderstwem rodziny w Oklahomie.

Patrzyła na niego długo. Tak długo, że przez chwilę miał wrażenie, że o wszystkim wie. O tym, kim on jest, i o tym, że nie mówi całej prawdy o swojej obecności na Wzgórzu. Ale przecież ktoś musiał nad nią czuwać. On musiał nad nią czuwać.

Nosiła teraz włosy krótsze niż kiedyś, proste i gładkie, jednakowej długości, mniej więcej do linii podbródka. Pamiętał dotyk ich kosmyków między palcami. Miękki i jedwabisty.

Miała bladą skórę i kilka piegów na grzbiecie nosa, jasnych, niemal niewidocznych.

Kiedyś miał poznać jej rodzinę, ale za każdym razem ich plany brały w łeb i jakaś ważna dla FBI sprawa wchodziła im w paradę. Potem zerwali ze sobą.

- Masz zamiar mi powiedzieć, jak wyglądała nasza znajomość? - zapytała w końcu.

Serce mu załomotało i nagle pożałował, że nie zamówił też sobie podwójnego burbona.

- Byliśmy razem w akademii, - Uniósł kufel do ust. Ręka lekko mu drżała, ale nie sądził, by Arden to zauważyła. - Dawno temu.

Kiwnęła głową, usatysfakcjonowana, jak się wydawało.

- Tak myślałam, że to było coś w tym stylu.

- Pamiętasz coś?

- Z akademii? Trochę pamiętam, ale ciebie nie.

Nie wyglądała na przejętą i to go ubodło. A nie powinno, bo jak mogła się przejmować kimś, kogo wcale nie pamiętała? To jakby kochać nieznajomego-

Kusiło go, żeby jej powiedzieć, kim był, wyłożyć kawę na ławę, ale martwił się, że to dla niej za dużo na jeden raz, do spółki z rewelacjami o Fren-chu. Kiedyś jej już odbiło; nie chciał, by to się powtórzyło. A poza tym ich związek zakończył się, zanim dokonano wybielenia. Byłoby nie *fair* mieszać jej teraz w głowie. To, że nigdy nie przestał jej kochać, nie miało tu żadnego znaczenia. To jego problem, nie jej.

Zjedli pizzę. On trzy kawałki, ona dwa. Jak za dawnych czasów.

Arden dopiła swojego drinka.

Widział, że zbiera się, żeby zamówić następny.

- Myślisz, że to rozsądne? - zapytał, zakrywając dłonią szklanę. - Jutro twój wielki dzień.

Nie powinien tego mówić.

Oparła się o krzesło i posłała mu twarde spojrzenie. Potrafiła przewiercić człowieka na wskroś. Pochyliła się do przodu i z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła mały portfel. Wstała, rzuciła na stolik dziesięciodolarowy banknot i wyszła.

Po prostu.

Ulice były puste; światła na skrzyżowaniach posłusznie wypełniały swój obowiązek, zmieniały się z zielonych na czerwone, kierując ludźmi, których nie było. Arden spojrzała w górę.

Powietrze wisiało ciężkie, na niebie nie zobaczyła gwiazd. Zbliżała się zima, wprawdzie jeszcze niewidoczna, ale Arden wiedziała, czuła ją.

Pojedyncza kropla deszczu uderzyła ją w czoło. Nie przyspieszyła kroku. Zdążyła zatęsknić za deszczem, mieszkając w Nowym Meksyku.

Próbując zapomnieć o swojej irytacji na Nathana Fury'ego, przeszła przez dwupasmówkę. Czuła się odsłonięta, dopóki nie schroniła się w cieniu potężnych drzew, rosnących wzdłuż podjazdu.

Cegły pod jej stopami były śliskie i nierówne. Arden zesza z jezdni na trawę i ruszyła przez cmentarz, wypatrując małych słupków z numerami.

Gdzieś z tyłu dobiegł ją odgłos samochodu.

Samochód zwolnił. Światła błysnęły na pniach drzew, kiedy skręcił w podjazd.

Jechał powoli; silnik pracował na wysokich obrotach, pokonując stromą pochyłość. Auto zrównało się z nią i zatrzymało. Elektryczna szyba od strony pasażera cicho zjechała w dół.

- Wskakuj - powiedział Fury. - Podwiozę cię. Miał rację. Dość już wypila. I to ją wkurzało. Nie podeszła do samochodu.

- Wolę się przejść. - Na dowód, że mówi poważnie, zaczęła się wspinać w górę zbocza, choć krople deszczu padały coraz gęściej.

Samochód zrównał się z nią.

- Daj spokój. Wsiadaj.

Deszcz był coraz głośniejszy, ciężki, zimny i kłujący. Przemoczył koszulę Arden, kapał jej z włosów, spływał do oczu, paląc i oślepiając.

Pomysł schronienia się w samochodzie nagle wydał się jej całkiem dobry, ale skoro i tak była już przemoczona do suchej nitki, jaki to miało sens?

Niebo rozświetliła błyskawica, tuż po niej huknął grzmot. Otóż i sens.

Arden wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Fury zasunął szybę przyciskiem w panelu sterowania kierowcy.

We wnętrzu grała muzyka klasyczna, nawiew działał na całą parę, dmuchając Arden w twarz ciepłym powietrzem.

Arden nie lubiła muzyki poważnej. Wydawała jej się gorączkowa, wiecznie narastała, przybierała na sile i gwałtowności. Czy dźwięk tłuczonego szkła może być kojący? Czy wybuch może uspokajać? Ta muzyka była ostra, poszarpana i pełna napięcia. Słuchając jej, Arden robiła się nerwowa, miała ochotę wyskoczyć z siebie. Gdyby kawałek lecący z głośników był filmową ścieżką dźwiękową, ilustrowałby scenę, w której kobieta zagubiona w labiryncie ucieka przed wariatem z siekierą.

Gwałtownym ruchem wyłączyła odtwarzacz.

- Jasne - rzucił sucho Fury - nie mam nic przeciwko temu.

- Nie powiesz mi, że naprawdę to lubisz.

Wcisnął pedał gazu i samochód ruszył ciężko pod górę.

- Czy wiesz, że Mozart to przebój muzykoterapii? - zapytał tonem luźnej pogawędki. - Szczury, które słuchają Mozarta, wykazują zwiększoną aktywność mózgu. A pacjenci z Alzheimerem po sesji z Mozartem lepiej sobie radzą z zadaniami przestrzennymi i w kontaktach.

- Będę o tym pamiętać, kiedy następnym razem przyjdzie mi ochotę na kontakty międzyludzkie.

Roześmiał się.

Wjechali na szczyt wzgórza, Fury zatrzymał samochód niedaleko kolumn i szerokich, marmurowych schodów. Nie ma jak w domu. Wyjął wizytówkę i podał ją Arden.

- Tu masz numer mojej komórki. Gdybyś czegoś potrzebowała, mieszkam tuż za rogiem, za starą kuźnią, w jednym z prywatnych domków lekarzy.

Wysiadła.

- Jutro o wpół do ósmej masz spotkanie z doktorem Harrisem.

- Nie potrzebuję niańki.

- Nikt nie mówi, że potrzebujesz.

- Właśnie to powiedziałeś. Zamknęła drzwiczki i Fury odjechał.

Na kilka godzin zdołała zapomnieć o Wzgórzu, o Budynku 25 i niewytłumaczalnym strachu, który wciąż się do niej skradał, ściskając żołądek i przyspieszając bicie serca.

Prawie pożałowała, że Fury odjechał.

Rozdział 7

Arden po raz kolejny zerknęła na wyświetlacz budzika przy łóżku. Wydawało się, czas stanął na trzeciej w nocy. Szkoda, że w pokoju nie było telewizora. O trzeciej nad ranem można trafić na niesamowite rzeczy.

Z korytarza dobiegł dźwięk przypominający lekkie kroki - niemal bieg. Dźwięk przybrał na sile koło jej drzwi, a po chwili ucichł w oddali.

Odrzuciła kołdrę, zwiesiła nogi na podłogę i zdjęła dzinsy z krzesła obok łóżka.

Zawsze sypiała w okrojonej wersji tego, co nosiła w ciągu dnia. Teraz szybko wskoczyła w dzinsy i zapięła je, nie zdejmując suchej, białej koszulki, w którą przebrała się po powrocie do pokoju. W ciemnościach wymacała na podłodze buty, wciąż mokre i zimne od deszczu.

Z trudem wcisnęła w nie bose stopy. Zawiązała sznurówki, podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

Panowała cisza, było późno i Arden zaczęła się zastanawiać, czy dźwięk nie był wytworem jej wyobraźni. Czyżby zasnęła i kroki jej się przyśniły?

Nagle przemierzający się tupot powrócił. I zatrzymał dokładnie pod jej drzwiami. Ludzie-cienie, o których mówiła Vera?

W drzwiach nie było judasza. Arden przesunęła się i przyłgnęła plecami do ściany, wyęzając wzrok i słuch. Rozległo się cichutkie pukanie do drzwi i szept:

- Ar-den? Harley?

Obróciła się i otworzyła drzwi.

Jasne, kręcone włosy.

Eli. Oświetlony od tyłu kinkietami na ścianach.

Spojrzał na jej ubranie.

- Ty też nie mogłaś spać?

- Co ty tu robisz? - Był w piżamie. W pasiastej piżamie.

- Mamy problemy z zaśnięciem.

- My?

- Ja i moi przyjaciele.

Przyjaciele, o których opowiadał jej w samochodzie.

- Gramy w karty. Wpadniesz do nas?

Nie mogła spać i chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej o ich zajęciach na Wzgórzu, pomyślała więc: czemu nie? Zamknęła drzwi i schowała do kieszeni ciężki klucz.

- Co to był za dźwięk, który słyszałam?

- To?

Puścił się galopem po korytarzu długimi krokami. Bose stopy uderzały miękko w podłogę. Tup, tup, tup, tup. Po chwili zawrócił i zatrzymał się przed nią z poślizgiem.

- Tak - rzuciła sucho. Oto i ludzie-cienie Very Thompson.

- Czasem mierzymy sobie nawzajem czas. Sprawdzamy, ile zajmuje przebiegnięcie wszystkich pięter tego skrzydła. Mój najlepszy czas to siedem minut. Ale musimy to robić po cichu, bo inaczej strażnik pourywałby nam głowy.

Weszli schodami na czwarte piętro i ruszyli korytarzem, który nie został jeszcze odrestaurowany. Śmierdział zapleśniałą, rozpadającą się tapetą.

- Poprosiliśmy o ten pokój - wyjaśnił Eli - żebyśmy mogli się trochę zabawić. Siedzieć do późna i puszczać muzykę, nie przeszkadzając nikomu. A poza tym, jest po prostu odlotowy.

Otworzył drzwi.

Gdzieś paliło się kadzidełko; ciężki, słodki zapach gęszął nieprzyjemne wonie. Hipnotyczna muzyka z powtarzającymi się frazami rozbrzmiewała z przenośnego odtwarzacza pod ścianą. Obok leżały porzucane pudełka na kompaktki.

- Przestałam liczyć po dwunastu minutach - powiedziała dziewczyna w czarnej koszulce na ramiączkach i szarych, flanelowych spodniach od piżamy. Siedziała po turecku na podłodze, z wachlarzykiem kart w dłoni. - Już mieliśmy iść na poszukiwania.

Miała krótkie, nienaturalnie czarne włosy z prosto obciętą grzywką i złoty kolczyk w wardze.

- Wychodzę. - Wyłożyła sekwens figur.

Jej partner, młodzieniec z falującymi, nieco jaśniejszymi włosami, bezsilnie upuścił karty, przeturlał się na plecy i przykrył oczy przedramieniem.

- Boli mnie głowa.

Eli przedstawił ich Arden: Franny Young i Noah Viola.

Franny powiedziała cześć. Noah pomachał ręką, nie unosząc głowy i nie odkrywając twarzy.

Pokój miał ogromne okna we wszystkich czterech ścianach. Sklepiony sufit unosił się w górę jak w dzwonnicy. Było to dobre miejsce dla osób cierpiących na klaustrofobię i niedobór światła, ale niedobre, jeśli miało się zawroty głowy.

Eli zaproponował Arden coś do picia.

- Mamy mountain dew, mountain dew i mountain dew.

Nic dziwnego, że nie mogli spać - przy takiej ilości cukru i kofeiny!

- To poproszę mountain dew.

Eli odkręcił kapsel plastikowej, zielonej butelki, chlupnął trochę żółtego płynu do plastikowego niebieskiego kubka i podał Arden.

W pokoju było niewiele mebli. Dwa małżeńskie łóżka, schludnie zaścielone i przykryte beżowymi narzutami i jedno składane łóżko wepchnięte w kąt. Pod jedną ze ścian stała niska, dzielona na części kanapa; przed nią, na dywaniku, ustawiono plastikowy stolik.

Umeblowanie wyglądało na pospiesznie skompletowane, jakby administracja nie przewidywała użytkowania tego pomieszczenia.

Franny naląła sobie napoju.

- Przepraszam, że nie mamy lodu. Na dole jest lodziarka, ale zamykają ją o siódmej. - Klapnęła na kanapę. - Wszystko tu zamykają o zachodzie słońca.

Arden upiła spory łyk ciepłego napoju. Nie był tak paskudny, jak się spodziewała.

Okna, umieszczone nisko i głęboko wpuszczone w ściany, miały szerokie, kamienne parapety, trochę jak w zamku. Arden usadowiła się na jednym z nich, z plecami opartymi o kamienną framugę, z podciągniętymi kolanami.

Eli przyciągnął bliżej plastikowe ogrodowe krzesło, tak że teraz razem z Franny i Arden tworzyli

trójką. Milczący Noah leżał poza jego obrębem.

- Ludzie z miasta wygadują mnóstwo bzdur na temat Wzgórza. - Franny wzięła poduszkę w białej poszewce i przytuliła ją do piersi. - Mówią, że kiedyś przeprowadzano tu lobotomie. I to wcale nie tak dawno temu.

Lobotomia. Czy to była zniekształcona wersja prawdy? - pomyślała Arden. Czy i ona tak naprawdę jest chodzącym warzywem, tylko nikt jej o tym nie powiedział?

- Pieprzysz - mruknął Noah z cienia. - Kto to mówił?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Po prostu słyszałam.

- A wy co tutaj robicie? - zapytała Arden, chcąc skierować rozmowę na inny temat.

- Łatwą kasę - odparła chórem cała trójka.

- Byliśmy w college'u - wyjaśniła Franny. - I przeczytaliśmy w studenckiej gazecie, że poszukują ochotników do badań. I tak musiałam zrobić sobie wolne, dostawałam dreszczy na samą myśl o kredycie studenckim, a dzięki temu zarobię prawie na rok szkoły. Uznałam, że to idealne rozwiązanie.

Arden pamiętała te ogłoszenia w uniwersyteckich gazetkach, zapraszające studentów do udziału w badaniach. Nie знаła nikogo, kto naprawdę by to robił.

- Co to za badania? - zapytała.

Eli zerknął na Franny, potem znów popatrzył na Arden.

- W tej chwili testujemy efekt Mozarta. Robimy różne rzeczy, żeby sprawdzić, czy słuchanie Mozarta poprawia pamięć. Potem ma być coś w związku z brakiem snu.

Czy wszyscy tutaj słuchają Mozarta?

- Ja się zastanawiałam nad sprzedażą jajeczek - powiedziała Franny - ale przeczytałam o tych wszystkich niebezpiecznych lekach, które trzeba brać, i jak fatalny to może mieć wpływ na organizm...

- Może wezmą moje jajeczka - wtrącił Noah. Franny rzuciła w niego poduszką.

- Łatwo ci mówić.

- Jakbym miał coś, na co jest popyt, to bym to sprzedał.

- Zostań prostytutką.

Noah podniósł się i usiadł po turecku.

- Przecież właśnie to robimy, prawda? - Podniósł poduszkę, którą rzuciła w niego Franny.

- Bierzymy udział w badaniach naukowych - odparła. Noah poklepał poduszkę.

- Ależ z ciebie naiwniaczka.

- A z ciebie bogaty bachor. Franny spojrzała na Arden.

- My z Elim robimy to, żeby zarobić na chesne. Noah w ogóle nie musi tu być.

- Co ty gadasz? - zapytał Noah, podnosząc głos.

- Jego rodzice są bogaci do obrzydliwości - wyjaśniła Franny, nie zwracając na niego uwagi. - Zafundują mu i licencjat, i studia dyplomowe.

- Tylko jeśli wybiorę jakiś biznesowy kierunek. Przecież wiesz.

- Twój tato na pewno by ustąpił. Po prostu wybierz sobie kilka podstawowych przedmiotów, a potem postaw go przed faktem dokonanym.

- Chodzi o zasadę.

- Ty po prostu chcesz udawać, że jesteś taki jak my. Chcesz się bawić w biedę. Oczywiście taka zabawa jest o wiele bardziej kręcąca, kiedy wiesz, że możesz się wycofać.

Noah rzucił poduszkę na kanapę i na czworakach podszedł do odtwarzacza. Wyłączył muzykę, wyjął płytę i uniósł do góry.

- Ten kompakt Boards of Canada? Jest mój. - Schował płytę do pudełka i wetknął do kieszeni bluzy z kapturem. - Odczep się, Franny. Nie prosiłem cię o psychoanalizę.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Franny założyła ręce na kark i zapadła głębiej w kanapę.

- Dzieciak.
 - Czy ktoś nie powinien za nim iść? - zapytała Arden. - Wyglądał na zdenerwowanego.
 - Wróci - odparł Eli. - Bez przerwy mu tak odwała. Też się przedtem martwiłem, kiedy to robił. Martwiłem, niepokoiłem, odtwarzałem w myślach całą rozmowę. Zastanawiałem się, co powie, gdy się znowu zobaczymy. A potem on sobie wracał i zachowywał się, jakby nic się nie stało.
 - Olej to - powiedziała Franny. - Gnojek i tyle.
- Arden widywała już takie spory. Była to jedna z tych aż nazbyt częstych sytuacji, kiedy dwóm chłopakom podoba się ta sama dziewczyna.
- Od kiedy weszli do pokoju, Eli był trochę zgaszony. Zniknął gdzieś towarzyski czaruś, który podwoził ją z lotniska, i rozbrykany chłopiec z korytarza.

Teraz Eli wolał się trzymać na uboczu, czekając, aż dramat rozegra się bez jego udziału. Arden spojrzała na Franny.

- Jak długo chodzisz z Noahem? - zapytała, wypowiadając na głos przypuszczenia.
 - Dwa lata - odparła Franny. - Ciągnie go do mnie częściowo dlatego, że pochodzą z biednej rodziny. Naprawdę biednej, wiesz, plastikowe worki na butach zimą, bony na żywność z opieki społecznej, schroniska dla bezdomnych itepe. Rodzina Noaha jest bogata. Obrzydliwie. Co nie powinno być problemem, prawda? Ale jest. Noah wstydzi się, że miał takie łatwe życie, że tak łatwo mu wszystko przyszło. I nie do końca mi ufa. W głębi duszy boi się, że jestem z nim dla pieniędzy jego tatusia. To takie wstrętne! I kompletnie nie w moim stylu.
 - Ale przecież właśnie mu wytknęłaś, że starzy mogliby mu opłacić całe studia - przypomniał Eli.
 - A czemu nie mieliby opłacić? Dlaczego on wszystko sobie utrudnia? Tylko dlatego, że według niego to nie jest *cool* urodzić się z pieniędzmi? - Zerwała się na nogi i wykonała pełen pasji gest, jakby chciała kogoś udusić.
 - Dobra. Nie chcę o tym dłużej gadać.
- Arden dopiła napój, zsunęła się z parapetu i podała pusty kubek Elemu.
- Lepiej wrócę do pokoju i spróbuję się trochę przespać.
- Skądś dobiegła przytłumiona melodyjka. Franny pogrzebała pod stertą ciuchów i wyciągnęła komórkę.
- Gdzie jesteś? - zapytała kogoś z niedowierzaniem.
- Umilkła, słuchając odpowiedzi, a potem podzieliła się informacją z Elim i Arden.
- Noah jest w Budynku 25.
- Serce Arden zaczęło łomotać, jak zawsze, kiedy słyszała lub myślała o Budynku 25.
- Nie może znaleźć wyjścia - dodała Franny. - Dobra, dobra. Już idziemy
 - rzuciła do słuchawki. - Nie wyłączaj komórki, zadzwonię do ciebie, jak będziemy na miejscu.
- Rozłączyła się, wciągnęła bluzę z kapturem i wetknęła komórkę do kieszeni.
- Wszedł przez służbowe drzwi z wybitą szybą. Ona i Eli włożyli buty na bose nogi.
 - Poszukajmy nocnego stróża - zaproponowała Arden. Wciąż czuła niepokój. - Miejmy nadzieję, że ma uniwersalny klucz.

- Nie możemy mu powiedzieć, że Noah włóczył się po terenie i włamywał do budynków. Oczywiście. Zawiadomienie stróża byłoby po prostu obciachowe.
 - Przecież się nie włamał.
- Arden cieszyła się, że nie jest już w ich wieku. Wszystko było takie dramatyczne, a mały występ Noaha stanowił ewidentne błaganie o uwagę.
- Eli naciągnął przez głowę szarą bluzę i odgrzebał gdzieś dwie plastikowe latarki: czerwoną i żółtą.

- Mogą go wywalić z programu.

Miał trochę racji. Nie za wiele, ale trochę tak.

- Ile macie lat? - zapytała Arden, kiedy wyszli z pokoju.

- Dwadzieścia dwa - odparł Eli.

Różnica wieku między nimi i Arden nie była zbyt duża. W każdym razie mierzona w latach zwykłych ludzi. Ale jeśli mierzyć to latami agenta FBI, tworzyła sporą przepaść. Agenci szybko dojrzewali. Chociaż, w sumie, gdyby doprawić to wszystko długimi miesiącami braku pamięci i dobrze potrząsnąć, mogło wyjść na jedno.

- Dwadzieścia jeden - powiedziała Franny.

Daniel w sierpniu skończył dwadzieścia jeden. Arden wysłała mu kartkę urodzinową z adresem zwrotnym. Nie dostała odpowiedzi. Czy wszystko było u niego w porządku?

Poszukiwania Noaha nie były jej sprawą. Nowoczesna wersja kłótni zakochanych. Właściwie powinna wrócić do swojego pokoju i złapać parę godzin snu przed spotkaniem o wpół do dziewiątej.

Z drugiej strony jednak czuła, że nie wolno jej zostawiać tych dzieciaków samym sobie. Byli naiwni. Nie sądziła, że coś im się stanie, po prostu miała wrażenie, że są w stanie wpakować się w kłopoty, nawet tego nie próbując.

Ale on jest w Budynku 25. A ty nie chcesz mieć nic wspólnego z Budynkiem 25, pamiętasz?

W ostatniej chwili, kiedy powinna ruszyć do swojego pokoju, zmieniła zdanie.

Eli podał jej latarkę. Nie chcąc zwracać uwagi nocnego stróża, poszli schodami, tak cicho jak się dało na piszczących podszwach, porozumiewając się na migi.

Ćśśś.

Tędy.

Stop. Coś słyszę.

Dobra. Idziemy.

Brakowało tylko Scooby-Doo.

Na parterze Arden wyjrzała przez prostokąt zbrojonego szkła. Dała znak, że teren jest czysty.

Cała trójka wyslizgnęła się przez ciężkie, hałaśliwe drzwi.

Deszcz ustał.

Arden wciągnęła głęboki oddech. Powietrze było niesamowite, wymyte do czysta. Pojawiły się gwiazdy.

Niebu daleko było do wspaniałości firmamentu z Nowego Meksyku, ale brak zanieczyszczeń był wprost niewiarygodny. Jej płuca nie wiedziały, jak zareagować na nieobecność oparów z rafinerii.

Eli i Franny poprzytkali się o przywództwo. Eli ustąpił i Franny ruszyła pierwsza; szła szybko po mokrej trawie, trzymając się cieni.

Było zimno i mokro. Arden żałowała, że nie ma na sobie niczego oprócz koszulki.

Szybko posuwali się w stronę Budynku 25. Arden zaczęła rozpoznawać charakterystyczne elementy krajobrazu. Jabłoniowy sad był tuż za rogiem, na zboczach, niedaleko kwatery Furry'ego. Dalej będzie szeroki, drewniany mostek przez strumień i krąg nagrobków, zniszczonych i nieczytelnych, pokrytych mchem, stłoczonych na dnie niewielkiego wgłębienia.

Tak jak pozostałe zabudowania Budynek 25 zbudowano z czerwonej cegły. Nie był tak wysoki ani tak rozłożysty jak główny gmach, ale równie niepokojący: trzy piętra, nieskończone rzędy ciemnych okien.

Franny skinęła na nich, by ruszyli za nią. Gęsiego okrążyli budynek, sprawdzając wejścia, aż natrafili na krótkie, cementowe stopnie, prowadzące w dół do drzwi z wybitą szybą.

Franny przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi. Chodźcie, kiwnęła niecierpliwie.

Arden znieruchomiała.

Tak jak wtedy, kiedy zadzwoniła do Daniela i nie mogła się odezwać.

- Poczekam tutaj - szepnęła, wstydząc się paniki pobrzmiewającej w jej głosie. Oddała Elemu latarkę.
Weszli do środka smi.

Rozdział 8

Ciężkie drzwi zamknęły się za nimi szczelnie. Franny i Eli zawahali się; żadne z nich nie miało ochoty wchodzić dalej do brzucha budynku i oddalać się od wyjścia.

- Nie do wiary, bała się pójść z nami - szepnął Eli w ciemnościach. -Przecież jest agentką FBI.
- Ćśśś. - Franny zmarszczyła brwi, choć nie mógł tego zobaczyć. - Usłyszysz cię. A poza tym nie jest, a była agentką FBI.

Eli wrócił do drzwi i przechylił głowę, odcinając odrobinę światła, która wpadała przez okienko.

- Łazi po dziedzińcu - szepnął. - Widzę ją.

- Nie dziwię się, że nie chciała wejść -powiedziała Franny. - Ja też mam cykora.

Eli odsunął się od drzwi i poklepał Franny po głowie.

- Biedna mała.

Franny roześmiała się z odrobiną irytacji, uchyliła głowę i odtrąciła jego rękę.

- Boże, otaczają mnie debile. Mam metr siedemdziesiąt trzy wzrostu. Nie jestem mała.

- Nie czepiaj się. Bez przerwy się o coś czepiasz. Chciałem tylko rozluźnić atmosferę.

Franny nie wiedziała, czy naprawdę się obraził, czy tylko udaje. Z Elim nigdy nic nie było wiadomo.

- No... - Zwlekali już za długo.

Cała ta historia była typową dla Noaha, melodramatyczną bzdurą. Cały on: odegrać starannie zaplanowaną scenę, przyciągnąć uwagę Franny i sprawić, by zrobiło jej się go żal. I spróbować przerzucić na nią swoje neurotyczne odloty, odwracając kota ogonem, tak że w końcu to ona czuła się winna, że wyrosła w biedzie.

Była jedną z tych żalonych kobiet, które pociągała niestabilność. I dramatyzm. Nigdy nie ciągnęło jej do normalnych chłopaków, nawet jeśli byli niczego sobie, fajni i inteligentni.

Musiała mieć kogoś poplątanego, z jakimś urazem psychicznym. Może dlatego, że sama nigdy nie poznała rodziny z prawdziwego zdarzenia. Może nikt się o nią tak naprawdę nie troszczył. W każdym razie odczuwała potrzebę niańczenia.

Chciała, żeby Noah był zadowolony z tego, kim jest, ale gdyby tak się stało - gdyby - prawdopodobnie straciłaby dla niego całe zainteresowanie. Im bardziej pokręcony facet, tym lepszy.

I to dopiero było pokręcone. No cóż, ludzie są chorzy, pokręceni i dziwni.

- Chodź. - Eli wziął ją za rękę.

Serce jej podskoczyło, zatrzepotało i przycichło, zniechęcone tym wszystkim.

Ona, Franny, sądziła, że w tej małej przygodzie chodzi o znalezienie Noaha, a Eli widział w niej okazję, by jej dotknąć i żeby być z nią sam na sam w ciemnym strasznym miejscu, a może nawet ją objąć.

Czy faceci kiedykolwiek wyrastają z tego sposobu myślenia? Może mają je w genach?

Nie zabrała ręki. Włączyła latarkę.

Eli zrobił to samo.

- Świeć po podłodze - szepnęła - żeby nic nie było widać przez okna. Ruszyli powoli i niezgrabnie przez ciemne, przepastne wnętrza, aż dotarli

do ciężkich, dwuskrzydłowych drzwi z okienkami na poziomie oczu, osłoniętymi drucianą siatką.

Franny wyjęła komórkę, wybrała numer Noaha i wcisnęła guzik połączenia.

Nic. Spróbowała jeszcze raz, w końcu schowała telefon do kieszeni bluzy.

- Chodź. - Eli pociągnął ją za rękę. Przeszli przez drzwi i ruszyli dalej korytarzem.

Franny świeciła latarką po ścianach; w pewnej chwili natrafiła na tablicę ogłoszeń z pożółkłym kalendarzem z czasów, kiedy budynek funkcjonował jeszcze jako szpital psychiatryczny.

Poczuła się dziwnie.

Znowu spróbowała dodzwonić się do Noaha. Wciąż nie odbierał.

- Pewnie nie ma tu zasięgu.

- Strasznie tu, jak cholera - szepnął Eli. Czyżby głos mu drżał?

Czuła, jak jego dłoń się poci. Jej ręka była lodowata. W ogóle zrobiło się okropnie zimno.

- Wiesz, co myślę? - szepnął Eli. Stali bardzo blisko siebie. - On sobie robi z nas jaja. Pewnie go w ogóle tutaj nie ma.

Dlaczego na to nie wpadła? Oczywiście, że tak. Noah prawdopodobnie siedział przyczajony w kępie drzew, obserwował budynek i zrywał boki ze śmiechu. Nie, Noah się nie śmieje. Ma za duże skłonności do masochizmu.

Wyszarpnęła rękę z dłoni Elego.

- Zmywajmy się. - Zawróciła i ruszyła z powrotem drogą, którą przyszli. Szybkie kroki klaskały o podłogę i rozlegały się głośnym echem w pustce.

Przez jadalnię i dalej korytarzem, do podwójnych drzwi. Czując Elego tuż za sobą, rzuciła się na nie całym ciężarem ciała. I uderzyła się. Auuu. Drzwi ani drgnęły.

Spróbowała pchnąć drugie skrzydło, mocno naciskając stalową poręcz. Zamknięte. Eli też spróbował, z nie lepszym skutkiem. Serce biło jej teraz gwałtownie.

- Musimy znaleźć inne wyjście.

Zawrócili i przebiegli z powrotem przez jadalnię Budynku 25. Kolejne drzwi, kolejny korytarz, dalej wyłożona linoleum pochylnia.

- Schodzimy na dół - powiedział Eli. - Nie chcemy schodzić na dół. Zatrzymali się, żeby złapać oddech.

- Może znajdziemy wyjście awaryjne - rzuciła Franny.

Eli rozejrzał się wokół; snop światła z latarki skakał po metalowych przewodach ogrzewania i pękach zardzewiałych rur.

- Słyszałaś o tej dziewczynie, prawda? - zapytał. - O tej psychicznej? Która zmarła w tym budynku wiele lat temu?

- Przestań.

Nie rzucili się jeszcze sobie w ramiona. Nie przyłgnęli do siebie, drżąc ze strachu. Dla Elego było to pewnie jak zabranie dziewczyny do kina na horror, tylko jeszcze lepsze.

- Wiesz, o kim mówię, co? - zapytał, idąc dalej. - O pacjentce, która chowała się tu gdzieś na dole tak długo, aż umarła.

- Jej ciało znaleziono dopiero po sześciu miesiącach. - Franny też umiała się w to bawić. - Tak słyszałam.

Może powinni zacząć wołać o pomoc. Może Arden ich usłyszy. A jeśli nawet nie, na pewno zacznie się niepokoić, dlaczego nie wracają. Znajdzie nocnego stróża i on ich wypuści. Teraz Franny bardzo by się ucieszyła na jego widok.

- Słyszałam, że leżała tu martwa tak długo - powiedziała - że rozkładające się ciało zostawiło ślad na cemencie.

- Hej, drzwi! - zawołał Eli.

Franny zawróciła i pobiegła w jego kierunku; plama światła jej latarki podskakiwała na podłodze. Ślepe drzwi, pomalowane wieloma warstwami gęstej, czarnej farby.

- To pewnie tylko pakamera. - Nagle poczuła, że trudno jej oddychać. - Chodź. Wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

- Wiesz co? - Eli oświetlił drzwi od góry do dołu. - Założę się, że to dawna kostnica.
 - Przestań, Eli.
- Nie mógł tego wiedzieć.
- Czekaj. - Podeszedł do drzwi. - Nie chcesz zobaczyć, co jest w środku?

Franny poczuła dreszcz na plecach.

- Musimy się stąd wydostać - oznajmiła.

. -I to już.

Ile czasu minęło? - zastanawiała się Arden.

Wydawało jej się, że dużo.

To naprawdę idiotyczne. Przemarzała na wskroś. Czowała, że skóra robi się za ciasna, odwodniona.

Piekły ją oczy. Nagle zapragnęła snu.

Zamiast tego stała tutaj, przed Budynkiem 25, w środku nocy, a jej nowi znajomi buszowali we wnętrzu. Co dalej? Psikusy z papierem toaletowym i kremem do golenia?

Idiotka, idiotka, idiotka.

Gdyby tydzień temu ktoś kazał jej wymienić ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałyby się znaleźć, powiedziałyby, że Wzgórze.

Z drugiej strony, czy ktoś kiedykolwiek osiągnął punkt, w którym wszystko wydawało się takie jak trzeba? Kiedy mógł sobie powiedzieć: właśnie tutaj powinienem być w tym momencie, w tym czasie? Czy to jest w ogóle możliwe?

Nie było ich już bardzo długo.

Teraz miała już prawie pewność.

Są dwie możliwości: iść za nimi albo znaleźć nocnego stróża.

Choć sytuacja stała się cholernie wkurzająca, Arden nie chciała wpędzić nikogo w kłopoty.

Jezu. Zero latarki. Ciemno jak jasna cholera.

Zeszła po stopniach, wyczuwając stopami krawędzie. Pięć schodków w dół, zwrot w prawo i stanęła przed uszkodzonymi drzwiami. Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, otworzyła je i pchnęła ramieniem, by wejść do środka. Zamknęły się za nią ze szczękiem. Wąski korytarzyk doprowadził ją do sali z wysokimi oknami, które odcinały się jaśniejszym odcieniem czerni, nadając otoczeniu wygląd negatywu.

Dalej, szerokim korytarzem z gładkim linoleum pod stopami.

Ten sam zapach.

Pamiętała ten zapach. Zapach ludzi. Mnóstwa ludzi.

Prawie jak w podstawówce. Niepowtarzalna, ludzka woń setek ciał wciśniętych w zbyt małą przestrzeń. Spoconych głów i wełnianych czapek, którym przydałoby się porządne pranie.

Nie chciała tutaj być. Boże, jak ona nie chciała tutaj być.

Słaba poświata dochodząca z kilku pomieszczeń, najwyraźniej używanych jako biura, w których nie powyłączano na noc sprzętu elektronicznego. Odrobina światła od ulicznych latarni.

Nie, nie od latarni.

Okna wychodziły na wschód. Niebo zaczynało blednąć. Ptaki śpiewały, choć było jeszcze ciemno. Wiedziały, że nadchodzi świt.

Dwuskrzydłowe drzwi.

Czy Eli i Franny szli tędy? Jak dawno temu?

Wydawało jej się, że minęły lata od jej pobytu w barze U Ponurego Ste-ve'a. Lata, od momentu, kiedy Fury podwiózł ją pod Budynek 50.

Prześlizgnęła się przez drzwi. Trzymając się zimnej, metalowej poręczy ruszyła powoli po schodach.

Właż do dziury łapać szczury...

Zapach działał jak wehikuł czasu.
Rzucał człowieka wstecz, w inny świat, z gwałtownością i szybkością wstrząsu elektrycznego.
Dobry czy zły. W tej kwestii nie było wyboru. Wrażenia węchowe nigdy nie pytały o zdanie.
Mówiły po prostu: a kuku! Oto my, prosto w nos.
Gdyby miała wybór, poprosiłaby o zapach babcinych naleśników z cynamonem.
Albo aromat jabłoniowego drewna w kominku. Zapach domu rodziców.
Zapach schronienia. Miejsca, które miało być bezpieczne.
Przestań. Nie myśl. Z myślenia nigdy nie wynika nic dobrego.
Nie prosiłaby o smród piwnicy, wilgotnego drewna i murszejącego cementu. Ani o chłód metalowej poręczy pod dłoń, przenikający skórę. O zapach wody.
Nie zwyczajnej wody, tylko słonej, z dodatkiem chloru.
Nogi ugięły się pod nią i musiała się zatrzymać. Z obiema rękami na poręczy czekała.
Drżenie nóg nie mijało.
Jakby pobudzone elektrycznym impulsem powędrowało w górę nóg, do tułowia, rąk, szyi i głowy.
Oblał ją zimny pot.
Opadła na stopień i siedziała z policzkiem przyciśniętym do cementowej ściany, wciąż ściskając poręcz nad głową.
Dawny, irracjonalny, niewytłumaczalny strach, którego nie potrafiła nawet nazwać, bo wizualne wspomnienia już nie istniały. Pozostało tylko uczucie.
Była jak dziecko, które boi się ciemności.
Nogi i ręce zaczęły ją boleć, przypominając o upływającym czasie.
Wstała.
Rury ogrzewania po drugiej stronie klatki schodowej zabręczały i zagwizdały.

To nie jest strach przed budynkiem, lecz strach przed stawieniem czoła wspomnieniom, której jej tu odebrano. Jakby zamknięto je w jakimś słoju i schowano przed nią, by je mogła znaleźć po powrocie.

Litrowy słoik na przetwory z napisem: *Złe wspomnienia Arden*.

Na jakiejś ładnej, niewyszukanej etykietce. Słoik schowano by w kredensie, obok dżemu truskawkowego.

Otwórz słoik.

Wetknij nóż.

Rozsmaruj dżem na kromce chleba i ugryź kęs...

Otrząsnęła się z zamyślenia. Ile czasu upłynęło?

Gdzieś z głębi, z dołu, ktoś wołał.

- Arden! Arden! Słyszysz nas? Arden!

To Franny.

Do jej głosu dołączył drugi. Eli.

Byli przerażeni. Ale czego mogli się bać? Przecież im nikt nie odebrał wspomnień? Nigdzie nie stały słoje z ich imionami na etykietach.

Dla nich Budynek 25 był zwykłym budynkiem.

Hitler był tylko człowiekiem.

Dosyć, powiedziała sobie w duchu. Jeśli nie możesz powiedzieć nic mądrego, to się zamknij, do cholery. No.

Poszukam tych niezdolnych dzieci, pomyślała ze sztuczną wesołością. Głupie, głupie dzieciaki...

Nie była od nich lepsza. Jak dziecko bała się...

Drzwi. Pomalowane na czarno.

Widziała już kiedyś te drzwi.

Patrzyła na nie długo. Poruszyła klamką.

Otwarte.

Kilka niewielkich, nocnych lampek oświetlało szarą, cementową podłogę. Zwaliste kształty, jakby trumny na nóżkach, już czekały.

To nie są trumny, ale komory pozbawiania impulsów zmysłowych.

Nazwa sama błysnęła jej w głowie.

Niektórzy nazywali je komorami izolacyjnymi.

To jak powrót do łona matki. Czy to Harley tak powiedział?

Zapach metalu skorodowanego przez sól.

Wykładane gumą komory napełniano wodą z dodatkiem takiej ilości soli, by pacjent unosił się na powierzchni jak korek. Nie zanurzał się, ale po prostu tkwił w całkowitej ciemności, sam na sam z własnymi myślami.

I z głosem szaleńca...

Przebłysk świadomości sprowadził ją do rzeczywistości, tu i teraz.

Zagubiła się na chwilę, na moment zapomniała o swoim zadaniu, o tym, dlaczego tutaj jest.

Zapomniała o Franny, Elim i tym smarkaczu, który uciekł. Jak on ma na imię? Noah. Właśnie.

Szukali Noaha.

Przeszła przez pomieszczenie i podeszła do najbliższej komory.

Przypominały jej „żelazne płuca”, dawniej stosowane u pacjentów z gruźlicą. Metalowe pudła, z pokrętkami na boku. Wskaźnik temperatury i termostat, żeby woda nie wystygła. I czasomierz.

Można go było nastawić na wiele godzin...

Nie chodziło nawet o to, jak wyglądały komory, tylko co robiły z człowiekiem.

Dławiąca izolacja. Uczucie zamknięcia w pudełku. W ciemności.

Żadnej samokontroli, kompletne uzależnienie od drugiej osoby, tej, która mogła cię wypuścić.

A do tego woda...

Wcale nie uprzyjemniała sprawy.

Arden odpięła klamry i odchyliła wieko. Choć komora była pusta i sucha, nadal pachniała środkiem dezynfekującym, starą gumą i jeszcze czymś, co przywodziło na myśl mokry kostium kąpielowy zostawiony w kącie.

Wspomnienia były niewyraźne, ale palce natychmiast przypomniały sobie dotyk metalowej krawędzi. Stopy pamiętały wypukły wzór na gumie. Ciało pamiętało temperaturę wody. Taką, jakby ktoś do niej nasikał. Pamiętało też siłę wyporu i pieczenie soli, wdzierającej się w każde pęknięcie skóry, w każde zadrapanie. Jakby się leżało w kadzi kwasu do akumulatorów.

Po wyjściu dłonie i stopy były pomarszczone, nogi białe i galaretowate. Przypominam jakąś zamarynowaną staruszkę, myślała zawsze, z trudem wychodząc z komory, słaba jak astronauta po sześciu tygodniach w kosmosie.

Zatrzasnęła wieko.

Komory pozbawiania impulsów zmysłowych miały być urządzeniem dobroczynnym. Hipisi i zwolennicy Ery Wodnika uwielbiali je, twierdząc, że godzinka czy dwie w takiej wannie co kilka tygodni pozwala im się lepiej skoncentrować. Oczyszcza głowy z niepotrzebnych śmieci.

Prawdę mówiąc, większość rzeczy nie jest zła, dopóki w grę nie wchodzi ludzki element. Kij jest tylko kijem, dopóki ktoś go nie podniesie i nie złoł ci nim skóry.

W pomieszczeniu znajdowały się trzy komory. Wszystkie identyczne, w kolorze przemysłowej zieleni.

Podeszła do drugiej. Otworzyła ją.

Sucha, jak poprzednia.

Powierzchnia trzeciej była ciepła.

Do trzech razy sztuka...

Dwie godziny to maksymalny czas przebywania człowieka w komorze. Arden czuła jednak, że zamykano ją na dużo, dużo dłużej.

Pieprzy mi się w głowie.

Czyżby była tam woda? Komory powinny być opróżniane po każdym użyciu.

A może jest zajęta? W tej chwili?

Miała ochotę uciec, odwrócić się i wynieść, gdzie pieprz rośnie. A jeśli ktoś był uwięziony w komorze?

Harley. Czy to może być Harley? Może wcale nie wyjechał, tylko był tutaj przez cały czas.

Odpięła klamry.

Pstryk. Pstryk. Dwa metalowe zamki przypominały jej zatrząsk pudełka śniadaniowego, jakie można znaleźć w sklepie ze starzyzną.

Otworzyła pudełko.

Cofnęła się.

Ciało. Nagie. Męskie. Długie, ciemne włosy.

Zachłysnęła się z przerażenia, upuściła wieko i odskoczyła od komory.

Stopy zahaczyły o coś i poleciała do tyłu; otoczenie nagle przemknęło jej przed oczami.

Wyciągnęła ręce, próbując się czegoś złapać, powstrzymać upadek. Natrafiła dłonią na stalowy stół. Pociągnęła go za sobą; przewrócił się z łoskotem w tej samej chwili, gdy jej głowa uderzyła o beton.

Rozdział 9

Ból przeszył głowę Arden. - Tutaj! - krzyknął ktoś. Spróbowała się podnieść; ruch sprawił, że ogarnęła ją fala mdłości. Po okrzyku w korytarzu dał się słyszeć tupot nóg. Drzwi otworzyły się, z trzaskiem uderzając o ścianę. - Chodź!

Ktoś - Eli - złapał Arden za ramię.

- Znaleźliśmy wyjście! - Podniósł ją z podłogi.

Ból w czaszce przybrał na sile. Ostre, białe światło pulsowało gdzieś za gałkami ocznymi.

Sceneria docierała do niej posiekanymi fragmentami: ciemne pomieszczenie, skrawki szarości sączące się z kątów i przez szczeliny.

Dziewczyna, której imienia Arden nie mogła sobie przypomnieć.

Noah. A ten skąd się tu wziął?

Dziewczyna i Noah się kłócili.

- Nie rób z tego takiej afery - prosił Noah. - Myślałem, że będzie śmiesznie.

- Będzie śmiesznie, jeśli przez ciebie wykopią nas z programu? - zapytała dziewczyna.

Nie pamiętam jej imienia. Jak ona ma na imię?

- To twoja wina. Dokuczałaś mi - bronił się Noah.

- Nie będę o tym teraz rozmawiać - odparła dziewczyna.

- Ale ja chcę.

- Zamknij się. Po prostu się zamknij.

Arden musiała im coś powiedzieć. Musiała im powiedzieć o... czym?

Głowa. Musi im powiedzieć, że boli ją głowa.

Bołała jak diabli. A oni nie pomagali.

Gdzieś z krawędzi bólu dobiegł niecierpliwy głos Elego.

- Szybko! Bądźcie cicho!

Zbici w nieporęczną grupkę wyszli z sali. Arden potykała się, próbując nadażyć i zignorować pulsowanie w czaszce.

Dziewczyna złapała ją za drugą rękę. Biegli, zadyszani, niemal wlokąc ją ze sobą.

- Musimy się stąd wynieść, zanim ktoś przyjdzie - wysapała dziewczyna. Ucieczka to zawsze dobry pomysł. Ucieczki nie da się spać.

- W lewo? - To Eli.

- Nie, w prawo.

Noah? Czy to był głos Noaha?

- Tu! Skręcamy tutaj!

Wiraż wokół narożnika. Urywane obrazy, wszystko miga za szybko. Dalej, przez grube, szpitalne drzwi. Głośny szcęk stalowej zasuwy. Kolejny zakręt, w górę po schodach. Wypadli na zewnątrz.

- Nie zatrzymujcie się - wysapała dziewczyna.

Wszystko - ceglane budynki, iglasty zagajnik w oddali, trawę - spowijała mgła przedświt. Ostry deszcz uderzył Arden w twarz. Ziemista, wyniszczona twarz otoczona ciemnymi strąkami włosów. Pobiegli w stronę drzew. Buty przemiękały od mokrej trawy. Mokra i zimno. Co ja tutaj robię? Była wykończona. Ugotowana. Nie mogła się już ruszyć ani o centymetr.

- Stop.

Dziewczyna i Eli zatrzymali się, wciąż ściskając ją za rękę.

- Puszczajcie. - Arden wyszarpnęła dłonie. Nogi ugięły się pod nią, opadła na kolana na przesiąkniętą deszczem ziemię.

Dziewczyna i Eli znowu spróbowali ją podnieść.

- Nie. - Arden odpędziła ich bezwładnym machnięciem ręki. Dajcie mi spokój. Miała dość ich szarpania, ciągnięcia i wrzasków. Widziała jak przez mgłę, było jej niedobrze, głowa bolała, bolała, bolała. Chuda twarz. Włosy w strąkach. Otwarte, patrzące na nią oczy. Wpatrzone w nią oskarżycielsko.

- Boże!

Głos dziewczyny zdawał się dochodzić z drugiego końca długiego tunelu.

- Ona jest ranna! Krwawi! Krwawi? O kim oni mówią?

Poczuła palec, dotykający delikatnie jej potylicy.

O niej. Mówią o niej.

Chyba przez wspomnienie sceny z filmu, gdzie ktoś wtykał sobie palec w rozbitą czaszkę, mdłości się nasiliły.

Odepchnęła dziewczynę, odpełzła kilka kroków na czworakach i zwymiotowała. Kiedy mdłości zelzały, dźwignęła się na nogi i ruszyła w stronę drzew.

Ziemia przechyliła się o dziewięćdziesiąt stopni. Arden upadła, uderzając twarzą w mokrą, błotnistą trawę.

I wszystko było dobrze, dopóki w jej świadomość nie wdarł się ryk, dopóki nie wróciła do rzeczywistego świata i przerażonych głosów.

Deszcz padał coraz mocniej, bijąc ją w twarz, tłukąc w opadłe liście. Dźwięk miliona ciężkich kropel domagał się miejsca w ćmiącej głowie. Kilka metrów obok rozgorzała nowa kłótnia.

- ...twoja wina. - To głos dziewczyny.

- Nie mów tak, Franny. Czemu tak mówisz?

Franny. Tak brzmiało imię, którego Arden nie mogła sobie przypomnieć. Poznała ją w pokoju w wieży. Franny i Noah grali w karty.

- Moja wina? - pytał Noah. - Niby z jakiej racji?

- Szukała ciebie.

- Nie prosiłem jej, żeby szła mnie szukać. Nie kazałem jej walnąć się w głowę.

- Zadzwoniliście na pogotowie? - zapytał Eli. Kucał o kilka kroków od Arden z rękami oplecionymi wokół kolan i gapił się na nią.

- Próbowałem, ale telefon mi coś nawala - odparł Noah.

- Franny, zadzwoń na pogotowie.

Arden przekręciła się na plecy, wyciągnęła ręce. Jak to się stało? Jak się tu znalazła? Wczoraj życie było o wiele prostsze. Wczoraj była trzy tysiące kilometrów stąd.

- Cholera - rzucił Noah spiętym głosem. - Jakiś samochód jedzie. Zwiewamy?

- Jesteś po prostu chory - powiedział Eli. Ryk silnika. Trzask drzwi.

- Kto to? - spytała Franny.

- Fury - odparł zaniepokojony Eli. - Agent Fury.

Nathan Fury szedł szybko po mokrej trawie, omiatając teren silną latarką. Deszcz siekł jego czarny trencz. Świt nadszedł, ale wciąż się chował, choć ptaki, pełne nadziei, ćwierkały w kępie iglastych drzew.

Dzieciaki.

Troje, dokładnie rzecz biorąc.

Fury widywał ich w ośrodku. Wiedział, że zrobili sobie przerwę w studiach, żeby wziąć udział w badaniach Harrisa.

Stali w półkołu. Kiedy odległość między Furym i grupką zmniejszyła się, zobaczył kogoś leżącego na ziemi.

Skierował światło latarki na ciało, poczynając od stóp.

Sportowe buty. Dżinsy. Koszulka. W końcu promień spoczął na szarej, zabłoconej twarzy Arden Davis.

Fury poczuł nagle ucisk w żołądku. Ruszył biegiem i w tej chwili Arden poruszyła się, uniosła rękę i położyła przedramię na twarzy, by zasłonić oczy.

Natychmiast wziął się w garść i wszedł na powrót w rolę Agenta Specjalnego Nathana Fury'ego, obiektywnego, chłodnego i władczego.

- Co tu robicie? - zapytał stanowczym głosem i ruszył po mokrej trawie, w którą zapadały się skórzane półbuty.

Cała trójka zaczęła coś mówić jednocześnie.

- Uderzyła się w głowę.

- Potrzebuje lekarza.

- Krew jej leci.

Fury kucnął przy Arden, oparł rękę na ugiętym kolanie, a drugą dotknął jej policzka. Podniosła się do pozycji siedzącej.

- Nic mi nie jest. - Mówiła cicho, trochę bełkotliwie.

Czyżby znowu piła? A niby co to znaczy: znowu? Czy w ogóle kiedykolwiek przestała?

- Myśmy się tylko, no wie pan, wyglądiali - powiedział chłopak imieniem Eli. - I nie wiem, jak ona się uderzyła w głowę.

Fury'ego nie interesowały szczegóły. Prawdopodobnie i tak nie usłyszałby prawdy. Arden musiała jechać do szpitala.

- Pomóżcie mi ją zaprowadzić do samochodu. Zabiorę ją na ostry dyżur. Arden zaprotestowała, ale nie tak stanowczo, jak się spodziewał, co nie

było dobrym znakiem. Z pomocą Elego wsadził ją do samochodu, na siedzenie obok kierowcy.

- Poradzimy sobie - powiedział, kiedy chłopak zaczął wsiadać.

Eli pokiwał głową. Drzwi trzasnęły i po chwili Fury i Arden jechali już wyboistą drogą.

- Czy na wstrząs mózgu podają morfina? - zapytała Arden, z zamkniętymi oczami i z głową opartą o zagłówek.

Fury próbował omijać większe dziury na brukowanej jezdni, ale niektórych nie dało się uniknąć.

- Raczej nie podadzą środków uspokajających.

- Szkoda. Morfina byłaby miła.

Przez ostatnich kilka miesięcy w Quantico dużo gadano o tym, jak bardzo się stoczyła. Nawet

agenci FBI lubią plotkować i przesadzać, ale Fury obawiał się, że wszystko, co o niej mówiono, jest prawdą.

Po dwóch godzinach spędzonych na ostrym dyżurze, po tomografii komputerowej i zastrzyku przeciwłężcowym u Arden stwierdzono lekkie wstrząśnienie mózgu, dano coś przeciwbólowego i kazano pójść do domu i odpoczywać.

- Nie będzie szwów? - zapytała młodego lekarza.
- Poradzi sobie pani bez szwów. - Wyszedł z gabinetu zabiegowego, żeby wypisać receptę i zalecenia.

Arden siedziała na leżance, dyndając nogami. Fury stał po drugiej stronie pokoju.

Nie zdjął przemoczonego, zmiętego płaszcza, który wisiał na nim jak szmata. Krótkie włosy były rozczochrane. Z rękami w kieszeniach patrzył przez okno starego, ceglanego budynku na coraz mocniej padający deszcz.

- Nie mam nic przeciwko deszczowi. Jest jakiś taki spokojny... - powiedział nagle ku jej zaskoczeniu.

Wcześniej, kiedy lekarz badał jej głowę, Arden przypomniała sobie to, o czym zapomniała.

- Widziałam ciało - powiedziała teraz. Fury powoli się obrócił.
- Co? - Rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się znaleźć tu trupa.
- Ciało.
- Gdzie?

- W Budynku 25. W jednej z komór pozbawiania impulsów zmysłowych. Wzdrygnął się, ale wziął się w garść, przynajmniej stwarzał takie pozory. Arden widziała, że zastanawia się nad jej poczytalnością i urazem głowy.

Układa. Przekłada. I odrzuca.

- Miałaś wstrząśnienie mózgu. Lekarz powiedział, że przez jakiś czas możesz być trochę skołowana.
- Widziałam ciało w jednej z komór.

Jej głos brzmiał pewnie. Wiedziała z doświadczenia, że trzeba mówić pewnie, jeśli chce się coś osiągnąć. Nawet jeśli samemu nie jest się pewnym, trzeba udawać. To, co powiedział Fury, nie zdziwiło jej. Prawdę mówiąc, bała się, że jej stan psychiczny *może* być gorszy, niż sądzi Fury.

- Martwe? - zapytał.
- Nie wiem.

Fury wyjął komórkę, wybrał numer i podniósł telefon do ucha.

- Chcę, żeby ktoś sprawdził piwnice Budynku 25. Pokój z komorami pozbawiania impulsów zmysłowych - powiedział komuś na drugim końcu linii. - Mam tu kogoś, kto twierdzi, że widział coś, być może człowieka, w jednej z komór. Proszę to sprawdzić i dać mi znać.

Schował telefon do kieszeni.

- A co ty robiłaś w Budynku 25? Coś głupiego.
- Zabawiałam się z fajnymi dzieciakami. Spojrzył na nią ze zbolaną miną.
- Nie wiem. A co ja robię w Madeline? Co robię tutaj? Dlaczego z tobą rozmawiam? Czy wszystko musi mieć powód?
- To było proste pytanie.

- Twoja protekcyjnalna postawa mnie wkurza.

- Nie chciałem być protekcyjnalny. - Jego twarz nie wyrażała niczego, głos był spokojny. Agent FBI. Był w tym świetny, ona też kiedyś była świetna.

Ale wszystko się zmieniło.

- Próbowaliśmy znaleźć Noaha - powiedziała. - Zabłądził w budynku, typowy szczeniacki

wybryk. Poszłam za nimi, żeby mieć na nich oko. -Wzruszyła ramionami. - Ale nie bardzo mi wyszło.

Zadzwoniła komórka. Fury odebrał.

Krótką rozmowa, zakończona zwięzłym „Dzięki”. Rozłączył się i posłał Arden spojrzenie pełne satysfakcji.

- Wszystkie trzy komory są puste. Oczywiście, że teraz są puste.

- W wannie leżał prawdopodobnie Noah - ciągnął Fury. - To wszystko było żartem, który miał napędzić stracha jego dziewczynie. Ale zamiast niej to ty go znalazłaś.

Mógł mieć rację.

- Porozmawiaj z Noahem - dodał. - Może się przyzna.

- Dobrze.

Papierowa serweta zmarszczyła się, kiedy Arden zsunęła się z leżanki. Dopadły ją mdłości i musiała odczekać chwilę, aż ustana.

Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Czowała się jak przypadkowy widz, jak ktoś oglądający przedstawienie. Ale przecież życie było serią ról. Niektóre grało się lepiej niż inne.

- Może sama powinnam zajrzeć do komór.

Nie chciała tego robić. Na myśl o powrocie znów ją zemdlilo. Nie była pewna, czy byłaby do tego zdolna, i przyłapała się na pełnej nadziei myśli, że Fury zechce jej to wybić z głowy.

- Posłuchaj, Arden, słyszałaś, co mówił doktor. Musisz odpocząć. Maskę, którą nosił, ześlizgnęła się odrobinę i teraz jego twarz zdawała się wyrażać szczerą troskę. Część gry.

Wyobraziła sobie siebie jako sędziego olimpijskiego, trzymającego tabliczkę z notą. Dała mu dziesięć.

- Daj sobie z tym spokój - powiedział. - Doznałaś urazu głowy. Jesteś zdezorientowana. Było ciemno. Szukasz rzeczy, których nie ma. Szukasz rzeczy, które nie istnieją.

Faktycznie, lepiej o tym zapomnieć. Taka decyzja wydawała się jednocześnie słuszna i niesłuszna. Przynosiła ulgę, a jednocześnie dręczący niepokój.

Powietrze wokół nich przeszywał zapach środka dezynfekującego, którym młody lekarz przemył jej głowę. Ramię ją mrowiło i było gorące od zastrzyku przeciwțęcowego. Jutro będzie obolałe jak cholera.

Fury ją obserwował. Bardzo uważnie.

Nagle odniosła dziwne wrażenie, że chce jej dotknąć. Cofnęła się o krok.

Musi być ostrożna. Musi uważać na to, co mówi i do kogo to mówi. A nawet uważać na to, co myśli. Szczególnie przy Furym. W tej chwili przecież czytał jej w myślach, siedział w jej głowie, spacerował sobie po niej, pogwizdując.

Powinnam wyjechać. Spakować rzeczy i wynieść się stąd.

Uśmiechnęła się do Fury'ego.

Odpowiedział uśmiechem.

Nie ufaj nikomu.

Nawet sobie. Przede wszystkim sobie.

- Daj sobie trochę czasu - powiedział Fury. - Dopiero co przyjechałaś. Do czego miałabyś wracać?

- Dlaczego ciągle to powtarzasz? Miałam swoje życie.

- Uciekałaś.

- Nie, próbowałam przetrwać. To wielka różnica. - Przyjrzała mu się uważnie. - Ty się ich boisz.

Ściągnął brwi, zdumiony.

- O czym mówisz?

- O komorach. Dostrzegłam to, kiedy powiedziałam, że chcę je zobaczyć.

- Nonsens.

Ale nagle zrobił się nerwowy. Nic ostentacyjnego, ale ona nadal umiała odczytywać ludzkie emocje. Fury był zdenerwowany.

- Byłeś w komorze, tak? - rzuciła na próbę. Potarł dłonią kark. Zagapił się na własne stopy. Po kilku chwilach uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. I nagle wydało się jej, jakby dzielące ich drzwi otwały się na oścież. Mogła zajrzeć na samo dno jego duszy. Zobaczyła strach. Po prostu strach.

W przeblýsku świadomości zrozumiała, skąd się wzięły jego siwe włosy. Nie od ręki trupa w szafie, ale od komory pozbawiania impulsów zmysłowych. Odsiedział w niej swoje, tak jak ona. Drzwi znów się zatrzasnęły.

- Komory to relikty przeszłości - powiedział z przekonaniem. - Już się ich nie używa. Nikt ich nie używa.

Rozdział 10

Na ścianach gabinetu doktora Harrisa wisiały oprawione w ramki okładki „Time'a” i „Newsweeka”.

DOKTOR PHILLIP HARRIS, SZEFE WYDZIAŁU BADAŃ PSYCHIATRYCZNYCH W INSTYTUCIE WELLERA, LAUREATEM NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE MEDYCYNY

Arden pochyliła się bliżej, żeby sprawdzić daty na okładkach. Trzy lata temu nagrodzono jego badania nad terapią izolacyjną. I właśnie dlatego FBI zwróciło się do niego. Chcieli mieć najlepszego.

No, ale w końcu facet, który wymyślił lobotomię, też dostał Nobla.

Panowało powszechne przekonanie, że psychiatrzy zostają psychiatrami, bo sami mają pokaleczoną psychikę, wymagającą naprawy. Arden też tak uważała. Byli jednak badacze, których ego kazało im wierzyć, że są najnormalniejszymi ludźmi na całej planecie. Oni szukali czegoś innego niż wyjaśnienia własnych fobii i niepokojów. Właśnie do takich zalicza! się Harris. Szukał uznania w oczach równych sobie i w oczach świata.

Czekała już piętnaście minut.

Usiadła w skórzanym fotelu naprzeciw ogromnego, mahoniowego biurka. Po dwóch minutach znów wstała, by przyjrzeć się zdjęciu na ścianie.

Przedstawiało zespół badawczy Harrisa, maleńki na tle starego szpitala. Większość osób nosiła białe, laboratoryjne kitle. W pobliżu stały trzy kobiety, prawdopodobnie żona i dwie córki Harrisa.

Drzwi gabinetu otwały się. Serce Arden zabiło mocniej. Odwróciła się.

Harris pospiesznie wszedł do gabinetu, zamykając drzwi za sobą.

- Arden. - Mówił głosem pełnym ciepła, jak do bliskiej, lubianej krewnej. - Jak miło cię widzieć.

- Podeszedł do niej, wziął ją w ramiona i mocno uściskał. Pachniał tak samo jak kiedyś, jakąś leśną wodą po goleniu.

Wypuścił ją z objęć i wskazał fotel, z którego przed chwilą wstała. Sam usiadł za biurkiem i położył przed sobą szarą teczkę.

Nie zapomniała go.

Wysoki i chudy, miał około czterdziestu pięciu lat, siwiejące skronie. Nie był przystojny, ale wyglądał dobrze i był pełen energii.

Ludzie mówili, że nigdy nie sypiał. W każdym razie zawsze krążyły takie plotki. Mówiono też, że pacjentki się w nim kochają. Arden nie miała mu tego za złe, pacjentki zawsze zakochiwały się w lekarzach.

Jej własne uczucia do Harrisa były mieszane. Z początku go nie lubiła. Wydawał się zbyt zimny i

za bardzo poukładany. O wiele za bardzo. Ale powoli zdobył sobie jej sympatię. Nadal uważała, że jest zbyt ważny i władczy, co ją denerwowało, było jednak coś krzepiącego w sposobie, w jaki potrafił się wycofać i pozwalał innym przejąć dowodzenie.

Prawdopodobnie znał ją lepiej, niż ona znała samą siebie. Przecież kontrolował jej myśli.

- Jak tam głowa? Słyszałem, że miałaś mały wypadek.
- Nic mi nie jest. - Czy Fury o wszystkim mu opowiedział?
- Podobno biegałaś po Budynku 25 w środku nocy. Co to za historia?
- Zwykle szczeniackie wygłupy. Nic mądrego. - Nie chciała o tym mówić, to naprawdę była głupota.
- Cieszę się, że cię widzę, ale powiem wprost, że jestem przeciwny twojemu pobytowi tutaj - oznajmił. - Powiedziałem to agentowi Fury'emu i chcę, żebyś też to wiedziała. Doszłaś już do granic wytrzymałości.
- Podpiszę oświadczenie, zwalniające pana z wszelkiej odpowiedzialności - odparła.
- Nie martwię się tylko o siebie i o projekt, Arden. Martwię się o ciebie. Troszczę się o swoich ochotników i o pacjentów.
- O mnie proszę się nie martwić. Nic mi nie będzie.

Pokręcił głową i wymamrotał coś w rodzaju: „cholerne FBI”. W końcu zapytał:

- Wróciły jakieś wspomnienia?

Proces wybielania był podobny do pierwotnej indoktrynacji, tyle tylko, że nagrany głos raz po raz polecał jej zapomnieć o horrorze, którego była świadkiem w dniu śmierci rodziców, i o wszystkim, czego się wcześniej nauczyła, leżąc w komorze. Sugestia posthipnotyczna w skrajnie silnej formie, wzmocniona lekami, odcięciem od doznań zmysłowych i odosobnieniem.

- Kilka przeblysków, ale nic znaczącego.
- Przecież właśnie tego chciałaś. Arden pochyliła się do przodu.
- Czy którakolwiek z osób poddawanych testom mówiła kiedykolwiek o... - przerwała. Jeśli powie Harrisowi, że czasami słyszy w głowie Alberta Frencha, może nie zezwolić jej na powrót.
- O czym? Zrobiła unik.
- O komorach... O tym, jak nie cierpią komór.
- Wszyscy. Ale nie używamy już komór. Nie martw się o to. Wszystko zostało zmodyfikowane i doszlifowane.

- Wszystko mi jedno. Chcę tylko złapać mordercę moich rodziców. Zrobił zatroskaną minę.
- A ja przede wszystkim martwię się o ciebie - powtórzył. Machnęła ręką, jakby lekceważąc jego słowa.
- Wie pan, o co mi chodzi. Proszę mnie nie oszczędzać. Tylko tyle. Harris położył splecione dłonie na jej teczce osobowej.
- A wiesz, czego ja chcę? Żebyś stąd wyjechała i wróciła do Nowego Meksyku, gdzie zaczęłaś nowe życie.

Posłała mu oszczędny uśmiech. Najwyraźniej on i Fury nie grały w tej samej drużynie. I dobrze.

- Nie wycofasz się, prawda? - zapytał Harris.
- Nie.
- Mogę odmówić przyjęcia cię do programu.
- Muszę w nim być. Westchnął z rezygnacją.
- Wiedziałem, że nie zdołam ci tego wybić z głowy. Zaczniemy powoli i będziemy cię uważnie obserwować. Postaram się nie obciążać cię bardziej, niż należy, ale musieliśmy zwiększyć tempo. Na życzenie FBI.

- Skoro byłam tu już wcześniej, szybkie tempo może nie mieć znaczenia.
- Mam nadzieję, ale w tej kwestii też mam zastrzeżenia.
- Po prostu chcę zacząć. Chcę już coś zrobić.
- Dobrze. Kiedy stąd wyjdiesz, spotkasz się z moją asystentką, która da ci rozkład zajęć i

wprowadzi cię w szczegóły. Wypełnisz parę papierków. Jutro przejdziesz rutynowe badania wstępne. Jeśli wszystko będzie w porządku, zaczniesz pojutrze. A tymczasem, a także w trakcie indoktrynacji, chcemy, żebyś ćwiczyła, jadła jak należy, wysypiała się porządnie osiem godzin każdej nocy.

- Nie ma sprawy - odparła, choć nie mogła obiecać tych ośmiu godzin.

- Zacniemy od fazy odkodowywania. Opróżnimy cię, zanim zacniemy cię programować nowymi informacjami. A potem odświeżymy ci wspomnienia na temat Frencha.

Arden przełknęła ślinę.

- Jeśli ktoś naśladuje Frencha, istotne jest wprowadzenie go na nowo do twojej świadomości i podświadomości - ciągnął Harris. - Potem obejrzysz taśmę wideo z najnowszego miejsca zbrodni naśladowcy. FBI ma nadzieję, że zdołasz powiązać obu przestępców ze sobą i stworzyć wiarygodny profil.

Kiwnęła głową. Wiedziała, jak to funkcjonuje. Harris otworzył szufladę biurka i wyciągnął płytę DVD w przejrzystym pudełku.

Na pudełku napisane było jej nazwisko.

- To ostatni wywiad z tobą. - Podał jej płytę. - Przed wybielaniem. Arden zaschło w ustach; serce znów zaczęło łomotać jak szalone.

- To nie jest żadne zadanie. Nie ma nic wspólnego z tym, co będziemy robić. Nie musisz tego oglądać. Po prostu pomyślałem, że masz prawo mieć to nagranie. I obejrzyj je tylko pod warunkiem, że tego chcesz.

Czy zdoła się zmusić, by podnieść pudełeczko? Chciała stracić je z biurka, jakby było pajakiem. Wzięła je jednak i wstała z fotela.

Kiedy następnego ranka zadzwonił budzik, Arden zwlokła się z łóżka. Włożyła szare spodnie dresowe, koszulkę i bluzę, dodając do tego czarną czapkę z miękkiej wełny.

Jakby dała radę przebiec więcej niż dwa kilometry, pomyślała kwaśno.

Poczłapała do windy.

Był czas, że zbiegłaby po schodach, pełna energii wypadła na dwór i pognała na ścieżkę do joggingu. Teraz wydawało się jej, jakby to było w innym życiu. Bo było.

Oczy jeszcze się nie obudziły, miała problem z wypatrzaniem guzików windy. Dźgnęła jeden palcem i drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

Budzik nastawiła na szóstą rano, co oznaczało, że spała zaledwie trzy godziny.

Wyszedłszy na dwór, zrobiła kilka ostrożnych kroków. Stary nawyk kazał jej unieść ręce, przyciągnąć łokcie do boków. Jedna noga, druga noga.

O tak. To prawie tak naturalne, jak chodzenie.

Widziała swój oddech. Podobało jej się to.

Zastrzyk tlenu rozjaśnił jej w głowie. Nagle stwierdziła, że sprawia jej to przyjemność, że cieszy ją siła własnego ciała i ruch, który był lepszy niż zwyczajne chodzenie.

Dlaczego przestała to robić? To takie przyjemne.

Usłyszała za sobą tupot; u jej boku pojawił się Noah w przepoconej, szarej bluzie i czarnych luźnych spodniach.

- Zapomniałam, jakie to przyjemne - powiedziała, kiedy się z nią zrównał. - Gdybym mogła latać, pewnie byłoby to podobne uczucie.

- Nie forsuj się za bardzo za pierwszym razem. Dobra rada.

Płuca ją paliły, pot lał się po kręgosłupie. Kusilo ją, by pobiec dalej, jeszcze ze dwa kilometry. A potem następne dwa. Ale zwolniła kroku. Przy głównym budynku oboje zwolnili do szybkiego marszu.

Ciało wydało się nagle Arden sztywne i niezręczne, jakby było stworzone tylko do biegu, nie do

chodzenia. Słońce stało wyżej na niebie, wysysając wilgoć z powietrza. Z zimnych powierzchni, na które padły promienie słoneczne, unosiły się małe smużki oparów.

- Chciałem cię przeprosić za tamtą noc - powiedział Noah. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. To było idiotyczne. Franny po prostu czasem doprowadza mnie do szału, kiedy gada, jak to mi wszystko łatwo przychodzi. I wtedy zaczynam trochę świrować.

Zatrzymali się kilka metrów od ciężkich, dwuskrzydłowych drzwi.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziała Arden. Stojąc obok niego dostrzegła, że jest drobny i mizerny. - Leżałeś wczoraj w jednej z komór de-privacyjnych?

Noah ściągnął pasiastą czapkę. Ciemne, wilgotne włosy sterczały na wszystkie strony.

- Słyszałem, że widziałas coś w komorze. - Podciągnął skraj szarej bluzy, by otrzeć twarz, po czym go opuścił. - To nie ja. Przysięgam. Po co miałbym robić coś takiego?

- Żeby nas wystraszyć. Szczególnie Franny. Roześmiał się i pokręcił głową.

- Sam byłem za bardzo wystraszony.

- Widziałeś coś niezwykłego? Słyszałeś coś?

- Nic, dopóki nie upadłaś i nie narobiłaś hałasu. Dzięki temu do was dołączyłem.

Czy to była tylko jej wyobraźnia? Czy wydawało jej się, że zobaczyła kogoś w komorze? Im więcej czasu mijało, tym bardziej była przekonana, że Fury miał rację. Może to była halucynacja wywołana stresem. Wiadomo, że pod wpływem silnego stresu lub podniecenia ludzie widzą rzeczy, których nie ma.

- Urządzamy sobie piknik dziś po południu - powiedział Noah. - Jutro zaczynamy nowe badania, i to może być ostatnia okazja, żeby się trochę zabawić, przynajmniej przez jakiś czas. Poza tym nareszcie ma być ładna pogoda. Powinnaś przyjść.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się, po raz pierwszy od przyjazdu na Wzgórze odrobinę uspokojona. - Może przyjdę.

Przez następnych kilka godzin przechodziła szczegółowe badania na potrzeby programu OZ.

Kiedy laboranci skończyli pobierać jej krew, badać jej odruchy i sprawność umysłową, poszła przez trawnik do Budynku 50 i swojego pokoju.

Ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciwszy się, zobaczyła Noaha, Elego i Franny siedzących na kocu, na słońcu. Noah pomachał do niej energicznie i kiwnął, by się przyłączyła.

Dopiero teraz przypomniała sobie jego zaproszenie.

Franny zerwała się z ziemi i rozłożyła dodatkowy koc.

- Musisz do nas przyjść.

Arden była zmęczona i chciała zostać sama, ale oni uśmiechali się, pełni oczekiwania, a koc i trawnik wyglądały naprawdę zachęcająco.

Ruszyła w ich kierunku.

Jedli chleb, ser i truskawki w czekoladzie. Pili szampana z plastikowych kubków. Śmiali się i drzemali w słońcu, dopóki nie opadło nad horyzont -i dopóki nie znalazła ich Vera Thompson.

- Słyszałaś ich tej nocy? - Spojrzała surowo na Arden.

Arden oparła się na łokciach. Teraz, kiedy słońce zachodziło, zrobiło się chłodno.

- Kogo?

- Ludzi-cienie.

Noah wydał dźwięk, jakby się dławził. Franny zgromiła go spojrzeniem, ale opanował się z trudem.

- Nie, pani Thompson - odparła Arden. - Niczego nie słyszałam. W takim razie śpisz jak kłoda. Biegali po całym budynku.

Arden spojrzała kolejno na Elego, Franny i Noaha.

- Ścigaliście się w nocy po korytarzach? Pokręcili głowami.

- Musisz uważać. - Pani Thompson wycelowała w Arden artretyczny palec. - Zamykaj drzwi na klucz. Nie zapominaj zamykać drzwi na klucz.

- Nie zapomnę.

Jakiego okrutnego figla spletał Bóg starym ludziom. Teraz, kiedy już przetrwaliście te wszystkie lata, szamocząc się z całym tym gównem, wytnę wam jeszcze jeden, ostatni numer: demencję.

- Co noc zamykam drzwi - powiedziała Arden. Vera nagle zauważyła pozostałych.

- Was też to dotyczy. - Wskazała kolejno każde z nich. - Zamykajcie się porządnie.

- Tak zrobimy - odparła Franny.

Eli przekrzywił głowę i uśmiechnął się; Noah gapił się twardo w ziemię, przyciskając pięść do ust. Vera odeszła, szurając nogami.

Noah wybuchnął śmiechem, który wstrzymywał przez cały czas.

- Jezu - mruknął Eli pod nosem.

- Biedna kobieta - dodała Franny. Noah zerwał się z koca.

- Ktoś powinien skrócić jej cierpienia. Franny poderwała głowę.

- Noah!

- Przepraszam, ale ja nie chcę nigdy być stary i znikowany. - Naciągnął czapkę na głowę. -

Miałem ochotę jej powiedzieć, że ludzie-cienie mogą się prześlizgnąć pod drzwiami, ale nie powiedziałem.

- Gratulacje, stary - wycodził sarkastycznie Eli.

Pozbierali rzeczy. Arden złożyła koc i podała go Franny. Chwilę potem podziękowała im i ruszyła do swojego pokoju. Furry dogonił ją przed wejściem do Budynku 50.

- Wyjeżdżam na parę dni - powiedział, lekko zadyszany. - Coś mi wypadło. Miał na sobie dzinsy i sztruksową marynarkę i wyglądał zupełnie inaczej.

- W związku z morderstwem w Oklahomie?

- Raczej w sprawie innego śledztwa. Ale paru moich ludzi stara się ustalić jakiś konkretny związek między masakrą w Oklahomie a śmiercią twoich rodziców. Jak na razie te dwie sprawy łączy tylko sposób działania mordercy. Prawdę mówiąc, nie zebrano solidnych dowodów w twoim... - Urwał.

Rozumiała, co ma na myśli. Małomiasteczkowi gliniarze byli niedostatecznie wyposażeni - i to pod każdym względem - by poradzić sobie z taką jatką.

- Masz mój numer na komórkę? - zapytał Furry.

- W pokoju.

- Dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Miałem nadzieję, że będę tu jutro, kiedy zaczniesz pierwszy etap. - Wydawał się zmartwiony.

- Nie ma się czym przejmować.

- Wrócę za dzień czy dwa. Kiwnęła głową.

- Wszystko będzie dobrze. - Nie wiedziała, czemu właściwie go to obchodzi.

Następnego ranka wstała wcześniej, biegła, potem wzięła prysznic i ruszyła do Szpitala Miłosierdzia, do siedziby programu OZ. Choć nie było jeszcze ósmej, w budynku panował ożywiony ruch. Ludzie w laboratoryjnych kitlach chodzili w pośpiechu po korytarzach, energia całego zespołu dawała się niemal wyczuć przez skórę. Pikały pagery lekarzy, z sali do sali popychano wózki z medycznym sprzętem.

Ruchliwe miejsce. Arden nie pamiętała, czy było tak ruchliwe, kiedy przedtem brała udział w programie. Program OZ zajmował parter odosobnionego skrzydła. Czekali na nią.

- Wszyscy bardzo się cieszymy, że mamy panią tutaj - powiedziała żwawa, młoda blondynka, dotykając palcem grzbietu dłoni Arden, by znaleźć dobrą żyłę.

- Po co ta kroplówka?

- To roztwór soli fizjologicznej. - Dziewczyna unieruchomiła wenflon plastrem i z głośnym klaśnięciem usunęła gumę, ściskającą ramię Arden. Wyprostowała się i przesunęła kółeczko

regulacji przepływu na rurce kroplówki. - Żeby się pani nie odwodziła. A co, nie lubi pani igieł? Arden spojrzała na worek z roztworem soli, wiszący na stalowym stojaku.

- Nie. Po prostu takie rzeczy kojarzą mi się z chorobą.

Położono jąna wózek i przewieziono do sali, która wyglądała, jakby ostatni raz zmieniano jej wyposażenie w latach dwudziestych. Zielone kafelki na ścianach. Ciężka, porcelanowa umywalka na postumencie.

Doktor Harris wszedł do sali i zamknął drzwi.

Znów pachniał leśną wodą po goleniu, ale pod tym zapachem krył się jakiś inny, nieprzyjemny.

Coś, co nie podobało się Arden, ale czego nie potrafiła określić.

- Przepraszam, że czekałaś. - Wyciągnął z głębokiej kieszeni białego kitla strzykawkę, zdjął osłonkę z igły i uniósł ręce, by wstrzyknąć płyn do worka z kroplówką.

- Co to?

- Coś, co pomoże ci się odprężyć i sprawi, że czas zleci trochę szybciej.

- Nie, pytam konkretnie, co to jest.

- Łagodny środek uspokajający. Dzięki niemu będziesz też bardziej podatna na sugestie. To element procedury. - Spojrzał na nią. - Wolałabyś, żebym tego nie używał?

- Nie. - Wcześniej też stosowali środki farmakologiczne, ale nigdy przez kroplówkę. Ale dlaczego ma narzekać na łagodny środek uspokajający? - Proszę bardzo.

- Pamiętaj, że to ty decydujesz. W każdym momencie sesji możesz wszystko przerwać. Możesz powiedzieć, że masz dość. Jasne?

Kiwnęła głową.

- Już po kilku sekundach ciepło zaczęło się rozchodzić po jej ciele; mięśnie zwiótzczały.

- Bardzo dobrze. Nie walcz z tym - powiedział Harris. - My się wszystkim zajmujemy. Nie musisz robić nic, odpoczywaj.

Odleciała. Odpłynęła. Straciła rachubę czasu.

Doktor Harris zwrócił się do kogoś, kogo Arden nie widziała.

Zawieźcie ją do podziemia i przez tunel do Budynku 25.

Arden próbowała się odezwać, zaprotestować, ale nie mogła się ruszyć.

Nareszcie zidentyfikowała tamten zapach.

Skorodowany metal. I guma.

Komora pozbawiania impulsów zmysłowych.

Rozdział 11

Zapachy. Słona woda. Środek dezynfekcyjny, od którego paliło w gardle. Korozja. Rdza.

Szczęknięcie. Dalekie echo metalu uderzającego o metal. Jak dzwon boi na morzu, w gęstej mgle.

Arden nie miała ciała ani kończyn. Zostawiła je gdzieś. Zapomniała. Wyrzuciła. Bo były niepotrzebne. Głos. Tylko to się liczyło. Wszystko było głosem.

- Stajesz się tym, kogo zabijasz - mówił głos. - Nie możesz o tym zapomnieć. Jeśli spojrzysz komuś w oczy, kiedy zabijasz, kradniesz częśćkę jego duszy.

Jak źle odbierana fala radiowa głos gasł i nasilał się, zmuszając ją do wyęzania słuchu, by uchwycić każde słowo. Ale nawet jeśli coś jej umknęło, wracało po chwili.

Zawsze wracało. Powtarzając przekaz.

Głos mężczyzny.

— Zabijam ludzi - mówił. - Narasta we mnie wściekłość, głęboka, wrząca nienawiść do ludzkości. Kiedy to się dzieje, kiedy dochodzę do punktu, że chwile dzielą mnie od wybuchu, nie obchodzi mnie nic. Po prostu chcę zabijać. Muszę zabijać, odbierać życie.

Głos był niski i głęboki.

Podobało jej się to.

- Więcej niż jedno życie. Wiele istnień. Chcę ranić, zadawać ból. Nie tylko fizyczny ból, psychiczny również. Nie mówię o torturach. Nie należę do tych przyjemniaczków. Mamy tu kilku takich, ale nie o to w tym wszystkim chodzi. Nie to mnie kręci.

Wyteżyła słuch, by usłyszeć następne słowa.

- Unicestwienie. Zmiatanie ludzi z powierzchni ziemi. Wielka, pieprzona demonstracja moich poglądów na temat świata, ludzi i życia w ogóle. Większość ludzi to banda pieprzonych pszczoł-robotnic, kręcących się za swoimi sprawami i niezastanawiających się nawet nad szerszą perspektywą. Chcę ich zmusić, żeby dostrzegli tę perspektywę, zobaczyli, że nic z tego nie ma znaczenia. Że to wszystko gówno. Udawanie. Ludzie muszą o tym wiedzieć. Muszą się obudzić. Trzeba ich otrząsnąć z tego zadufania w sobie, z tej fałszywej rzeczywistości, którą sami stworzyli.

Racja, pomyślała Arden.

- To nic nadzwyczajnego. Świat stworzył zasady, ale one nie są dla mnie. Nie dotyczą mnie w żaden sposób.

Głos przycichł, jakby mówiący odsunął się od mikrofonu albo odwrócił głowę. Z całych sił starała się usłyszeć. Nie chciała niczego uronić.

- Zabijanie to nic wielkiego. Zgniatanie mrówek. Zgniatam mrówki, tylko tyle. Ale wszyscy myślą, że to wielkie halo. - Roześmiał się.

Miły śmiech. Głęboki. Pełen ironii.

- To wszystko to żart. Tego was uczę. Że to żart. Wszyscy jesteście zbyt poważni. Życie to żart. Musicie o tym pamiętać, nie wolno wam zapominać.

Arden całkowicie straciła poczucie czasu i przestrzeni. Nie było nic oprócz teraźniejszości. Nic oprócz dryfowania, ciemności i uderzeń dzwonu na boi.

I głosu.

Bez głosu istnienie byłoby nie do zniesienia. Byłaby uwięziona w ciemności bez żadnego punktu zaczepienia. Głos pozwalał jej funkcjonować, chronił ją przed obłędem.

- Teraz będę mówił o tym, jak zabijałem - powiedział. - Opowiem szczegółowo, jak to robiłem. Słyszała to już wiele razy, nauczyła się na pamięć i mogła opowiadać te historie razem z nim. Z początku tylko powtarzała za nim bezgłośnie, poruszając ustami.

Obserwowałem ich ze wzgórza za domem. Był wieczór i paliły się wszystkie światła. Nawet nie zasłonili okien. Widziałem, jak chodzą po domu. Moje własne, prywatne przedstawienie.

Arden zaczęła szeptem wymawiać słowa...

- Nawet nie próbowali walczyć. Nigdy nie walczą. Stoją jak stado owiec, wiesz. To zawsze rozwściecza mnie jeszcze bardziej, kiedy skamlą, kulą się i błagają o litość, zamiast działać. Z tych wszystkich ludzi, których zabiłem, nikt nigdy nie próbował zabić mnie. Niektórzy się szamotali, ale nikt nigdy nie był agresywny. No nie, to nie do końca prawda. Miałem raz jednego dziadka, który wpadł do domu z siekierą. Ale facet był tak stary i słaby, że ledwie mógł ją unieść. Znow się roześmiał.

Arden roześmiała się razem z nim, sprawiając, że dzwon zadzwieczał.

- Wykosilem całą rodzinę. Wszystkich. Dziadzia. Mamuskę i tatuśka. Parkę, która okazała się synem i synową, a do tego dwójkę ich bachorów. Przysięgam, gorzej się czułem, kiedy sąsiad otruł mi psa. Lubiłem tego psa.

Arden czuła jego żal.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego wybrałem sobie środkowe stany? Białe rodziny z klasy średniej? Bo to najwięksi oszuści. Nienawidzę oszustów. Nienawidzę pozerów, a wszystkie te małe miasteczka rozsiane po Środkowym Zachodzie są sztuczne aż do bólu. Skąd wiem? Bo

wychowałem się w jednym z nich. Całemu światu wydaje się, że to jedna wielka mamusina szarlotka. Ludzie patrzą na to i zastanawiają się, co jest nie tak z ich własnym życiem. Arden kiwnęła głową i dzwon znów się odezwał. To prawda. Wszystko to była prawda.

- Nienawidzę gnoi. Życie to syf. I nie jest nawet w połowie tak ważne, jak im się wydaje.

Głos opowiadał dalej, o następnym morderstwie, i o kolejnym.

- Ale mam swoich uczniów - powiedział. - Wszyscy musimy mieć uczniów. Ludzi, którzy będą kontynuować nasze dzieło, kiedy nas już nie będzie. Ludzi, którzy będą podsycać płomień anarchii. Zgodziłem się na to nagranie, by prawda została wypowiedziana. Nie jakaś przekazana przez media, zniekształcona wersja prawdy, która jest prawdą tylko w czterdziestu procentach, a w pozostałej części materiałem na hollywoodzki film. Mnie chodzi tylko o prawdę. Kiedy zrobią o mnie film, chcę, żeby był wierny.

- Rozległo się klaskanie. - Niech żyje Albert French.

- Niech żyje Albert French - wyszeptała Arden. Jej głos wrócił do niej echem.

Rozdział 12

Głos umilkł. Arden wstrzymała oddech, w nadziei, że zabrzmi znowu. Cisza.

Cisza i ciemność.

Zmącona świadomość najbliższego otoczenia zaczęła powoli wkradać się do jej myśli. Pudło. Pojemnik. Coś jakby trumna. Po chwili przyszła świadomość samej siebie. To ona była w pudle. W ciemności. Unosiła się.

Arden usłyszała szcęk metalu. Dźwięk otwieranych klamer. Wieko pudła uniosło się; oślepiło ją jasne światło. Próbowwała podnieść rękę, by osłonić oczy, ale ramiona nie chciały się ruszyć.

- Wyłącz lampę sufitową - powiedział głos tak przytłumiony, że Arden nie mogła poznać, czy należy do mężczyzny, czy kobiety. — Razi ją w oczy.

Jasność przygasła.

Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, pochyliło się nad nią, robiąc coś przy jej nadgarstkach i kostkach. Czyżby była unieruchomiona? - Wyjąłeś kropłówkę? - zapytała kobieta.

- Tak - odparł mężczyzna.

- Tu masz plaster.

Dźwięk dartego papieru; przyklejono jej coś do grzbietu dłoni.

- Dasz radę usiąść? Kobieta mówiła do niej.

Czyjeś dłonie złapały ją za łokcie i ramiona. Pociągnęły do przodu. Woda wzburzyła się przy tym ruchu, poszła za nią, nie chcąc jej puścić, ale w końcu musiała się poddać i opaść.

- No i proszę - powiedziała radośnie kobieta.

Jedno ucho odetkało się i nagle Arden usłyszała pomruk pomieszczenia, jego oddech. Zimne powietrze owiało jej piersi. Zadrżała.

- Im szybciej cię stąd wyciągniemy, tym szybciej będziesz mogła wziąć ciepły prysznic - powiedziała kobieta.

Chwyciwszy ją za ramiona, podciągnęli ją na nogi, rozchlapując wodę. Była naga.

Gdzieś, w jakimś odległym zakątku umysłu błysnęła myśl, że powinna się przejmować swojąnagością-ale się nie przejmowała. Czy dziecko jest świadome siebie, kiedy się rodzi?

Owinęli ją kocem. Nie pomogło. Było jej zimno, strasznie zimno.

- Wyjdź z komory - polecił mężczyzna. Spojrzała w dół.

Mimo przyciemnionych światel wzrok Arden nie działał jak należy. Oczy miała załzawione, a

wszystkie przedmioty otaczała ruchoma, czerwona pościółka. Jakby przyciskała powieki dłońmi.

Ale zdołała odróżnić parę białych nóg, które musiały należeć do niej. Czowała, jak drżą.

Czy noworodka prosiliby, żeby stał?

- No, dalej - zachęcała ją kobieta. Końce palców przesunęły się na ramieniu, naciskając przez koc.

Arden podobała się ta kobieta. Miała matczyne, dodające otuchy głos. A facet wydawał się szorstki i niecierpliwy.

Jak pielęgniarz w *Moim przyjacielu Harveyu*. Uwielbiała ten film. Jimmy Stewart był świetny! Teraz nie ośmieliliby się zrobić komedii o facecie, który w gruncie rzeczy był po prostu alkoholiczkiem w delirium. To kompletnie niepoprawne politycznie.

- No, dalej — powtórzyła kobieta. Proszę bardzo.

Arden skoncentrowała się na jednej nodze. Na uniesieniu tej nogi, przełożeniu jej przez brzeg komory. Stopa wreszcie dotknęła szorstkiej, żelaznej platformy. Jeszcze jeden krok i była na zewnątrz.

Porwali ją ze sobą, i nagle film z *Haveya* zmienił się w *Silkwood*. Nagle stała się Meryl Streep, bezlitośnie szorowaną przez złowrogie ręce. Lano jej wodę na twarz, nie zważając na oczy, nos czy też fakt, że może chciałaby poodychać.

Nie jestem radioaktywna.

Chciała wypowiedzieć te słowa na głos, ale tak się nie stało.

A może była radioaktywna?

Po prysznicu wytarli ją szorstkimi ręcznikami, pomogli założyć szpitalną koszulę, po czym pchnęli na krzesło, by owinąć jej ramię mankietem ciśnieniomierza. Kiedy skończyli badać parametry życiowe, pojawiła się taca z jedzeniem: indyk i tłuczone ziemniaki.

Zapach szpitalnego jedzenia wywołał w niej odruch wymiotny.

- Niegłodna? - zapytała Mamuśka.

Arden znów się zadławiła.

Taca zniknęła.

Do ręki wetknięto jej niewielkie pudełko.

- Sok - powiedziała Mamuśka. -- Trochę soczku się napijesz, co? Pomogła Arden unieść pudełko do twarzy i pokierowała małą, wygiętą słomkę do ust. Jabłkowy. Niezły. Właściwie nawet dobry.

- Spróbuję znaleźć ci coś innego do jedzenia - powiedziała, kiedy Arden wypila sok.

Arden wydawało się, że pielęgniarzka nie zdażyła nawet wyjść, kiedy wróciła z pojemniczką jogurtu. Cytrynowy. Zjadła trzy łyżki, zanim chwycił ją skurcz żołądka.

- To przez leki - powiedziała pielęgniarzka.

Arden wciąż widziała niewyraźnie, ale lepiej niż przedtem. Kobieta była ubrana w białe spodnie i seledynowy, krótki kitel pielęgniarzki. Miała około pięćdziesięciu pięciu lat. Lekko przy kości.

Wzięła jogurt od Arden.

- Nie będziemy się spieszyć.

Nagle Arden zaczęła się poruszać i zorientowała się, że siedzi na wózku. Wywieziono ją z łazienki i przetransportowano korytarzem do niewielkiej sali z krzesłami po jednej stronie i zwijanym ekranem kinowym naprzeciw.

- Spać. - Gardło Arden było obolałe i słowo zabrzmiało jak krakanie. Ledwie mogła utrzymać otwarte oczy. Czowała się beznadziejnie, nie miała ochoty oglądać żadnego cholernego filmu.

- Doktor chce, żebyś coś obejrzała - powiedziała pielęgniarzka.

- Jestem zmęczona. Za bardzo. Muszę się przespać.

- Przykro mi. - Kobieta wyglądała, jakby naprawdę było jej przykro. Głowa przechylona na bok, przeprasający wyraz twarzy. - Muszę się trzymać poleceń doktora. A on nie chce jeszcze, żebyś

spała. To część procedury.

- Nie mogę się skoncentrować, kiedy jestem taka zmęczona. - Arden spojrzała na podłogę. Drewno. Twarde. Ale może nie aż tak twarde.

- Kiedy będzie po wszystkim, przyjadę po ciebie.

Pielęgniarka wcisnęła kilka przycisków na klawiaturze laptopa, zgasiła światło i wyszła z sali. Arden skorzystała z okazji, by zsunąć się z wózka na podłogę. Uklękła i bezwładnie opadała dalej, aż położyła się na boku, twarzą do podłogi. Ależ to było przyjemne.

Skurcze żołądka ustały. Była sucha, z wyjątkiem włosów, mniej więcej ubrana. Zdumiewające, jakim luksusem może być kilka prostych rzeczy.

Oczy zaczynały jej się zamykać, kiedy spojrzała na ekran nad sobą.

Błękitny jak jajko rudzika farmerski dom w stylu kolonialnym.

Wstrzymała oddech. Nagle jakby ją sparaliżowało.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. W oddali słychać było głosy ludzi rozmawiających po cichu.

Kamera ruszyła w stronę domu; było słychać kroki człowieka, chrzęszczące na żwirze.

Film był kolorowy, nakręcony po amatorsku. Gwałtowne ruchy kamery wywołały u Arden chorobę lokomocyjną.

Dopiero kiedy zauważyła żółtą taśmę policyjną, owiniętą wokół potężnych pni drzew na podwórku, zrozumiała, że ogląda nagranie z wizji lokalnej.

Obraz był dziwny, niemal trójwymiarowy, jak się często zdarza w wypadku zapisu cyfrowego.

Przedmioty wydawały się mieć kontur, jakby ktoś obrysował je czarnym mazakiem. Film miał też posmak podglądactwa, jak zawsze, kiedy filmuje się kamerą trzymaną w dłoni.

Było późne lato albo wczesna jesień.

Gęste liście na drzewach rzucały głębokie wyraźne cienie na trawę. Wzdłuż ścian domu kwitły gęste kępki kwiatów; milin amerykański piął się po grubych słupkach ganku przed domem i wił wokół drutów prowadzących do okien na piętrze, gdzie sypiały młodsze dzieci, przekonane, że nic im nie grozi w tym idyllicznym otoczeniu.

Głębia ostrości kamery była niesamowita. W oddali widać było płoty i pastwisko nakrapiane czarno-białym bydłem. Nieco bliżej wielkie, okrągłe bele słomy czekały, aż ktoś zbierze je z pola.

Grant Wood, malarz wsi amerykańskiej, pękłby z zazdrości.

Pęknąć z zazdrości.

Dlaczego ludzie tak mówią?

Dlaczego nie zdychać, na przykład?

Pęknąć z zazdrości.

Operator kamery wspiął się po drewnianych schodkach od frontu, przeszedł przez szary ganek.

Dłoń sięgnęła przed obiektyw i siatkowe drzwi otwarły się ze skrzypieniem.

Kilku mundurowych policjantów i dwóch śledczych uniosło głowy i odsunęło się na bok.

Jasnowłosa policjantka oddzieliła się od grupki.

- Oprowadzę pana.

- Czy ktoś nakarmił psa? - zapytał głos spoza kamery.

- Psa?

- Tu był pies.

Kamera ruszyła za policjantką przez jadalnię do kuchni.

Ostatni raz zmieniano tu wystrój chyba ze dwadzieścia lat temu. Błaty imitujące rzeźniczne pniaki. Podwójny zlew. Podwójna lodówka, z drzwiami pokrytymi magnesikami i zdjęciami. Rodzinne fotki. Kilka okropnych szkolnych zdjęć dzieci. Para stojąca pod palmą, na głowach

wielkie, słomiane kapelusze, w dłoniach drinki z parasolkami.

Było prawie niemożliwe zostawić farmę na dłużej niż na parę godzin. Mieli tyle obowiązków, tyle zwierząt, wymagających stałej, czujnej opieki. To prawdopodobnie jedyne wakacje, jakie sobie zrobili. Na farmie trzeba szukać drobnych przyjemności w codziennej egzystencji. Piosenki ptaka albo widoku stadka jeleni. Bo poza tymi czterystu akrami nie ma już nic. Nic, co można by zobaczyć, aż do emerytury.

Jeśli dożyje się emerytury.

Na podłodze, w kałuży krwi, która zdążyła już zastygnąć i szernieć, leżała kobieta w dżinsach i zielonej podkoszulce. Gardło miała poderżnięte od ucha do ucha.

Obok niewielkiego, kuchennego stołu z laminowanym blatem twarzą w dół leżało mniejsze ciało, ośmio-, może dziewięcioletniego dziecka.

- Ten sam sposób działania - powiedziała policjantka, wskazując głowę. Krew zlepiająca włosy wyglądała jak smoła.

Łatwo było odtworzyć sobie w wyobraźni domową scenkę. Mama gotowała kolację, a dziecko siedziało przy stole, odrabiając lekcje.

Ludzie potrafią być tak przewidywalni, że aż staje się to nudne, szepnął Albert French do ucha Arden.

Policjantka uniosła rękę i pokiwała palcem.

Chodź za mną.

Kamera ruszyła za nią.

Arden ruszyła za nią.

Przeszli z powrotem przez jadalnię i salon i wspięli się po schodach.

Parter był wystarczająco paskudny z tą zieloną włochatą wykładziną i krzykliwą kwiecistą tapetą, ale piętro urządzone w jeszcze gorszym guście.

Ta sama ohydna wykładzina. I tapeta. Wszędzie. Każda powierzchnia wrzeszczała na człowieka.

Kwiatowe pasy w kolorach amarantu i myśliwskiej zieleni. Kolejny pokój, w dziesięciu odcieniach różu.

Skazani na śmierć za zły gust.

To jak najbardziej logiczne.

Łazienka z wystrojem w kolorze awokado. Mógłby to być zabawny ukłon w stronę stylu retro, gdyby nie fakt, że nie było to retro i zostało zainstalowane z absolutną powagą. Nastoletnia dziewczyna w chwili rzezi brała prysznic; upadając, chwyciła się zasłony prysznicowej.

Plastikowa zasłona była złota.

- Woda z prysznica lała się tak długo, że studnia wyschła - powiedziała przewodniczka wycieczki. - Woda ledwie się sączyła, kiedy policja przyjechała na miejsce mniej więcej dwanaście godzin po morderstwie.

Wyszli z łazienki.

- Najbliżsi sąsiedzi zorientowali się, że coś jest nie tak, kiedy było zgłodniało i zaczęło hałasować.

Jasnowłosa policjantka zatrzymała się przed kolejnymi drzwiami.

- To jest najsmutniejsze. Kamera skreśliła. Pokój dziecienny.

Nareszcie pomieszczenie wykończone z odrobiną smaku. Niedawno urządzone, udekorowane motywami z *Królika Piotrusia*. W białej kołyszce leżało martwe dziecko.

- Dziewczynka - powiedziała przewodniczka zduszonym głosem. - Podcięte gardło. Jakby nie mógł... no nie wiem, udusić jej poduszką, zamiast...

Załamano się.

Osoba obsługująca kamerę wydała jakiś dźwięk wyrażający współczucie, ale to sprawiło, że kobieta rozplakała się jeszcze mocniej.

Ekran zrobił się czarny. Po dwóch sekundach znów ukazała się przewodniczka. Pozbierała się po

ataku płaczu. Ona i operator nie byli już w domu, tylko w stodole.

- Ojciec był w polu - wyjaśniła kobieta. - Zaparkował traktor i właśnie szedł do domu na kolację, kiedy został zabity.

Mężczyznę powieszono za nogi na linie przyczepionej do bloczka.

- Dopadniemy gnoja, który to zrobił - powiedziała policjantka. - Dopadniemy i dopilnujemy, żeby się usmażył.

Dlaczego traktowała to tak osobiście? - zastanawiała się Arden. Nie wiedziała, że to wszystko tylko gra?

Film się skończył. Ekran zgasł.

Arden podniosła się z podłogi i usiadła na wózku w chwili, kiedy salę zalało światło.

- Jak się czujesz? - zapytała pielęgniarka, stojąc w drzwiach z ręką na włączniku.

- Lepiej. - Arden uśmiechnęła się. - O wiele lepiej. - Film poprawił jej humor. Czy było w tym coś złego? Wcale jej się tak nie wydawało.

Rozdział 13

Nathan Fury stał przed weneckim lustrem, z rękami w kieszeniach, czekając w półmroku. Lustro było jego oknem na mały, sterylny pokój z jaskrawym jarzeniowym oświetleniem, szarą biurową wykładziną i białymi ścianami.

Drzwi pokoju otworzyły się i pielęgniarka wwiozła do środka Arden, oklapniętą na wózku.

- Wygląda fatalnie - powiedział Fury do Harrisa, który stał obok, z rękami założonymi na piersi.

Po jego prawej stronie przy panelu kontrolnym siedział technik, którego zadaniem było nagranie i udokumentowanie odpowiedzi Arden po sesji odkodowywania i indoktrynacji.

Włosy Arden zwisały nieuczesane w strąkach. Jej oczy przypominały ciemne jamy. Ktoś ubrał ją w szpitalną koszulę, lekki, zielony szlafrok i niebieskie kapcie.

Stanowczo nie było to wystarczające odzienie.

- Wygląda całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności - powiedział Harris w białym kitlu z nazwiskiem wyhaftowanym nad kieszenią. Poniżej brzegu kitla widać było idealnie wyprasowane spodnie od garnituru i błyszczące, skórzane półbuty.

Czy jest jej zimno? - zastanawiał się Fury. Wyglądała na zmarzniętą.

Ledwie przypominał sobie własne „przebudzenie” po izolacji. Ale on leżał w komorze, to zupełnie inna sytuacja. Według nowej procedury badani doświadczali izolacji i deprywacji w małym, wygodnym pokoiku w Szpitalu Miłosierdzia.

Pielęgniarka ustawiła wózek pośrodku salki. Zablokowała koła, po czym pochyliła się i poklepała Arden po ramieniu.

- Ktoś tu zaraz przyjdzie. - Kable przekazały jej głos z wyposażonego w mikrofony pomieszczenia. - Wygodnie ci?

Arden nie odpowiedziała.

Pielęgniarka wyprostowała się, spojrzała w lustro i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Wszystko w porządku? - zapytał Fury.

- Obserwujemy jej parametry życiowe. Są w porządku. Jest zdrowa. Silna. Fury nie mówił o parametrach.

- Jej obecny stan jest wynikiem środków farmakologicznych, stresu, od-kodowywania i pozbawienia snu - powiedział doktor Harris. - Dojdzie do siebie bardzo szybko, kiedy tylko jej organizm wydalą środki chemiczne. Zobaczysz.

Zapraszającym gestem wskazał przez szybę Arden.

- Proszę, jest do twojej dyspozycji. Pamiętaj, że będzie zagubiona. Może sobie nie przypominać pewnych wydarzeń z najbliższej przeszłości, ale ta utrata pamięci powinna być tymczasowa. Fury wyszedł z pokoju kontrolnego i wszedł do salki obserwacyjnej. Pod jedną ze ścian stał rząd metalowych krzeseł z plastikowymi siedzeniami. Fury wziął sobie jedno i ustawił przed Arden tak, że siedzieli twarzą w twarz.

- Cześć, Arden - powiedział cicho. Nie zareagowała.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Była lodowata. Chwycił drugą dłoń i roztarł między swoimi. Cofnęła ręce.

- Co ty robisz? - Mówiła ochryplym, zirytowanym szeptem.

- Pamiętasz mnie? - Nie tak chciał to sformułować. Musiała się chwilę zastanowić.

Agent FBI?

- Tak. Nathan Fury.

- Fury.

- Jak się czujesz?

- Zmęczona. - Jej głos znów zniżył się do szeptu. - Chcę spać.

- Kiedy tylko skończymy, będziesz mogła iść do łóżka. Muszę ci zadać kilka pytań. - Potarł dłonią twarz. - Obejrzałaś film, pamiętasz?

Kiwnęła głową.

- O morderstwie. Chcę, żebyś mi powiedziała, co wiesz o sprawcy. O osobie, która popełniła tę zbrodnię.

Arden oblizła wargi i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Mężczyzna. Inteligentny mężczyzna. - Jej ton był pełen uwielbienia. - Inteligentniejszy niż większość ludzi.

Fury starał się nie pozwolić, by ta przerażająca postawa wstrząsnęła nim.

- Zauważyłaś coś szczególnego na miejscu zbrodni? Coś, co mogłoby cię naprowadzić na jakąś wskazówkę, jakąś informację o zabójcy?

Siedziała przez chwilę z opuszczoną głową, z twarzą zakrytą włosami, jakby wpatrywała się w podłogę. Czyżby zasnęła?

- To było naprawdę? - zapytała. - Czy tylko na filmie?

- Naprawdę. - Prawdopodobnie wmawiała sobie, że to filmowa fabuła, żeby jakoś przetrwać.

Niektórzy tak robili.

- Aha. - Przez chwilę milczała. - To Albert French.

Fury wiedział, że nakarmili ją świeżymi informacjami o Frenchu - puszczonej jej wywiad nagrany kilka dni przed egzekucją.

- Na pewno odszedł stamtąd na krwawym haju - powiedziała bez emocji. - Prawdopodobnie zrobi sobie parę dni wolnego. Tydzień, może dwa, a potem uderzy znowu.

W przeciwieństwie do seryjnych morderców, którzy czasami znikali na długie miesiące, a nawet lata, psychopaci mordujący w szale, masowi zabójcy, nigdy nie mieli dość. Ledwie euforia wywołana widokiem krwi mijała, znów robili swoje.

- To nie był French - powiedział Fury.

- Dlaczego? - zapytała podniesionym głosem.

- French nie żyje. Został stracony. Morderstwo, które widziałaś na filmie, miało miejsce po jego śmierci.

Uniosła głowę i spojrzała Fury'emu prosto w oczy. Zmrużyła powieki.

- Przed chwilą z nim rozmawiałam.

- To było nagranie. Zarejestrowano je przed egzekucją.

- Kłamiesz. On żyje - upierała się. - Czuję go. Wiedziałabym, gdyby nie żył.

Jej odpowiedź nie była niespodzianką. Właśnie taka była idea indoktrynacji: sprawić, by poddawana jej osoba poczuła się zjednoczona z zabójcą. Bo jak inaczej mogłaby wejść w jego

umysł? Ale niełatwo było patrzeć, jak Arden staje po drugiej stronie barykady. Po stronie Frencha.

Myślała, że przemawia do niej żywy człowiek. Co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności i niestabilność jej umysłu.

Arden wpatrywała się w niego podkrążonymi, poważnymi, płonącymi gorączką oczami.

- Albert French mówił do mnie w komorze. Fury skulił się, jakby ktoś dał mu pięścią w brzuch.

- Co?

- Mówił do mnie w komorze.

- Nie byłaś w komorze.

Ostatni pobyt mieszał jej się z tym sprzed wielu miesięcy. Fury pochylił się ku niej.

- Jesteś zdezorientowana, Arden - powiedział miękko. - Nie stosujemy już komór.

Zmarszczyła brwi; wydawało się, że koncentruje się na czymś we wnętrzu głowy.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? Dlaczego miałabym ci ufać? Bo cię kocham, pomyślał.

- Bo chodzi mi o twoje dobro - powiedział.

Rozdział 14

Ludzie-cienie znowu biegali. Vera czuła drżenie podłogi, kiedy pędzili korytarzem.

W pokoju było ciemno.

Zaczęła po omacku szukać na nocnej szafce; w końcu sztywne palce natrafiły na jeden z aparatów słuchowych. Leżąc na plecach w łóżku, zainstalowała małe, nieporęczne urządzenie w uchu.

Szybkie kroki; nagle usłyszała, jak ludzie-cienie węszą w szparze pod drzwiami.

Chciała zapalić lampkę, ale bała się, że światło i hałas zachęcą intruzów, przyciągną ich. Kiedy zapali światło, będą wiedzieli, że jest w pokoju, i przyjdą po nią.

Jeśli będzie leżała cichutko, może pójdą do następnych drzwi, do innej części budynku.

Nie miała pojęcia, czego chcieli od takiej starej baby jak ona. Zagadką było, czego mogli chcieć od kogośkolwiek z zasuszonych rezydentów.

Może przyciągał ich budynek.

Wiele złych rzeczy wydarzyło się w tych ścianach. Wiele strasznych, przerażających rzeczy.

Złe wydarzenia zostawiały ślad w budynkach. Ślad, który ludzie-cienie potrafili wyczuć.

Choćby leżała całkiem nieruchomo, nie byłaby w stanie powstrzymać galopującego serca, które pompowało tak gorączkowo, że każdy by je usłyszał o przecznicy dalej. Ani strachu. Była pewna, że śmierdzi strachem.

Węszenie ucichło.

Cokolwiek to było, poszło dalej korytarzem.

Zmusiła się, by wyjść z łóżka. Podreptała do szuflady, gdzie trzymała noże i nożyczki.

Niechętnie widziano ostre przedmioty w pokojach rezydentów, ale do diabła z tym, mawiała Vera.

Stała tak, z nożem w dłoni, oddychając ciężko; ledwie mogła wyłowić z ciemności niewyraźne kształty.

Stół.

Wyściełany fotel.

Drzwi do jej jednopokojowego mieszkania były zabezpieczone urządzeniem, które zamówiła z

telewizji. Jeden koniec opierał się o drzwi, drugi o podłogę. Trzeba było pociągnąć dźwignię, by zamocować sztabę. Dźwignia ciężko chodziła i Vera zawsze się bała, że nie dociągnęła jej wystarczająco mocno.

Wracali. Słyszała ich.

Biegli grupą. Jak stado.

Zatrzymali się pod drzwiami, śliniąc się i dysząc po wariackim biegu.

Gałka w drzwiach zagrzechotała.

Boże święty.

Gałka się obróciła.

Drzwi zadrżały, jakby coś ciężkiego rzuciło się na nie.

Ludzie-cienie idą po mnie.

Vera wycofała się w kierunku łazienki. Jednym szybkim susem wskoczyła do małego pomieszczenia i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Nie było w nich zamka, ze względów bezpieczeństwa, żeby personel mógł się dostać do środka, gdyby człowiek potrzebował pomocy. Albo gdyby postanowił się utopić, co raz czy dwa sama brała pod uwagę. A kto by o tym nie myślał, w takim miejscu? Ale co z ludźmi-cieniami? Czy nikt o nich nie pomyślał? Nikt się nie zastanowił, jak ich powstrzymać?

Miała na sobie cienką bawełnianą piżamę i była boso, a podłoga z kafelków była zimna.

W takich chwilach brakowało jej męża.

Simon był nieustraszony. Opiekował się nią. On potrafiłby pokonać ludzi--cienie.

Ale Vera była stara. Miała kruche kości, a węzlaste niebieskie żyły leżały tuż pod powierzchnią, ledwo przykryte skórą cienką jak papier ryżowy. Teraz nikt by się nie domyślił, ale kiedy była młoda, było na co popatrzeć. Pływała, czasami kilka godzin dziennie, jej ciało było twarde i silne. Kiedyś.

Drzwi kawalerki otwarły się z trzaskiem.

Vera wyobrażała sobie, jak ludzie-cienie przeszukują pokój, znajdują puste łóżko.

Kroki zadudniły na drewnianej podłodze przed drzwiami łazienki.

Od kiedy to cienie noszą buty?

Świat jest takim dziwnym miejscem, tak bardzo zmienił się od czasów jej młodości. Kiedy była dzieckiem, cienie były tylko cieniami. Nie poruszały się i nie wydawały dźwięków jak ludzie.

Z rozmysłem zostawiła zgaszone światło. Ale to chyba zły pomysł. Cienie są nocnymi stworzeniami. One widzą w nocy, ona nie. Mieli bardzo nierówne szanse.

Z jakiegoś powodu już się nie bała.

Od dawna patrzyła śmierci w twarz.

Jej mąż umarł, przyjaciele umarli. Zostali tylko ci, bez których mogłaby się obejść, jak synowa, która zwabiła ją tutaj podstępem.

Suka.

Oczywiście wolałaby spokojnie umrzeć we śnie, ale ilu ludzi ma takie szczęście?

Niewielu.

Ta świadomość nie powstrzymała jej od podjęcia walki. Vera próbowała przytrzymać drzwi łazienki, ale cień był o wiele silniejszy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

I wtedy wszystko zaczęło się dziać błyskawicznie, a jednak w zwolnionym tempie.

Cień chodził wyprostowany, jak człowiek. Miał coś na sobie - bluzę z kapturem.

Spokojnie mógł być człowiekiem. Kimkolwiek. Przez chwilę zastanawiała się, czy to faktycznie nie człowiek, czy jej się coś nie wydaje, jak to jej się czasem przytrafiało.

Cień sięgnął po nią. Zrobiła unik, unosząc nóż; dźgnęła ciemny kształt górujący nad nią, ale trafiła w powietrze. Coś uderzyło ją raz i drugi w klatkę piersiową. Nóż wyslizgnął się jej z palców i z brzękiem upadł na podłogę.

Poczuła zimną stal na szyi. Jeden szybki, płynny ruch przeciął jej gardło.

Powietrze zaświstało, krew buchnęła gwałtowną, gorącą erupcją, zalewając pizamę. Tak ciężko się wykrwawić... Tamtego dnia, kiedy poroniła, a Simon owinał ją w prześcieradło i popędził do szpitala, myślała, że ten potok krwi nigdy się nie wyczerpie.

Podłoga była śliska.

Vera straciła równowagę; nogi same się pod nią ugięły.

No i dobrze, bo i tak już się osuwała na podłogę.

Poleciała do tyłu, uderzając nogami o brzeg wanny na nóżkach. Upadając, złapała się zasłony prysznicza.

Świat był teraz złowrogi, niepokojący.

Była zmęczona życiem. Gotowa, by odejść.

Miała dość.

Życie jest wariackie, a potem zabijają ludzie-cienie.

Rozdział 15

Podeszwy butów Arden stukały rytmicznie o asfalt, kiedy brała ostatni zakręt ścieżki do joggingu, kierując się w stronę Budynku 50. Minęły dwa dni od czasu sesji w izolacji i jej mózg był już trochę mniej zamglony, myślenie mniej poplątane.

Wczoraj Harris wspomniał o możliwości jeszcze jednej, a nawet dwóch dodatkowych sesji.

Arden nie chciała tam wracać.

Musisz.

Bywały chwile, kiedy przysięgłaby, że leżała w komorze, choć wiedziała, że obecny pobyt miesza jej się z poprzednim.

To samo miejsce.

Te same psychotropy.

- I podobna technika - powiedział doktor Harris - która wywołuje reakcję warunkową. To tłumaczy, dlaczego pacjenci leczeni środkami przeciwbólowymi po poważnych kontuzjach doświadczającego samego bólu po wielu latach, kiedy poda im się ten sam środek. Odruch warunkowy. To logiczne, jeśli się zrozumie, że informacje związane z fizycznym lub psychicznym urazem są kodowane na poziomie komórkowym.

Przynajmniej dzień jest piękny, pomyślała. Rześki, ale nie za zimny. Słoneczny. Chłodny wiatr od czasu do czasu przeganiał opadłe liście klonów w poprzek ścieżki; maszerowały rządkiem jak żołnierze. Cienie były długie i ciemne, niemal czarne, takie jakie bywają wczesną zimą, kiedy powietrze jest suche, a słońce wisi nisko na niebie.

Wciąż przyłapywała się na tym, że jak urzeczona gapi się na wzór utworzony na chodniku przez ostatnie opadłe liście.

Weszła do budynku i ruszyła przez hol do schodów, minęła czekającą przy windzie staruszkę z aluminiową laską.

- Arden? - zawołała za nią kobieta niepewnym głosem. Arden zatrzymała się.

- Widziałam, jak pani rozmawiała z moją przyjaciółką, Verą~ powiedziała kobieta. - Nie zeszła na śniadanie, jadę na górę, żeby do niej zajrzeć. Zawsze jemy śniadanie razem.

Przyjaciółka Very nie poprosiła Arden o towarzystwo, ale sprawa była oczywista. Arden nie dała się prosić.

- Dobrze, pojedę z panią.

- Jestem Betty Stewart.

Winda, podskakując, ruszyła na czwarte piętro.

- Mówiłam Verze, że to zły pomysł wybierać sobie pokój na samej górze, ale ona powiedziała, że chce mieć widok i być możliwie jak najdalej od wszystkich. - Betty roześmiała się. Pochyliła ramiona, okryte grubym swetrem, zatrzęsły się.

Winda zatrzymała się, drzwi szczęknęły i stanęły otworem.

- Jej synowa zwabiła ją tu podstępem, wie pani - powiedziała Betty, wychodząc na korytarz.

- Słyszałam. - Najwyraźniej wszyscy znali tę historię.

- Ja sama chciałam tu przyjechać - ciągnęła Betty. - Mnie się tu podoba. To miło mieć ludzi wokół siebie. Przedtem mieszkałam sama i nie cierpiałam tego. - Przerwała, palcem z długim paznokciem dotknęła ust. - Zawsze mi się myli. Byłam tu tylko parę razy. O, tędy. - Wskazała kierunek. - Pamiętam, że widziałam tę gaśnicę.

Po raz kolejny Arden uderzył rozmach architektury Budynku 50. Z miejsca, gdzie stały, widać było ciągnący się w nieskończoność rząd starannie wykończonych, łukowatych drzwi.

- Strasznie tutaj - szepnęła Betty, wrywając Arden z zachwyty nad wpadającym przez wysokie okno snopem słonecznego światła. Na pięknym gipsowym gzymsie widać było grę światłocienia.

Jeśli człowiek zaczyna tracić zmysły, pomyślała Arden, zwraca szczególną uwagę na detale. Na sposób padania światła, cienie obrysowujące konturem framugi drzwi, wzór liści na chodniku.

Coś poruszyło jej umysł. Zapach. Wspomnienie...

Arden wyciągnęła rękę, by zatrzymać staruszkę. Druga ręka odruchowo sięgnęła do paska, tam, gdzie kiedyś nosiła pistolet.

Teraz oczywiście go nie było. Kiedyż wreszcie przestanie sięgać po rzeczy, których nie ma? Śmierć ma swój zapach.

Nie zawsze zapach gnicia, jak pomyślałby nowicjusz, ale różnych innych rzeczy. Krew też ma wyraźną, rozpoznawalną woń. Metaliczną, z domieszką czegoś ciężkiego i słodkiego.

- Proszę tu zostać - powiedziała Arden.

Berty uniosła żyłastą dłoń do gardła. Otworzyła usta i patrzyła rozszerzonymi oczami.

- To pokój Very. Może powinnyśmy kogoś wezwać? Arden nie odrywała wzroku od drzwi.

- Nie uprzedzajmy faktów.

To mógł być po prostu zapach starości. Albo ślad pozostawiony przez kogoś, kto mieszkał tu dziesiątki lat temu.

Arden podeszła do drzwi, które ktoś pomalował kilkoma warstwami gęstej, czarnej farby, bezskutecznie usiłując zamaskować upływ lat.

Drzwi były uchylone, jakby zamek nie chwycił. Arden sięgnęła do ozdobnej gałki i zauważyła, że okucie zamka zostało wyrwane z drewnianej framugi.

Popchnęła drzwi, otwierając je szerzej.

Zatrzymała się na chwilę, nasłuchując, i weszła do środka.

Pojedyncze niezaścielone łóżko. Żadnych śladów walki.

- Vera?

Głos Arden zabrzmiał zbyt donośnie w małym pomieszczeniu. Podeszła do drzwi od łazienki, również pomalowanych na czarno i też uchylonych. Czubkami palców popchnęła je lekko.

Otworzyły się same.

I wtedy zobaczyła Verę, przewieszoną przez brzeg wanny, zaplątaną w przejrzystą zasłonkę prysznicową, z gardłem podciętym od ucha do ucha i bardzo, bardzo martwą.

Nathan Fury szedł właśnie do Szpitala Miłosierdzia i Instytutu Webbera, kiedy zadzwoniła komórka. Arden.

- Przyjdź do Budynku 50 - powiedziała. - Czwarte piętro.

Miał zapytać, dlaczego, kiedy usłyszał w oddali syrenę, a po niej następną, i jeszcze jedną.

- Mamy tu trupa - powiedziała Arden.

Rozłączył się i ruszył do Budynku 50, w jasnym, oślepiającym słońcu, słysząc zbliżające się wycie syren.

Zebrani w holu ludzie spoglądali nerwowo na winę, schody i sufit, jakby mogli dostrzec przez wszystkie warstwy cegieł to, co działo się nad ich głowami.

Fury przepchnął się przez tłum i ruszył po schodach. Trochę się zadyszał, zanim dotarł na czwarte piętro.

Przed drzwiami pokoju, w którym doszło do zbrodni, zobaczył młodego policjanta. Błysnął odznaką i gliniarz spojrział na niego z ulgą, ale natychmiast zeszywniał z powrotem, kiedy przypomniał sobie, co czeka na nich w środku.

- Gdzie jest Arden Davis? - zapytał Fury. Widząc skonsternowane spojrzenie, wywołane pytaniem, sprecyzował: - Kobieta, która znalazła ciało.

- A. Ta. Razem ze starszą panią czekają w korytarzu, za rogiem. Powiedziałem im, że ktoś zaraz przyjdzie z nimi porozmawiać.

Fury kiwnął głową i szybko obrzucił wzrokiem pokój.

- Tam - rzucił policjant.

Miał około dwudziestu pięciu lat, jasne włosy, kilka piegów na twarzy. Sądząc po tym, jak się zachowywał, było to jego pierwsze zabójstwo.

Fury przeszedł przez pokój do łazienki, uważając, by niczego nie dotykać. Staruszka zaplątana w przejrzystą zasłonkę miała podcięte gardło.

Fury'ego zmroziło. To był ten sam sposób działania.

Zapatrzył się w kredową twarz i sine wargi kobiety.

Jakim trzeba być potworem, żeby zamordować bezbronną staruszkę?

Takim samym jak ten, który morduje dzieci i niemowlęta.

Policjant za jego plecami wydał zduszony odgłos, jakby chciał zwymiotować, i wypadł z pokoju.

Fury spojrział w dół. Mieli szczęście - jeśli można to tak nazwać. Sprawca zostawił dość wyraźny, krwawy odcisk buta na białych kafelkach podłogi.

Nie posprzątał po sobie. Amator albo cynik.

Pięć minut później pokój roił się od policjantów w mundurach i w cywilu. Fury odpowiedział na kilka pytań, zostawił numer komórki i ruszył na poszukiwanie Arden. Po drodze minął młodego funkcjonariusza, który siedział teraz na podłodze, plecami oparty o ścianę, z zamkniętymi oczami i twarzą zroszoną potem.

Chłopak powinien się trzymać mandatów za parkowanie. Niektórzy gliniarze po prostu nie są stworzeni do morderstw.

Fury znalazł Arden w pokoju w dalszej części korytarza, przeznaczonym do przyjmowania gości. Siedziała na metalowym krzeselku, obejmując ramieniem starszą panią w obszernym swetrze i białych, sportowych butach na rzepy. Przedstawiła ją jako Berty Stewart.

- Byłeś tam? - Arden, w czarnych dresowych spodniach i granatowej bluzie, miała ściągnięte w krótki kucyk włosy, a twarz bladą, bez cienia makijażu.

Pokiwał głową.

- Czekamy na kogoś, kto przyjmie nasze zeznania - powiedziała Arden.

- To straszne. - Staruszka mięła w palcach bawełnianą chusteczkę, haftowaną w różowe kwiatki, i patrzyła na niego zaczerwienionymi oczami. - Obawiałam się, że coś się stało, kiedy nie zeszła na śniadanie, ale nigdy bym nie pomyślała, że aż tak.

Arden poklepała ją po dłoni i wstała z krzesła. Odciągnęła Fury'ego kawałek dalej.

- Mają jakiś pomysł, kto to zrobił?

- Jeszcze nie.

- A motyw? - zapytała.

- Nic nie ukradziono. Żadnych wyraźnych śladów przemocy. Znaleźli nóż, ale to nie jest broń

mordercy. Za mały i za tępy.

- Użyła go do obrony?
- Prawdopodobnie. Miejmy nadzieję, że dziabnęła go raz czy dwa. Policja rozgląda się za kimś z ranami. Będą też badać próbki krwi.
- Myślisz, że to mógł być któryś z pensjonariuszy? - zapytała Arden. Fury zauważył, jak łatwo weszła z powrotem w dawną rolę agentki FBI.
- Widziałas miejsce zbrodni. Jak sądzisz?
- To musiał być ktoś silny. Rana świadczy o dużej sile i złości. Nie mogła zostać zadana przez słabego osiemdziesięciolatka.
- Nie wszyscy pensjonariusze koniecznie muszą być słabi. Wielu dostało tu mieszkania dzięki niezależnemu programowi mieszkaniowemu.
- Kiedy byłam mała, hodowaliśmy owce. Wilki i kojoty zabijały owce i je zjadały. Miały powód. Ale psy... to było coś innego. One bawiły się tymi owcami. Torturowały je. Ale nigdy ich nie zjadały. Pewnej nocy straciliśmy dwanaście sztuk. Żadna z nich nie była jeszcze martwa, kiedy mój tato je znalazł, ale były tak poranione, że trzeba je było uśpić.
- Odkryliście, które psy to zrobiły?

- I to było jeszcze bardziej przerażające. Dwa z nich to były jakieś kundle, ale trzeci okazał się puchatym pudelkiem. Znaleźliśmy nawet owczą sierść w jego zębach.
 - Mówisz, że zrobiono to dla zabawy. Dla przyjemności.
 - Krwawy sport. On też tak uważał.
 - Tutejsza ochrona jest śmiechu warta - powiedziała Arden. - Każdy mógł się dostać do środka. Wszędzie jest mnóstwo kryjówek.
 - Mordercą mógł być ktoś z miasta. - Fury zmarszczył brwi. - Albo spoza miasta. Ktoś, kto po prostu tędy przejeżdżał.
 - To byli ludzie-cienie - odezwała się pani Stewart ze swojego miejsca pod oknem. Fury spojrział na nią, potem na Arden, unosząc pytająco brwi. O czym ona mówi?
 - Vera mówiła, że polowali na nią ludzie-cienie - wyjaśniła Arden. - Mówiła, że słyszy, jak biegają po korytarzu.
 - A ty słyszałaś?
 - Owszem, słyszałam, ale to nie byli ludzie-cienie, tylko Noah, Eli i Franny. Nudzili się i ganiłi po korytarzach. Nieszkodliwa rozrywka.
 - Chodźmy z nimi porozmawiać - odparł Fury.
- Zostawili panią Stewart pod opieką pielęgniarki, powiedzieli śledczym, że jeszcze wrócą, i poszli szukać Noaha, Elego i Franny.
- Znaleźli ich leżących na podłodze, w gęstym od dymu kadzideł półmroku, przy hipnotycznej muzyce. Lampki osłonięto czerwonymi apaszkami. Nikt się nie podniósł, żeby otworzyć drzwi. Franny krzyknęła słabo, żeby weszli.
- Co to za hałas przed budynkiem? - zapytała. Leżała na plecach, z zamkniętymi oczami i ręką na żołądku. - Ktoś umarł?
- Fury przeszedł przez pokój i wyłączył muzykę. Atmosfera w pokoju nagle zdechła.
- Hej - zaprotestował słabo Noah.
 - Jesteście naćpani, czy co? - zapytała Arden.
 - Naćpani? - Franny zachichotała. Uniosła się z podłogi i siadła po turec-ku. - Myślisz, że jesteśmy naćpani?
 - Po prostu się relaksujemy - powiedział Eli.
- On i Noah usiedli również. Eli przeciągnął się i wstał. Noah potarł głowę i sennie spojrział na poduszkę leżącą obok.
- Co się stało z muzą, stary?

Arden ściągnęła apaszkę z najbliższej lampy. Żarówka była słaba i nie dawała wiele światła. Cała trójka zmrzyła oczy, jakby to było słońce.

- Popelniono morderstwo - oznajmiła.
 - Nie - powiedział Eli. - Kiedy? Gdzie?
 - Tej nocy. Zabito jedna ze starszerek z domu opieki.
 - O w mordę - mruknął Noah. - Kanał, Kto mógł zabić starszkę?
 - I dlaczego? - dodała Franny. Wstała z podłogi i objęła się ramionami, powstrzymując dreszcz.
 - Czy którekolwiek z was wychodziło w nocy? - zapytał Fury. Spojrzeli po sobie.
 - Skończyliśmy sesję w szpitalu - powiedział Noah. - Potem zjedliśmy coś w stołówce, wróciliśmy tutaj i położyliśmy się spać.
 - Dosłownie padliśmy - dodał Eli. - To była siódma albo wpół do ósmej.
 - Potem już nie wychodziliście? - zapytała Arden. Pokręcili głowami, najwyraźniej zdumieni jej pytaniami.
 - Myślicie, że któreś z nas to zrobiło? - zapytał z niedowierzaniem Eli.
 - Chcemy tylko wiedzieć, gdzie byliście - odparł Fury. - I czy coś widzieliście albo słyszeliście.
- Rutynowe pytania. Wszyscy w całym budynku zostaną przesłuchani.

Eli trochę się rozluźnił.

- W porządku.

Fury i Arden wyszli z pokoju.

- A ty? - zapytał nagle. - Gdzie ty byłaś zeszłej nocy? Zatrzymała się. On też.
- W swoim pokoju - powiedziała powoli.
- Całą noc?
- Tak, całą noc.

Patrzył jej w oczy. Arden nie odwróciła wzroku.

Coś błysnęło w jego oczach i zniknęło tak szybko, że nie zdążyła dokładnie odczytać, co to takiego. Ale odniosła wrażenie, że jej nie uwierzył.

Rozdział 16

Noah siedział na parapecie w pokoju, który dzielił z Elim i Franny. Arden i Fury właśnie wyszli.

- Co mamy teraz zrobić? - zapytała Franny. - Wyjechać? Ja nie chcę wyjeżdżać.
- Narasta we mnie wściekłość, głęboka, wrząca nienawiść do ludzkości. Kiedy to się dzieje, kiedy dochodzę do punktu, że chwile dzielą mnie od wybuchu, nie obchodzi mnie nic. Po prostu chcę zabijać. Muszę zabijać, odbierać życie.

Noah patrzył, jak Eli drapie się po głowie i czochoa swoje kędzierzawe włosy. Wyglądały okropnie. Chyba nie mył ich od wielu dni.

Wszyscy byli ostatnio niewyspani. W każdym razie Noah był niewyspany i podejrzewał, że z Franny i Elim jest podobnie. Niewiele pamiętał z doświadczeń, którym byli poddawani, ale wiedział, że na zmianę łądowni w komorach pozbawiających ich impulsów zmysłowych, a potem byli uważnie obserwowani, zanim wreszcie ich puszczono. Kiedy wczoraj wieczorem wrócili do pokoju, żadne z nich się nie odezwało. Przeszli przez pogrążony w mroku teren jak trzy żywe trupy, zamówili jakieś jedzenie, którego nie byli w stanie przełknąć, wrócili do pokoju i padli na łóżka. Nie zdjęli nawet ubrań. Po prostu zasnęli.

Zabijanie to nic wielkiego. Zgniatanie mrówek. Zgniatam mrówki, to tyle.

- Była stara — powiedział Eli. Wyjął kołonoatnik, który zawsze nosił ze sobą.

Uważał się za pisarza. Ale jakiego rodzaju? Noah nie był pewien. Eli nie pisał opowiadań; pisał po prostu o sobie. Notował swoje przemyślenia na temat innych ludzi, reakcje na różne sytuacje,

opisy.

Noah powiedział kiedyś Elemu, że jeśli chce być pisarzem, musi robić coś więcej. Musi opowiedzieć jakąś historię.

Eli tylko pokazał mu palec.

- Myślicie, że zabójca jeszcze tu jest? - Franny roztarta ramiona. W jej głosie znów zabrzmiał strach. - Ja myślę, że on... albo ona... ciągle może być w budynku. Tak sędzę. To wielka budowla. Labirynt. Morderca może się schować wszędzie.

Noah wstał z kamiennego parapetu.

Miło mu się tu siedziało, z plecami ogrzanymi słońcem. Na dole, przed budynkiem, roilo się od policji. Myszkowali po całym terenie, prawdopodobnie szukając narzędzia zbrodni.

Podszedł do odtwarzacza i wziął się za układanie płyt. Kochał muzykę bardziej niż cokolwiek na świecie. Bardziej niż Franny, a to wiele mówiło.

Po chwili zostawił plastikowe pudełka. Rozsunął worek marynarski i zaczął grzebać w środku, szukając czystych rzeczy.

Nagle zobaczył koszulę, którą miał na sobie zeszłego wieczoru. Złapał płócienne uchwyty worka.

- Gdzie idziesz? - zapytał Eli.

- Wziąć prysznic.

- Ja też, jak skończysz. Potem może zejdziemy na dół i zjemy pizzę. Muszę się stąd na chwilę wyrwać.

- Tak. - Noah kiwnął głową. - Dobry pomysł.

- Z kurczakiem i ananasem! - powiedziała Franny. -I strzałki. U Ponurego Steve'a mają strzałki. Nastrój się poprawiał. Ktoś zginął, ale oni żyli dalej. Żyje się dalej.

Ludzie są elastyczni, powtarzał zawsze psychiatra Noaha. Potrafią sobie poradzić z wieloma rzeczami, z którymi, wydawałoby się, nie są w stanie sobie poradzić.

Noah przeżył parę niesamowitych rzeczy. Był sam z dziadkiem, kiedy staruszek umarł.

Wyciągnął się na kanapie, powiedział, że przymknie na chwilę oczy. I więcej ich nie otworzył.

Noah miał osiem lat.

Pamiętał, jak potrząsał dziadkiem, próbując go obudzić. Cały dzień przy nim siedział, czekając.

Coraz bardziej głodny. Znudzony. Potem przyszła po niego mama i rozpętało się piekło.

Łazienki w ośrodku były naprawdę fajne. Bładozielone płytki na podłodze. Mniejsze, zielone kwadraciki na ścianach. Czarne wykończenie. Porcelanowe umywalki, jak w starych szkołach. W przeciwieństwie do niektórych innych pokoi w ich łazience była stojąca kabina prysznicowa. Żadnej wanny na nóżkach.

I ogromne okna. Niektóre z oryginalnymi szybami z lanego szkła, przez które prawie nic nie było widać.

Okna były tutaj rzeczywiście ekstra. Stanowiły ważny element projektu Kirk-bride'a. Nawet w XIX wieku zdawano sobie sprawę, jak ważne jest światło słoneczne. Rozumiano, że bez niego człowiek może się rozleźć w szwach.

Światło.

Dotyk.

Pozbawienie impulsów zmysłowych.

Noah wiele o tym czytał, zanim przyjechał na Wzgórze. Wiedział, że ludzie - całkowicie normalni ludzie -postawieni w podobnej sytuacji potrafili ześwirować w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin. Dziwne, że taka samotność może doprowadzić człowieka do obłędu.

Wiele lat temu prowadzono eksperymenty z noworodkami. Okazało się, że te, które dotykano, przytulano i do których mówiono, uczyły się szybciej.

Sięgnął za zasłonkę i odkręcił wodę.

Zdjął ciemnozieloną bawełnianą koszulę z długimi rękawami. Uwielbiał tę koszulę. Miał ją już trzy lata i nosił ją bez przerwy.
Zdjął resztę ubrania i wszedł pod prysznic.
Woda uderzała w klatkę piersiową, ściekała strumykami po nogach, wirowała wokół stóp, zanim zniknęła w odpływie.
Franny i Eli nie wiedzieli, że wychodził tej nocy. Zrobić rundkę, jak to nazywali.
Nie pamiętał momentu, kiedy wbijał nóż w Verę Thompson, ale zapamiętał zapach jej krwi, jej martwe oczy i ranę w szyi, sięgającą prawie kręgosłupa.
Pamiętał, jak rozsmarowywał sobie jej krew po twarzy, jak ją smakował, słysząc w uszach szept Alberta Frencha.
Wszyscy musimy mieć uczniów. Ludzi, którzy będą kontynuować nasze dzieło, kiedy nas już nie będzie.
Umył włosy.
Powoli i metodycznie mył całe ciało, używając mydła, które Franny kupiła w sklepie ze zdrową żywnością. Mówiła, że ulega biodegradacji i nie szkodzi środowisku. To mu się w niej podobało, troska o sprawy, na które nie miała wpływu.
Będzie za nią tęsknił.
Zakręcił wodę i wytarł się. Uczesał włosy. Ogolił się. Kiedy skończył, cofnął się o krok i obejrzał swoje odbicie w lustrze.
Patrzył na niego delikatny, smutny, wrażliwy chłopak.
Tragiczna postać.
Teraz nareszcie rozumiał, że jest za słaby do tych badań. Nie chciał, żeby Franny wiedziała, że jego stary kupił mu udział w projekcie wielką, pieprzoną darowizną. Pobyt na Wzgórzu zapowiadał się ekscytująco, nawet romantycznie; nareszcie było coś do roboty. A poza tym Noah nie chciał, by Franny pojechała bez niego. A już na pewno nie chciał, żeby pojechała sama z Elim, któremu się zawsze podobała.
Wyjął z worka sportowe buty. Ustawił je na podłodze. Na butach umieścił złożoną poplamioną krwią koszulę, którą miał na sobie wczoraj w nocy.
Nago wspiął się na kamienny parapet, odczepił żelazny haczyk i otworzył okno.
Świeże powietrze owiało mu twarz. Słońce świeciło jasno, niemal oślepiająco. Nieco dalej, w zagajniku, ptaki śpiewały jak oszalałe.

Nie miał nic innego do zrobienia. Nie było innego rozwiązania. Nie spojrzął Franny w oczy, nie ma mowy, by mógł jej spojrzeć w oczy. Ani ojcu.
Ani samemu sobie, przez choćby jeszcze jedną sekundę. I muzyka. Jak mógłby kiedykolwiek słuchać muzyki z tą samą niewinnością? Nie mógłby.
Niech żyje Albert French. Zaczepnął głęboko powietrze. I skoczył.

Rozdział 17

Ktoś wrzasnął. Franny spojrzała na Elego, jakby badając jego reakcję; po sekundzie oboje popędzili do najbliższego okna. Na dole zbierał się tłum. Ktoś leżał na ziemi. Nagi. Twarzą w dół.

Ciemne włosy. Okrągły tatuaż na ramieniu. Franny rozpoznała ten tatuaż. Nie!
Wpadła do łazienki, błyskawicznie omiatając wzrokiem małe pomieszczenie. Pusta kabina prysznicowa. Pusta łazienka. Otwarte okno.

- Nie!

Wybiegła do pokoju i dalej, na korytarz, po schodach, przeskakując po trzy i cztery na raz. Kroki za nią: to Eli.

Za drzwiami, w oślepiające światło słoneczne.

Szlochając głośno, rozpychała ludzi na boki, aż przerwała krąg i uklękła na ziemi obok Noaha.

- Nie, nie, nie - kręciła głową. Łzy lały jej się po twarzy, ciekły do ust. Ktoś odwrócił go na plecy.

Ktoś narzucił na niego płaszcz.

Krew zebrała się w ustach i ściekała z boku twarzy. Chwycił świszczący oddech i wyciągnął do niej rękę. Cierpienie w jego oczach ścisnęło jej serce.

Przyszła jej do głowy kompletnie niedorzeczna myśl: powinien wybrać wyższy budynek. Teraz cierpiał okropnie z potrząskanymi kośćmi i przebitymi płucami.

Może przeżyje, może nie jest umierający.

- On cierpi! - krzyknęła. - Pomóżcie mu! - błagała. - Niech przestanie cierpieć! Niech go już nie boli!

Czas płynął dziwnie. Zatrzymywał się. Ruszał. Głosy na przemian to cichły, to rozbrzmiewały głośnie.

Miliony głosów. Zupa rozmów, nic, co dałoby się wychwycić; tylko „ćśśś, ćśśś, ćśśś” kobiet wybijało się z szumu.

W pewnej chwili otoczone ścianą hałasu ciało Noaha odprężyło się.

Ból - przynajmniej dla niego - ustał.

Franny spojrzała w górę, szukając znajomej twarzy. Eli patrzył na nią zażawionymi oczami.

- On umarł, Eli! - krzyknęła. - Umarł!

Przed chwilą nie przejęli się śmiercią starej, na wpół zdziecinniałej kobiety, ale to był Noah. Ta strata dotknęła Franny osobiście i ból był nie do zniesienia. Myślała, że umrze z bólu.

Przez większość życia Franny nie żałowała, że nie ma matki. To nigdy nie miało znaczenia. Ale teraz jej potrzebowała. W takich chwilach dziewczyna potrzebuje cholernej matki.

Sanitariusze wyłonili się z morza twarzy, położyli Noaha na noszach i przykryli go.

Kurczę, jak opowiem o tym Noahowi, pomyślała Franny, nie uwierzy mi.

Arden szła przez zatłoczony hol. Ludzie wyglądali na zewnątrz, by zobaczyć, co się stało.

- Co się dzieje? - zapytała z łomoczącym sercem, pełna złych przeczuć i niepokoju.

- Ktoś skoczył z dachu.

- Nie z dachu - dodał ktoś inny. - Z pokoju w wieży. Wskoczył z pokoju w wieży.

Arden przecisnęła się przez tłumek i wyszła głównymi drzwiami. Zbiegła szybko po wydeptanych, marmurowych stopniach, minęła masywne, białe kolumny i przecięła trawnik.

Zauważyła kręcącą czuprynę Elego. Zauważyła Franny i jej pełną bólu twarz.

O Boże.

Zaczęła biec, poniósł ją odruch, jakby narzucony przez kogoś innego.

- Co się stało? - krzyknęła do Elego i Franny.

Zareagowali w zwolnionym tempie. Spojrzeli na nią jakby nie od razu ją rozpoznając.

Ulga na jej widok. A potem ból. Przerazenie. Odwrócili głowy w stronę ciała leżącego pod białym prześcieradłem. Arden zrozumiała, ale nie chciała uwierzyć i musiała się upewnić.

- Gdzie Noah?

Nie. To nie mógł być Noah.

Franny uniosła drżącą dłoń do ust. Przez twarz przemknęła fala bólu. Arden musiała to zobaczyć na własne oczy. Przepchnęła się przez tłum gapiów.

- Muszę na niego spojrzeć - powiedziała do dwóch mężczyzn, usiłujących wsadzić nosze do karetki.

- A kim pani jest?

Płynnym ruchem rozsunała bluzę, szybko odgięła wyłóg, po czym opuściła go, zanim ktokolwiek

zdążył zauważyć, że nie ma odznaki.

- FBI.

Ludzie zamruczeli i odsunęli się, pozwalając jej przejść.

Nie czekając, aż opuści ją odwaga, uniosła prześcieradło.

To Noah.

Twarz koloru gipsu. Usta już sine.

Lubiła go. To był dobry chłopak, denerwujący, ale dobry.

Krew na twarzy już ciemniała.

Nie. Nie mogła się z tym pogodzić. Co tu się dzieje? Wszystko jest nie tak, wszystko jest pokręcone.

Zaciągnęła prześcieradło na twarz chłopca, odwróciła się i ruszyła na oślep przez tłum.

Śmierć była wszędzie wokół niej. Arden czuła jej oddech na karku.

Gorący oddech.

Zimny oddech.

Martwy oddech.

Zamordowany ojciec.

Zamordowana matka.

Uciekaj! Śmierć jest w domu!

Tamtego dnia uciekła. Na ziemi leżało piętnaście centymetrów śniegu, a ona miała na nogach tylko skarpetki, bo buty zdjęła przy drzwiach. Ale musiała uciec od śmierci, od obrazów, które śmierć zostawiła po sobie.

Popędziła przez pole, w stronę stodoły, i schowała się w silosie na kukurydzę.

Czy idzie za mną? Czy tam jest?

Zaczęła się wspinać.

Będziesz w pułapce. Jeśli wejdiesz na górę, będziesz w pułapce.

Ale ona potrafiła się wspinać jak nikt. Kiedy była młodsza, tato nazywał ją swoją małą małpką.

Wysyłał ją tam, gdzie on i wynajęci robotnicy bali się wejść. Od lat nikt nie był na szczycie silosu, pod kopułą. Nikt, oprócz niej i szczurów...

Czasem chowała się tam przed rodzicami, bo nikt nie miał odwagi wejść za nią. Czwartego lipca patrzyła stąd na fajerwerki puszczane w najbliższym miasteczku, odległym o dwadzieścia kilometrów.

Morderca też za nią nie wszedł. Nie odważył się.

Karetka przed Budynkiem 50 wrzasnęła kilka razy syreną i odjechała.

Arden omal na kogoś nie wpadła.

Przesunęła się w bok.

On też.

Znów się przesunęła.

On też.

Uniosła głowę.

Fury.

Obrazy nałożyły się w jej głowie i przez chwilę znów była w silosie, a Fury patrzył w górę, błagając, żeby zesza.

Uciekła tamtego dnia.

Jej matka i ojciec nie żyli. Nie mogła zrobić już nic, poza ratowaniem siebie.

Mogłaś go zabić. Mogłaś zabić człowieka, który zamordował twoich rodziców.

A ona, zamiast tego, schowała się. Nawet nie zobaczyła jego twarzy...

- To Noah - usłyszała własny głos.

- Wiem.

Od jakiegoś czasu uważała Fury'ego za przyjaciela. Ale twarz, która chwilami wyrażała

przyjazne uczucia, teraz wydawała jej się groźna. Oczy, które spoglądały tak ciepło, teraz były surowe i zimne.

Zabawne, jak oświetlenie może wszystko zmienić.

- Skoczył - powiedziała głosem pozbawionym emocji. Spojrzenie Furry'ego przesunęło się za nią. Odwróciła się i dostrzegła Harrisa stojącego w oddali, z rękami w kieszeniach białego kitla. Dwaj mężczyźni zdawali się porozumiewać bez słów. Poszukała wzrokiem Elego i Franny. Nie było ich.

Co tu się działo?

Franny, Eli i Noah zachowywali się dziwnie, byli jakby w letargu, kiedy razem z Furrym poszła do ich pokoju. Mogła nie lubić muzyki klasycznej, ale

przecież słuchanie Mozarta nie doprowadza ludzi do obłądzenia? Ani do skoku z okna.

Doktor Harris był naukowcem, a niektórzy badacze czuli się w prawie popychać pacjentów do granic wytrzymałości i poza nie. Czy właśnie to robił z Elim i Franny? Z Noahem? Czy badania, w których brali udział, miały jakiś związek ze śmiercią chłopca?

Eli przecisnął się przez tłum.

- Byłem u nas w pokoju. - Brakowało mu tchu, oczy miał rozszerzone i oddychał gwałtownie. - Noah zostawił w łazience zakrwawioną koszulę i buty.

Rozdział 18

O trzeciej nad ranem Arden wymknęła się po cichu ze swojego pokoju. Ubrana w ciemne dżinsy i granatową bluzę z kapturem przeszła korytarzem. Przyciemnione lampy oświetlały drogę, rzucając cienie na gipsowe kasetony na suficie.

Zaufaj intuicji.

Nauczyła się tego jako dziecko, kobieta, agentka, ale kilka razy w życiu zdarzyło się, że intuicja ją okłamała, mówiąc, że ktoś dobry był naprawdę zły, i odwrotnie. Teraz przynajmniej wiedziała, na czym stoi. Może nie do końca, ale zrozumiała, że musi stąd wyjechać, jeśli chce odkryć, kto zabił jej rodziców. Odpowiedź na to pytanie nie kryła się na Wzgórzu. Tutaj mogła znaleźć jedynie śmierć i chaos.

Krwawy odcisk buta należał do Noaha, wskazując go jako najbardziej prawdopodobnego mordercę biednej Very Thompson. Na testy DNA trzeba było poczekać, ale biorąc pod uwagę okoliczności, Arden nie miała wielkiej nadziei na jakieś inne rozwiązanie.

Przed wyjazdem musiała odfajkować jeszcze jedną pozycję ze swojej listy. A właściwie dwie, jeśli liczyć szczerą pogawędkę, jaką zamierzała sobie uciąć z Elim i Franny.

Najpierw powinna udowodnić samej sobie, że to, co widziała w Budynku 25, było tylko wytworem jej wyobraźni.

Zeszła po schodach; podeszwy butów do biegania piszczały na marmurowej powierzchni. Kiedy dotarła na parter, zatrzymała się i nadstawiła uszu.

Po ostatnich „wypadkach”, jak nazwał je Furry, zatrudniono więcej strażników. Teren patrolowała policja.

Gdyby ktoś ją zatrzymał, zamierzała powiedzieć, że idzie na spacer. To nie było zabronione, nawet o trzeciej nad ranem. Ale wyglądałoby cholernie podejrzanie.

Czyste niebo znów się zasnuło ciemnymi chmurami, zasłaniającymi księżyc i gwiazdy.

Brukowane alejki oświetlało światło latarni, rozmyte, lekko pomarańczowe, jakby docierało z przeszłości.

Arden trzymała się cieni i murów. Liście pod stopami były mokre od rosy i prawie nie wydawały

dźwięku. Po drodze zauważyła kilku policjantów i strażników. W FBI nauczono ją, jak się skradać; trening zrobił swoje, ograniczając strach do minimum.
Chłodna logika. Niesłyszana czujność.
Skierowała się prosto do tylnego wejścia Budynku 25, z którego skorzystał Noah. Teraz wydawało się, że od tamtego dnia upłynęły lata.
Zeszła w dół po stromych, cementowych schodkach, otoczonych cementowymi ścianami; skręt w prawo do drzwi, ukrytych przed wzrokiem przechodniów.
Stłuczone szkło zostało zastąpione cienkim kawałkiem klejki. Arden znalazła luźny róg, zgięła i złamała drewno, włożyła dłoń w dziurę i otworzyła zamek od wewnątrz.
Mówiono o zainstalowaniu systemu alarmowego, ale takie rzeczy wymagały czasu i najwyraźniej prace nie zostały jeszcze ukończone, bo nic nie ogłosiło jej wtargnięcia.
Jedyna różnica między tą wizytą a poprzednią była taka, że tym razem paliło się więcej światel. Nie oślepiających, sufitowych lamp, ale słabych żarówek, zainstalowanych nad ciemnymi drzwiami w ciasnych, ślepych zaułkach na końcach korytarzy.
Zwiedzanie budynku, w którym kiedyś przebywało tylu pacjentów, nie było przyjemne. Arden czuła ich, pozostawili tu swój ślad, zawieszony w powietrzu, zbierający się w ciemnych kątach. Weterani wojny secesyjnej z kapturami na nogach i umysłami pomieszanymi od widoku krwi i śmierci, od zabijania.
Arden szła między tymi duchami przez jadalnię, która opustoszała pewnego pięknego dnia i której nikt nigdy już nie odwiedził.
Zapomnieliśmy ci powiedzieć, że się wynosimy. Zapomnieliśmy powiedzieć, że już nigdy nie wrócimy.
Budynek czekał. Dni, miesiące, lata...

Arden odnalazła schody, na których nogi odmówiły jej posłuszeństwa tamtej nocy. Wzięła się w garść, zebrała siły, by bronić się przed uczuciami, które ją wtedy dopadły.
Teraz była silniejsza. Śmierć Noaha dała jej determinację, poczucie misji, które przemożły jej strach przed ciemnością i rzeczami, jakich nie pamiętała.
Zeszła po schodach, do pomalowanych grubą warstwą czarnej farby drzwi sali z komorami. Osiatkowane okienko było zbyt wysoko, by dało się przez nie zajrzeć.
Z pokoju w dalszej części korytarza dobiegał dźwięk telewizora. Z drzwi wylewała się poświata. Ktoś strażnik? - oglądał stary sitcom.
Arden powoli otworzyła drzwi sali.
Komory. Zielone. Metalowe.
Pomarańczowe światelko.
Są używane.
Strach wypełnił jej gardło. Wspiął się po kręgosłupie, aż na kark.
Spodziewała się, że komory będą puste. Ta wizyta miała na celu wyłącznie uzyskanie ostatecznej pewności.
Przeszła przez salę. Obok jednej z komór stał wieszak kroplówki z na wpół opróżnioną butelką glukozy; rurka niknęła w komorze, w niewielkim otworze dostępu.
Arden odpięła klamry, słysząc, a jednocześnie nie słysząc szczerku metalu o metal. Przejmując się, a jednocześnie ignorując osobę w dyżurce na korytarzu.
Obiema rękami podniosła ciężką pokrywę.
Ciało. Unoszące się jak korek na łożu ze słonej wody.
To był człowiek, którego widziała przedtem. Człowiek, którego tu nie było, jak wmawiali jej wszyscy. Człowiek, którego znała i rozpoznawała.
Harley.

Rozdział 19

Oczy Harleya były zamknięte, skóra kredowa, wargi sine. Wyglądało na to, że nie golił się od wielu tygodni. Arden przyłożyła mu rękę do policzka, nad gęstwiną brody. Skórę miał zimną. Odszukała tętnicę szyjną i wyczuła słaby, regularny puls.

Nadgarstki były przypięte do ścian komory szerokimi pasami podobnymi do tych, jakich używa się w elektrycznym krześle.

Rozpięła je.

Ktoś mógł tu wejść w każdej chwili.

Pochyliła się niżej i szepnęła:

- Harley. Harley, to ja, Arden. Musisz się teraz obudzić. Pora się obudzić.

Odwróciła się do drzwi i zaczęła uważnie nasłuchiwać.

Kroki. Powolne i szurające, zbliżały się korytarzem.

Zamknęła wieko komory, zapięła klamry i wślizgnęła się za jedną z dwóch pozostałych komór.

Pstryknął włącznik, zalewając salę jarzeniowym światłem. Rury jarzeniówek zabrzęczały nad jej głową. Ktoś wszedł, hydrauliczny siłownik drzwi syknął, kiedy się zamknęły.

Kroki butów na miękkich podszwach.

- Witam, panie Larson. Jak się miewamy? - Kobięcy głos. To ta sama pielęgniarka, która zajmowała się Arden.

- Wskaźniki temperatury w porządku. Nie chcemy, żeby pan zmarł, ale nie chcemy też pana ugotować. - Roześmiała się. Potem dała się słyszeć seria piknięć, kiedy kobieta sprawdzała pompę kroplówki.

Zajrzy do komory? Zauważy, że ktoś rozpiął pasy? Dwa metaliczne szczęknięcia, kobieta odpięła klamry. Skrzypienie unoszonej pokrywy.

- Wysusia się pan, panie Larson? No, śmiało. Może pan to zrobić. Rozległ się dźwięk silnego strumienia moczu, wpadającego do pojemnika.

- Dobry chłopiec. Tak jest o wiele lepiej niż z cewnikiem, prawda? Kolejne skrzypnięcie, kiedy opuszczała pokrywę. Szczęk metalu. W końcu pielęgniarka wyszła z sali, gasząc za sobą światło. Arden osunęła się na podłogę. Ulga rozlała się falą po jej ciele. Siedziała tak przez chwilę, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności.

To był groźny moment, ale sprawy nie mogły się potoczyć lepiej. Pielęgniarka nie powinna tu wracać co najmniej przez godzinę. Może nawet dwie, jeśli dopisze im szczęście.

Wstała z podłogi i szybko sprawdziła dwie pozostałe komory.

Puste. Suche.

Wróciła do Harleya. Wyłączyła pompę kroplówki i uniosła wieko komory.

- Harley. Obudź się, Harley.

Powieki otworzyły się jak na sprężynach.

Arden odskoczyła, zawahała się, po czym znów podeszła bliżej.

- Harley?

- Arden...?

- Co oni ci zrobili?

To się nie działo naprawdę. To nie była rzeczywistość.

- Przyszłaś.

- Tak. - Łzy zapiekły ją pod powiekami. - Nie możemy teraz rozmawiać. Musimy cię stąd wydostać.

- Jestem zmęczony.

- Żadnych wymówek. Musisz się ruszyć i pomóc mi. Powieki opadły.
Arden położyła ręce Harleya na brzegach komory.

- Złap się tu - rozkazała cicho, ale stanowczo. - Złap się i podciągnij do góry. Z jej pomocą zdołał się unieść do pozycji siedzącej, wychlapując wodę z komory i mocząc spodnie i buty Arden.

- Posiedź tak minutkę. Złap oddech.
Nie chciała, żeby zemdłał, kiedy będzie próbował wstać.
Harley uniósł ręce i obejrzał je, jakby zdziwiony, że tu są. Jakby należały do kogoś innego.
Wyrwał wenflon z dłoni i odrzucił go na bok.
W porządku. Teraz krwawił. Ona załatwiłaby to inaczej, ale niech będzie.
Kiedy przyzwyczajali się do pozycji pionowej, przeszukała pomieszczenie i znalazła szafkę z ręcznikami, szpitalnymi koszulkami i spodniami.
Wyterła mu włosy i plecy, narzuciła ręcznik na ramiona i obejrzała ranę po igle. Krwawienie ustało.

- Wstań. Połóż ręce tutaj. - Upewniła się, że porządnie chwycił brzeg komory. - Odepchnij się i stań. - Uniosła go, trzymając pod pachy.
Dźwignął się z pluskiem i stanął, nagi i drżący. Arden zarzuciła sobie jego rękę na ramiona, jednocześnie podtrzymując go w pasie.

- Obróć się. Brawo. I schodki. Po jednym. Właśnie tak. Świetnie. Zeszli ze schodków, podprowadziła go do krzesła.
Rzucił się w jego stronę i klapnął ciężko na siedzenie.
Szybko i sprawnie skończyła go wycierać. Przeciągnęła mu przez głowę szpitalną koszulkę, nogi wsunęła w nogawki płóciennych spodni, podciągając je do kolan. Kapcie na stopy.

- Wstań.
Stanął. Chwiejnie, ale prosto.
Oparł się ciężko dłońmi o jej ramiona, a ona podciągnęła mu spodnie do końca. Zupełnie jakby ubierała dziecko-olbrzyma. Harley był wysoki, miał

co najmniej metr osiemdziesiąt, ale nie był już potężny. Kiedyś ważył dziewięćdziesiąt kilo, teraz oceniała go na jakieś osiemdziesiąt.
Chwyciła jego rękę i znów przerzuciła sobie przez ramiona. Drugą ręką złapała go w pasie.
Poszli.
A raczej Arden szła. Harley powłóczył nogami. Na szczęście podeszwy kapci były miękkie i nie robiły wielkiego hałasu.
Uchyliła drzwi i zaczęła nasłuchiwać.
Telewizor wciąż był włączony. Wiedziała, że zagłuszy odgłos ich kroków.
Przeszli przez drzwi, wspięli się po cementowej pochylni na poziom właściwej sutereny.
Potem schody...
Arden rozejrzała się po holu, w nadziei, że gdzieś zmaterializuje się wózek. Ale wówczas musieliby skorzystać z windy, co mogły ściągnąć czyjąś uwagę.

- Złap się poręczy.
Położyła jego dłoń na metalowej szynie.
Z każdym krokiem czuła, że Harley wciska ją w podłogę. Z każdym krokiem wydawał się coraz cięższy.
W połowie schodów zatrzymała się, dysząc ciężko. Harley przycisnął twarz do ściany, z otwartymi ustami.

- Co robimy...? - wysapał. - Dlaczego? Jestem taki zmęczony. Przymknę oczy na minutkę...
- Musimy stąd wyjść. - Oparła się ciężko o niego, usiłując przycisnąć go do ściany, by nie osunął się na podłogę.
- Nie chcę.

- Musisz.
- Dlaczego?

Nie mieli czasu. W stanie narkotycznego oszołomienia i tak by nie zrozumiał, co się do niego mówi.

- Ratuję cię - powiedziała. - Nie chcesz być uratowany? Minęło kilka sekund.
- Jasne. - Spróbował wzruszyć ramionami. - Dobrze.

Miała nadzieję na bardziej entuzjastyczną reakcję, ale skoro facet był niemal w śpiączce, musiała brać, co daje. - Pomóż mi wejść po schodach.

Znow zaczął się poruszać. Popychała go z tyłu i od dołu, w końcu przez drzwi przeciwpożarowe wydostali się na parter.

Arden zauważyła wózek, wyglądał tak, jakby przed chwilą opuścił go jakiś duch.

Zablokowała koła i pomogła Harleyowi usiąść. Ruszyli korytarzem do opuszczonej, nieużywanej części budynku, przez starajadnię, w kierunku ukrytych schodów.

Kiedy zostawiali wózek, Harley wydawał się nieco mniej przymulony i trochę silniejszy.

Razem wspięli się po cementowych stopniach.

Na dwór.

Ile czasu minęło? Ile zostało do świtu? Ile czasu mają do chwili, kiedy pielęgniarzka zorientuje się, że Harley zniknął?

No i co dalej? Co mam teraz zrobić z człowiekiem, który ledwie chodzi?

Potrzebowali pojazdu, a ona nie miała nawet roweru.

Harley omiótł mętным wzrokiem okolicę. Wciągnął głęboko powietrze. Stał na rozkraczonych nogach, z trudem utrzymując równowagę.

Arden złapała go za łokieć i skierowała w stronę gęstego zagajnika, wyznaczającego granicę terenu ośrodka. Dopiero kiedy się ukryli, pozwoliła mu się zatrzymać. Stał, jednym kolaniem oparty o pień drzewa, na drugim położył rękę.

Trząsł się.

Jak liść, powiedziałaaby jej babcia.

Arden zdjęła bluzę.

- Masz.

Była za mała, ale wcisnął ręce w rękawy i naciągnął ją z przodu, ledwie dopinając suwak.

- Zostań tu. Pójdę po samochód powiedziała. - Prawda, że byłoby fajnie wsiąść do ciepłego samochodu? Ale musisz tu zostać. Jeśli ktoś będzie cię wołał, nie odpowiadaj. Zrozumiałeś?

Nie zrozumiał.

Westchnął ciężko i osunął się, oparty plecami o pień. I osunął się dalej... aż położył się na ziemi, zwinięty w pozycję płodową.

- Śpij. Poglaskała go po plecach jak marudne dziecko. - Teraz możesz spać.

Było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć jego twarz.

Nie odpowiedział. Po chwili jego oddech zmienił się, stał się głęboki i rytmiczny.

Arden wyprostowała się i ruszyła biegiem, przemykając szybko między drzewami. Pod stopami czuła kołdrę igieł.

Rozdział 20

Zapukała cicho do drzwi Elega i Franny. Nikt nie odpowiedział, załomotała. Z wnętrza dobiegł brzęk, potem odgłos, jakby coś się przewróciło. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Eli z zaczerwienionymi oczami, mrugając jak sowa. Arden wepchnęła się do środka i zamknęła drzwi.

- Ty i Franny musicie się stąd wynosić. I to już. Ubrania i rzeczy leżały porozrzucane po całym

pokoju.

- Nie możemy wyjechać - powiedział Eli.
 - O czym ty mówisz? - Franny trzymała na brzuchu pudełko chusteczek. Stosik zużytych chusteczek walał się na podłodze obok łóżka.
 - Nie ma czasu na wyjaśnienia, musimy jechać. Wydostać się stąd.
 - Jutro mamy spotkanie z doktorem Harrisem - odparł Eli. - Chce nas poddać jakimś testom, żeby się upewnić, że to, co się stało z Noahem, nie miało nic wspólnego z badaniami, w których bierzemy udział.
 - Nie miałam ochoty teraz się w to wdawać, ale byliście w komorach, prawda? Wszyscy troje. Franny spojrzała na Elego, potem na Arden.
 - Skąd...
- Eli skoczył do przodu.
- Ćśśś!
 - Wiedziała! - Arden opuściła ręce i pokręciła z niedowierzaniem głową. - Jezu! - Przeprowadzali eksperymenty na naiwnych dzieciakach. Wozili ich podziemnym tunelem, który łączył Szpital Miłosierdzia z Budynkiem 25.
 - Nie wolno nam o tym mówić - powiedział Eli. - Podpisaliśmy papiery. Przysięgliśmy zachować tajemnicę.
 - Bzdura! Nie jesteście do niczego zobowiązani - odparła Arden zirytowana. - Popatrzcie, co się stało z Noahem.
 - Noah nie zabił tej staruszki - powiedziała Franny. - Wszyscy tak mówią, ale Noah nie mógł... nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego.
 - Mógł, jeśli przez wiele dni słuchał takich szaleńców, jak Albert French, szepczących mu do ucha. - Arden zamachała rękami. - To wam robili? To puszczał wam Harris w komorach zamiast Mozarta? Słuchaliście opowieści o zbrodniach zamiast *Czarodziejskiego fletu*?

- Powiedział tylko, że będziemy w komorach. Nic więcej nie wiem! - Franny złapała się za głowę i zaczęła szlochać. - Nie pamiętam! Nie wolno nam o tym mówić! Nie każ nam o tym mówić!
- Dobra, po prostu pojedziecie ze mną. - Arden próbowała się uspokoić. Zniżyła głos. - Przynajmniej podwieźcie mnie do Charlestonu. Jeśli nie zdołam was przekonać, żebyście jechali dalej, zostawcie mnie i wróćcie. To nic takiego.
- Jasne, że cię podwiezę - powiedział Eli. - Dlaczego nie powiedziałaś od razu?
- Spakujcie parę rzeczy... na wypadek, gdybyście się zdecydowali nie wracać. Musimy się spieszyć.

Franny była już na nogach; sięgała po plecak. Eli obrócił się na pięcie.

- Jedziesz? - zapytał, nie wierząc własnym oczom. Arden podniosła worek marynarski.
- Twój? - zapytała Elego.
- Tak, ale...
- To twoje spodnie?
- Tak, ale... Wepchnęła je do worka.
- A to? - Koszula.
- To Noaha. Para sztruksów.

- Noaha. - Franny wzięła od niej koszulę oraz spodnie i przycisnęła do piersi.

Arden była już pewna, że są odpowiednio przygotowani. Teraz pobiegła do swojego pokoju, złapała plecak, wepchnęła do niego tyle, ile się da, i wróciła do Elego i Franny, zanim zdążyli się rozmyślić.

Franny rozejrzała się po pokoju.

- Chyba zapomniałam o czymś ważnym.
- To nie ma znaczenia - powiedział Eli. - Nie wiem, jak ty, ale ja tu wrócę. Budynek miał tyle wyjść, że łatwo było się wymknąć niepostrzeżenie.

- Nie wyjeżdżaj główną bramą - powiedziała Arden, kiedy już siedzieli w samochodzie z zapalonym silnikiem. - Przejedź koło choinek.
- Czemu po prostu nie poczekasz i nie wyjedziesz rano? - Eli wrzucił bieg. - Po co ta cała konspiracja?
- Szukaj ścieżki po prawej. - Arden pochyliła się do przodu z tylnego siedzenia i wskazała kierunek. - Jest. Skręć tu.

Eli skręcił.

Światła samochodu padły na gęstą kępę drzew i zaczęły skakać po pniach. Wszystko wyglądało tak samo. Arden przyglądała się uważnie, szukając jakiegoś punktu orientacyjnego.

- Stój.

Eli zatrzymał samochód.

- Wyłącz światła, ale zostaw pozycyjne. Wyskoczyła z wozu, zostawiając otwarte drzwi. Z przedniego siedzenia pasażera Franny patrzyła, jak Arden przecina pomarańczową plamę światła lamp pozycyjnych i znika w ciemności. Eli nerwowo zabębnił palcami po kierownicy.

- Co ona robi?

- Nie wiem.

- Może powinniśmy się zmyć, zanim wróci.

- Dlaczego?

- Pewnie schowała tam broń i zaraz nas zabije.

- Co?

- Wiesz, ktoś tu morduje ludzi, i to nie jestem ja. Może to Arden wrobiła Noaha. Podłożyła zakrwawioną koszulę i buty. I zabiła starszkę.

- Arden tego nie zrobiła - odparła Franny.

- Nie wiesz tego.

- Ufam jej.

- Ale chyba z nią nie pojedziesz?

- Nie wiem. Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Jeśli wyjedziemy, postąpimy jak winowajcy.

- Ale jesteśmy niewinni. Czego mamy się bać? Nic nas nie wiąże z tą starszką.

- A z Noahem? Byliśmy z nim. Będą nas próbowali powiązać z jego śmiercią. Pomyślał, że któreś z nas wypchnęło go z okna.

O tym nie pomyślała. Była zbyt pochłonięta bólem po niespodziewanej śmierci Noaha.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

- Nikogo nie będzie obchodzić, czy mieliśmy jakiś powód.

A może Eli miał jednak powód, pomyślała Franny. Zawsze był o nią zazdrosny.

- Arden za bardzo się rządzi - powiedział Eli. - Zauważyłaś, jak nas ustawia?

- Mówiłeś chyba, że ją lubisz.

- Lubilem. Z początku. Zanim zaczęła się rządzić.

- Jest starsza od nas i więcej wie. Eli parsknął.

- Nic nie wie. To wrak, została wybielona. Jak może coś wiedzieć? Nie twierdzą, że jest złym człowiekiem. Nie o to chodzi. Mówię tylko, że nie jest osobą godną zaufania. Ma wypaczony obraz rzeczywistości.

- A my? - zapytała Franny. Nie była pewna, co działo się z nią w komorze. Po sesji nie potrafiła zebrać myśli. Nawet teraz miała problemy z poskładaniem wydarzeń w całość, z ich uporządkowaniem. Harris powiedział, że to minie, ale czy to prawda? A może jej mózg został zmanipulowany? Może ona i Eli też zostali wybieleni?

- Pomyśl o Noahu - powiedziała. - Popatrz, co się z nim stało. Może ona ma rację. To może

działać w sposób, o którym nie mamy pojęcia. Jeśli zostanę, boję się, że dam się na coś namówić Harrisowi. Wiesz, jaki on jest. -Przecież przekonał ich, by wzięli udział w tajnym eksperymencie: przyspieszeniu prac nad programem OZ.

Eli wyprostował się.

- Idzie.

- Ktoś z nią jest. - Franny wyteńczyła wzrok, ale to nie pomogło. Ciemność była ciemnością.

- Jezu - powiedział Eli, nie wierząc własnym oczom. - Zdaje się, że to ten facet.

Franny usiłowała sobie przypomnieć facetów, których znali. Furry. Harris. Nocny stróż, który czasem wpuszczał ich do automatów z batonikami i nie wrzeszczał, jeśli przyłapał ich na bieganiu po korytarzach.

- Jaki facet?

- No ten. Ten Harley, czy jak mu tam.

- Myślałam, że wyjechał.

Arden na wpół go wlokła, na wpół niosła.

- Wygląda na trupa - mruknęła Franny.

Otworzyli drzwiczki i wyskoczyli z samochodu, żeby jej pomóc. We trójkę wpakowali Harleya na tylne siedzenie i domknęli za nim drzwi.

Harley trząsał się jak osika, przez cienką warstwę ubrań dało się wyczuć, że ma lodowatą skórę. Wskoczyli z powrotem do samochodu.

- Jedź! - krzyknęła Arden. Eli wycofał wóz.

- Prosto. Prosto! Bez świateł. Ta ścieżka wyprowadzi cię na zewnątrz, obok starego cmentarza i obory.

Eli wrzucił jedynekę; podskakując, ruszyli po gruntowej drodze. Samochód uderzył o coś podwoziem.

- Przepraszam. - Eli zwolnił. - To ten Harley, prawda? - Mocniej ścisnął kierownicę.

- Trzymali go w komorze - powiedziała Arden. - Prawdopodobnie przez cały czas był w Budynku 25, a nam wmawiali, że wyjechał. Z nami pewnie też by to zrobili. Powiedzieliby, że wyjechaliśmy.

Franny nie umiała wyłączyć myśli, otrząsnąć się z tej paranoi. Czy to prawda? Czy to się naprawdę dzieje? A może to ona leżała w komorze, karmiona spreparowaną rzeczywistością? Harley na tylnym siedzeniu jęknął i zaczął kiwać się w przód i w tył, z głową w dłoniach.

- Dwa razy dwa jest trzy. Dwa razy dwa jest trzy. Brigitte Bardot i Mari-lyn Monroe. Zabiły JFK. Zabiły Roosevelta. Zabiły Howarda Hughesa. Howard Hughes był bardzo wielkim człowiekiem, i bardzo wielkim człowiekiem był. Wybielony i przywrócony. Amen. Amen. - Umilkł. Przez chwilę Franny myślała, że skończył, ale okazało się, że tylko chwyta oddech.

- Muszę złapać rytm - mamrotał. - Zgubiłem rytm.

Uniósł głowę i przyłapał Franny na tym, że mu się przygląda. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła ryzykować, że zdenerwuje go jeszcze bardziej. Jedno wiedziała na pewno: nie wraca na Wzgórze. Nie ma mowy, jeśli efektem eksperymentu był taki pokrecony wrak jak Harley.

Rozdział 21

Siostra Pauline Welsh zerwała się gwałtownie ze snu. Niemal spadła na podłogę; serce waliło jej, jak zawsze, kiedy miała sen o spadaniu. Grzbietem dłoni otarła ślinę. W telewizji ktoś zachwalał nowy preparat dietetyczny. Spojrzała na świecąca tarczę zegarka na ręce.

Przegapiła kontrolę pacjenta o czwartej.

Nie szkodzi, pomyślała, dźwigając się z obitego skajem, miękkiego fotela. Najwyżej nasikał do komory i będzie musiała spuścić wodę i zacząć wszystko od początku.

To jedyna dobra rzecz w nocnych dyżurach. Nie było nikogo, kto by na człowieka nawrzeszczał, jeśli popełniło się błąd.

Pauline nigdy się nie spieszyła. Pośpiech nie pomaga pielęgniarce. Przez pośpiech można się wpakować w kłopoty.

Nie była zachwycona „nockami”, niektórzy je uwielbiali, ale to byli introwertycy. Trzeba mieć specyficzną osobowość, żeby lubić nocne dyżury.

Otworzyła ciężkie drzwi sali komór i włączyła światło.

Stopy ją bolały. I plecy. W jej wieku ciało nie regeneruje się podczas snu w dzień. Ludzie nie są stworzeni do czuwania w nocy.

Sięgnęła do klamer.

Nie były zapięte. Czyżby zapomniała...?

Teraz zauważyła odłączoną kroplówkę. Igła leżała na podłodze.

Woda rozlana wokół jej stóp. Ciapiąca pod podeszwami.

Serce zaczęło jej łomotać; zgaga i niestrawność, które męczyły ją od kilku godzin, przybrały na sile.

Uniosła pokrywę komory.

Pusto. Pacjent zniknął.

Pauline nigdy nie zginął żaden pacjent. Owszem, zdarzało się, że umierali, ale nigdy nie ginęli.

Rozejrzała się gorączkowo po sali, sprawdziła przylegającą do niej łazienkę. W końcu pobiegła korytarzem.

Nie mógł odejść daleko. Musiał być w pobliżu, w budynku. Jeśli nie, to wdepnęła w niezłe gucio, jak to mawiał jej zmarły mąż.

Zabrzączał telefon, budząc doktora Harrisa z niespokojnego snu. Dzwonił jeden z jego asystentów. W jego głosie brzmiała panika.

- Harley Larson zniknął. Harris usiadł na łóżku.

- Jak to zniknął? - Żona obudziła się i włączyła nocną lampkę, zaspana i zaniepokojona.

- Pielęgniarka poszła do niego zajrzeć i nie było go w komorze. Pierwszą myślą Harrisa było zadzwonić na policję i zgłosić zaginięcie Larso-

na, ale jak można zgłosić zaginięcie kogoś, kogo w ogóle nie powinno tu być? Wiedział, że jakoś to rozwiąże. Zawsze znajdował rozwiązanie.

- Wygląda na to, że nie uwolnił się sam - powiedział asystent. - Ktoś włamał się przez służbowe drzwi.

Harris widział to już kiedyś i chyba się domyślał, kto stał za tym włamaniem i zniknięciem Larsona.

- Sprawdź Arden Davis - powiedział. - I studentów, biorących udział w badaniach. Zawiadom mnie, jak tylko będziesz coś wiedział.

Rozłączył się.

Włamanie z wtargnięciem. Możliwe porwanie. To się powinno udać, ale czy chciał w to mieszać policję?

- O co chodzi, kochanie? - zapytała żona.

- Nic. Po prostu parę nieodpowiedzialnych osób popełniło głupi błąd.

- Jesteś pewna, że on śpi? - zapytał Eli przez ramię. - Że nie umarł? Bo facet się w ogóle nie rusza.

Jechali na północ, bez żadnego planu, z wyjątkiem tego, by jak najbardziej oddalić się od Wzgórza.

Arden sięgnęła do bagażnika kombi, gdzie Harley leżał zwinięty w śpiworze Elego. Przysunęła dłoń do jego nosa i ust.

- Oddycha.

W samochodzie panowała dziwna atmosfera, pełna pytań, na które nie było odpowiedzi. Od opuszczenia Wzgórza nikt nie wysuwał żadnych teorii. Nie snuli żadnych przypuszczeń na temat tego, co działo się z Harleyem ani co spotkało Noaha. Skupiali się na drodze. Ale teraz, kiedy słońce wstało i zaczął się nowy dzień, napięcie w samochodzie rosło.

- Będziemy musieli zatankować - powiedział Eli. Arden spojrzała nad oparciem.

- Masz mnóstwo benzyny.

- Wskaźnik nie działa. - Postukał w szkło. - Zawsze pokazuje pół baku.

- Muszę iść do łazienki - dodała Franny. - I chcę kupić mapę. Potrzebna nam mapa.

Zatrzymali się w następnym miasteczku - sennie osadzie z trzema konkurującymi o klientów stacjami benzynowymi, stłoczonymi na przedmieściu.

Harley przespał tankowanie.

Na zmianę zostawali przy nim i biegli do łazienki, przekazując sobie kluczyk zawieszony na plakietce. Eli przeczyścił gumową myjką przednią szybę, Franny kupiła wodę i coś na ząb. Arden zapłaciła przy ladzie.

Wyjeżdżając z miasta, zauważyli sklep ze sporą liczbą furgonetek na parkingu, co wskazywało, że mimo wczesnej godziny jest otwarty.

Poczekali w samochodzie, a Arden pobiegła kupić ubranie dla Harleya.

Dżinsy. Bielizna. Koszulka z długimi rękawami. Sportowe bury. Bluza.

Zapłaciła gotówką choć zakupy poważnie uszczupliły niewielki zapas pieniędzy.

Kiedy wróciła do samochodu, Harley się poruszał. Oczy wciąż miał zamknięte, ale wzdychał głośno i usiłował się przekręcić na bok w ciasnej

przeźreni. Nagle usiadł, z głową i barkami przygiętymi z braku miejsca. Rozsunął śpiwór, wierząc i wijąc się, by się z niego wydostać. Muszę się odlać.

Eli wjechał za sklep, na plac zagracony zużytymi fragmentami ogrodzenia i starym sprzętem farmerskim. Zatrzymał się, wyskoczył i otworzył tylne drzwi z zawiasami u góry.

Harley wypadł na zewnątrz i natychmiast zaczął sikać na żelazne koryto dla cieląt. Arden wyjęła z paczki bokserki i oberwała metki z dżinsów. Załóż to - powiedziała, kiedy zatoczył się z powrotem do samochodu.

Opuścił szpitalne spodnie.

Franny wybuchnęła zduszonym śmiechem i zakryła usta.

Harley wciąż niepewnie trzymał się na nogach. Z pomocą Elego włożył bokserki i dżinsy, potem koszulkę, a w końcu bluzę.

Zapomniała o skarpetkach.

Buty były trochę ciasne, ale zdołał wcisnąć w nie bosc stopy.

- Umieram z głodu - oznajmił, kiedy skończył się przebierać. - Czy ktoś jeszcze jest głodny?

Eli, Arden i Franny spojrzeli na siebie z ulgą. Mówił pełnymi zdaniami i do rzeczy.

- Mam batoniki z muesli. - Franny uniosła trzy różne paczuszki, rozkładając je jak wachlarzyk kart. - I wodę.

- Mam ochotę na prawdziwe jedzenie. Bekon. Jajka. Kawa. - Harley zatarł dłonie. - Czy to nie brzmi wspaniale? Kurczę, ależ to wspaniale brzmi.

Postanowili poczekać z postojem do następnego miasteczka. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś jednak zauważył publiczne sikanie i striptiz Harleya.

Bywały chwile, kiedy anonimowość sieciowej restauracji - czy czegokolwiek sieciowego - była najlepsza. Ludzie wchodzili, wychodzili. Nikt nikogo nie zauważał w niezmiennym młynie jednakowości, w jakim kręcili się pracownicy i klienci.

Ale Harley był zbyt głodny, by zdołali dojechać do takiego lokalu.

Zatrzymali się w niewielkiej restauracji kilka kilometrów na północ od autostrady 77, w samym środku pustkowi. Do najbliższego miasteczka w każdą stronę było piętnaście kilometrów.

Kwadratowy budynek, zbudowany z cementowych pustaków, usadowiony tuż przy dwupasmówce, kojarzył się raczej z przerobioną stacją benzynową.

- Spróbujmy nie rzucać się w oczy - powiedziała Arden. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał, ogłaszając ich przybycie.

Niepotrzebnie. Wszystkie oczy i tak były zwrócone na nich, zanim jeszcze dzwonek wydał dźwięk. Obserwowali ich przez okno, kiedy wysiadali z samochodu i szli przez zwirowany parking, obok ciężarówek z bydłem i sianem.

Knajpka była niewiele większa od dużego salonu, z oknami z trzech stron, kuchnią na tyłach i stolikami stłoczonymi jeden obok drugiego.

Ledwie weszli do środka, Arden już wiedziała, że to był błąd. Chciała powiedzieć coś w rodzaju, że to nie stacja benzynowa i że jada dalej, ale Harley usiadł na pierwszym wolnym krześle.

Reszta poszła w jego ślady ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

Czuli się w tym lokalu dość nieswojo. Ludzie, którzy teraz bardzo starali się na nich nie gapić, byli po prostu ciekawi przyjezdnych. Niewielu ich widywali. Wejście do takiej jadłodajni to jak wpakowanie się do kuchni obcych ludzi.

Co tu robicie? Nie pasujecie tutaj.

Kelnerka przyniosła zafoliowane karty i wodę w odrapanych, łuszczących się plastikowych kubkach. Harley wypił swoją duszkiem.

Była bardzo młoda, prawdopodobnie chodziła jeszcze do szkoły; miała mocny makijaż, ciasne spodnie, goły brzuch i kusą koszulę. Wyglądała, jakby się ich bała i nie życzyła sobie ich obecności.

Nie ma dziś szkoły? - zdziwiła się Arden. Jest sobota? Niedziela? Nie miała pojęcia.

Najbliższego.

Harley wyglądał jak jaskiniowiec. Włosy miał splątane i skołtunione, brodę zmatowiałą od osadu soli.

Eli i Franny robili trochę lepsze wrażenie, ale mieli przekrwione oczy, nieuczesane włosy i ciuchy wymięte w plecakach i workach. Arden była pewna, że wygląda równie fatalnie.

Czuła się jak zbieg, ale przecież nie zrobili niczego złego. I teraz też nie robili niczego złego.

Rozmowy umilkły, kiedy przekroczyli próg. Teraz rozbrzmiały na nowo; ich uszu dobiegały rozważania na temat inwentarza i cen kukurydzy.

Złożyli zamówienie.

Kiedy kelnerka zebrała karty, Harley zagapił się przez stół na Arden. Miał dziwny wyraz twarzy.

Coś w rodzaju rozbawionej dumy.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Z każdą sekundą nabierał sił. Nie chciała go naciskać, ale miała do niego wiele pytań.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział Harley. Jego głos był głęboki, szorstki jak papier ścierny. Prawdopodobnie nie mówił od wielu dni.

Może dłużej.

Przyniesiono posiłek i Harley zaczął zajadać. Niemal wchłonał jajka, bekon i grzanki. Duszkiem wypił sok pomarańczowy.

- Chcesz naleśnika? - zaproponowała Franny. - Nie dam rady zjeść wszystkich.

Widelcem zabrał naleśnika z jej talerza i załał go syropem klonowym. Kiedy skończył jeść, brodę miał upačkaną.

Arden zamoczyła serwetkę w swoim kubku z wodą, wycisnęła i podała Harleyowi.

Znów wszyscy ich obserwowali.

Kiedy Harley się już najadł, poczuł ich wzrok.

- Na co oni patrzą?

Arden zignorowała pytanie w nadziei, że odwróci jego uwagę moką serwetką, którą wciąż trzymała przed nim w wyciągniętej dłoni.

Harley spojrzał na Elego, który wzruszył ramionami. Potem na Franny. Szybko spuściła oczy. Popatrzył na grupkę mężczyzn, siedzących przy najbliższym stoliku.

- Co? - rzucił zaczepnie, unosząc się z krzesła. Nie można grozić ludziom w ich własnym domu. Czterech dżentelmenów przy stoliku zjeżyło się, w sali zapanowała cisza. Kelnerka zamarała z tacą pełną jedzenia. Kucharz zjawił się w drzwiach do kuchni, wycierając ręce białym ręcznikiem.

- Nie znacie się na manierach? - zapytał Harley, podnosząc głos. - Mama was nie nauczyła, że nie wolno się gapić?

Czterech mężczyzn wstało od stolika, zgrzytając krzesłami o podłogę.

Byli ciężko pracującymi farmerami, nie szukali awantury, ale jeśli jakaś sama włądziła im w drogę, nie mieli zamiaru się wycofywać. A gdyby musieli, potrafiliby pewnie skopać parę tyłków.

Arden sięgnęła przez stół i złapała Harleya za rękaw. Zwrócił na nią gniewne spojrzenie i strząsnął rękę.

- Lepiej już idźcie - powiedział kucharz. - Tracy, gdzie jest ich rachunek? Harley złagodniał.

- Przepraszam.

To było jak patrzenie na kogoś z rozdwojeniem jaźni, kto na ich oczach przeskakuje z jednej osobowości w drugą. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Ramiona mu się trzęsły.

- Ja zapłacę - powiedział Eli. - A wy go wyprowadzicie. Arden otoczyła Harleya ramieniem.

- Chodź. Idziemy.

Wstał od stolika, nie odsłaniając twarzy.

Grupka mężczyzn przybrała nagle zmieszane, zawstydzone miny. Ludzie czują się nieswojo w zetknięciu z chorobą psychiczną.

- Oj, co tam. - Jeden z mężczyzn machnął ręką do Arden. - Nic się nie stało. Ja też mam takiego jednego w rodzinie. Wścieka się bez powodu.

Zaczerwienił się, bo słowa, które miały brzmieć pocieszająco, były jakoś nie na miejscu.

- Nie chcieliśmy się gapić - powiedział drugi mężczyzna, w brązowym płóciennym kombinezonie.

Byli ubrani jak na zimę i do Arden dotarło, że od jakiegoś czasu temperatura spada.

- Po prostu nie jesteśmy przyzwyczajeni do widoku kogoś z... - Palcem wykonał ruch wokół twarzy.

Arden zmarszczyła pytająco brwi.

- Z jedzeniem na twarzy.

Posłała mu spięty uśmiech i wypchnęła Harleya przez drzwi. I to by było tyle, jeśli chodzi o nierzucanie się w oczy.

Fury golił się, kiedy zadzwoniła komórka.

- Zniknęli - powiedział głos w słuchawce.

Potrzebował chwili, by we właścicielu zdenerwowanego głosu rozpoznać Harrisa. Odłożył maszynkę na umywalkę.

- Kto zniknął?

- Twoja była. Mówiłem ci, że nie chcę jej tutaj z powrotem. Jest zbyt rozchwiana.

Fury złapał ręcznik i wytarł z twarzy resztki kremu do golenia.

- Ale nie tylko ona zniknęła - powiedział Harris. - Zabrała ze sobą moich studentów-ochotników.

Fury nie był szczególnie zdziwiony wiadomością, że Arden się zmyła. Od chwili przyjazdu chciała to zrobić, ale biorąc pod uwagę niedawne morderstwo, to zniknięcie wyglądało fatalnie.

- Znajdziemy ją. Ściągniemy ich z powrotem. Harris jeszcze nie skończył.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział. - Porwali pacjenta. Tego Fury się nie spodziewał.

- Kogo?
- Harleya Larsona.

Rozdział 22

Eli zapłacił dostawcy pizzy i łokciem zamknął drzwi pokoju w motelu. Przekręcił zamek i zapiął łańcuch.

- Jedna duża z kielbasą, cztery napoje. - Położył zamówienie pośrodku najbliższego łóżka.

Zapach popłynął w kierunku Arden. - To koniec moich pieniędzy.

Po południu dopadło ich zmęczenie, postanowili się więc zatrzymać. Motel zapewniał prywatność; mogli zabrać Harleya do pokoju, unikając powtórki sceny w restauracji, a poza tym mógł tutaj wziąć prysznic, o który błagał od świtu.

- Muszę splukać z siebie tę sól - powiedział. - Skóra mnie piecze. Pokój był tani, czterdzieści pięć dolarów plus podatek. Dwa wielkie łóżka.

Lustra wzdłuż jednej ze ścian. Telewizor. Radio z budzikiem.

Zapach stęchlizny, typowy dla starych moteli, był za darmo.

Prysznic szumiał już od piętnastu minut i Arden zaczęła się zastanawiać, czy Harley kiedykolwiek spod niego wyjdzie.

Franny przysiadła na brzegu łóżka i złapała butelkę dietetycznej coli.

- Mamy poczekać?

- Ja nie mogę. - Eli otworzył tekturowe pudełko. - Zaczynam dostawać hipoglikemicznej drżączki. - Pokazał drżącą rękę, wyciągnął z pudełka kawałek miękkiej, ciągnącej pizzy. - A poza tym nie wiem, czy ten gostek kiedykolwiek skończy.

Arden zapukała do drzwi łazienki.

- Wszystko w porządku?

Dała się słyszeć przytłumiona odpowiedź.

Upewniwszy się, że Harley żyje, Arden i Franny nie zważały dłużej na etykietę. Zabrały się za pizzę.

- Co właściwie robimy? - zapytała Franny, kiedy zaspokoila pierwszy głód. - Jaki jest plan? I czy mamy w ogóle jakiś plan?

- Naszym priorytetem było oddalenie się od Wzgórza - odparła Arden. Nie wiemy nawet, czy ktoś nas ściga - zauważył Eli. - Ani czy nas

szukają. - Wytarł usta serwetką. - Założę się, że nie. Bawimy się w chowanego jak banda dzieciaków, tyle że nikt nie bawi się z nami.

- Myślę, że powinniśmy pójść na policję - powiedziała Franny.

Arden wypła łyk coli. Nie była przyzwyczajona do picia napojów gazowanych i wzdrygnęła się z niesmakiem, czując bąbelki.

- I co im powiemy? To będzie ich słowo przeciwko naszemu. I oczywiście słowo Harleya. Mamy Harleya.

Franny sięgnęła po drugi kawałek pizzy.

- Może powinniśmy opowiedzieć o tym jakiejś dużej gazecie. Takiej jak „New York Times”.

Eli kiwnął głową, podekscytowany tym pomysłem.

- Albo „Rolling Stone”. Co powiecie na „Rolling Stone”? Franny szturchnęła go w ramię.

- „Rolling Stone”? Co ty wygadujesz?

- W *Podpalacze* poszli do „Rolling Stone”.

- Może w książce, ale nie w filmie - odparła Franny. - Kiedy kręcili film, „Rolling Stone” nie był już głosem radykalnej anarchii, tylko typowym przedstawicielem kultury konsumpcji i

rozpoznawalnych znaków firmowych.

Eli zrobił urażoną minę, ale Arden ucieszyła się, widząc ożywienie u Franny. To była jej pierwsza żywsza reakcja na cokolwiek od śmierci Noaha. Prysznic przestał szumieć.

- Najwyższy czas - powiedział Eli. - Ten zbiornik na wodę, który widzieliśmy na skraju miasta, pewnie już jest pusty.

Pięć minut później drzwi łazienki otworzyły się, wypuszczając chmurę pary.

- Skończyła się gorąca woda - oznajmił Harley. Eli parsknął.

- Przecież byłam tam raptem parę minut.

- Doprawdy? - zapytała Arden.

- No tak. Ledwie się namydlilem, a tu proszę. Koniec gorącej wody. Tracił poczucie czasu.

Jak długo przebywał w komorze? Mogła go zapytać, ale pewnie nie znał odpowiedzi. Mógł powiedzieć, że kilka minut, gdy naprawdę były to godziny. A nawet dni. I gdzie był, kiedy nie leżał w komorze?

Żałowała, że nie miała czasu przejrzeć dokumentacji Harrisa, myślała tylko o tym, żeby wydostać Harleya z Budynku 25. Zresztą prawdopodobnie karta Harleya leżała pod kluczem.

Eli wziął pilota, włączył telewizor i zaczął przeglądać kanały. Harley zaatakował pizzę. Franny siedziała w kącie pokoju, przewracając kartki koło-notatnika. Arden słyszała, jak dziewczyna od czasu do czasu pociąga nosem. Nagle rzuciła zeszyt i pobiegła do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi i przekręcając zamek.

Harley, z kawałkiem pizzy w dłoni, popatrzył za nią.

- A tej co się stało?

Ile jest gotów usłyszeć? - zastanawiała się Arden. He prawdy może przyjąć w tej chwili do wiadomości?

- Jej chłopak wczoraj zginął. - Postanowiła razie nie wspominać o morderstwie. - Popelnił samobójstwo. Myślimy, że ma to bezpośredni związek z programem OZ.

Biedna Franny. Nie miała czasu na żałobę. Została rzucona z jednej nierealnej sytuacji w drugą.

- Musimy wiedzieć, co się z tobą działo, Harley, wszystko, co pamiętasz. Może nie w tej chwili, ale kiedy będziesz gotów.

Kiwnął głową, sięgając po kolejny kawałek pizzy.

- Jasne.

Siedzący za nimi Eli wydał nagle dziwny, zduszony dźwięk. Harley i Arden spojrzeli na niego.

Eli gapił się w telewizor z otwartymi ustami. Arden powoli odwróciła głowę za jego spojrzeniem.

Reporter ze zbyt mocnym makijażem stał przed Budynkiem 50.

- Idylliczne miasteczko Madeline w Wirginii Zachodniej od trzech lat nie było świadkiem morderstwa - mówił do kamery. - A na pewno nikt z mieszkańców nie przypomina sobie morderstwa popełnionego z taką brutalnością.

Na ekranie ukazał się szef miejscowej policji.

- Obecnie wciąż zbieramy dowody.

- A co z drugim wypadkiem, uznanym za samobójstwo? - zapytała kobieta, przeprowadzająca z nim wywiad. - Czy między tymi dwiema tragediami jest jakiś związek?

- Nie chcę tego komentować w tej chwili, dopóki nie zbierzemy wszystkich informacji. Mamy nadzieję, że zgłoszą się świadkowie.

Kamera powróciła do reportera przed Budynkiem 50.

- Policja chce przesłuchać między innymi trzy osoby, które zniknęły ze Wzgórza we wczesnych godzinach porannych szesnastego listopada. Komenda policji zaznacza, że nie są to podejrzani, ale osoby mogące mieć związek ze sprawą. Jeśli zobaczą państwo którąś z nich, proszę się do nich nie zbliżać, lecz skontaktować się z miejscowym posterunkiem policji.

Podał opis samochodu i numery rejestracyjne.

- Powtarzam, jeśli zobaczycie państwo ten samochód, proszę się nie zbliżać. Jego pasażerowie

mogą być niebezpieczni.

- Niebezpieczny? Ja? -- Eli roześmiał się i zaczął podskakiwać na łóżku, tłukąc pięściami w materac.

Reporter jeszcze nie skończył.

- O ile mi wiadomo, tych troje świadków to nie jedyne osoby, które zniknęły z ośrodka. Wcześniej udało nam się porozmawiać z doktorem Philli-pem Harrisem, szefem wydziału badań psychiatrycznych w Instytucie Badawczym Webbera w Madeline.

Puszczono wywiad z Harrisem, nagrany w jego gabinecie.

- Jeszcze bardziej niepokojące jest to, że zaginął jeden z moich pacjentów - powiedział doktor Harris, stojący w kitlu przed swoim biurkiem, z założonymi na piersi rękami.

- I sądzi pan, że jego zniknięcie jest w jakiś sposób związane z nagłym wyjazdem ochotników biorących udział w badaniach? - zapytał reporter.

- Nie mamy na to dowodów, ale wydaje się to bardzo podejrzane. Arden była ciekawa, jak Harris rozwiąże sprawę Harleya. Nie było dla niej zaskoczeniem, że zdecydował się przyznać do jego istnienia, skoro prawda i tak w końcu wyszłaby na jaw. Reporter mówił dalej.

- Sugeruje pan, że pacjent został porwany?

- To prawdopodobne.

- O kurka! - powiedział Eli. - Chyba się przekręcę ze śmiechu.

Franny w łazience usłyszała wybuch śmiechu Elego. Dlaczego się śmiał? Nie powinien się śmiać. Zahaczyła kciukiem o brzeg koszulki, naciągając materiał tak, by wytrzeć czyste kółko na zaparowanym lustrze.

Ciemne, podpuchnięte oczy. Zero makijażu. Nieułożone włosy. Podobał jej się taki abnegacki wygląd, ale tylko kiedy był specjalnie wystylizowany. A to było naprawdę.

Nie obchodziło jej, że fatalnie wygląda. Noah umarł, w dodatku sam się zabił. Powinna dostrzec, że się na to zanoszą. Powstrzymać go. To jej wina.

Kolejny wybuch śmiechu.

Franny wydmuchała nos, wzięła pudełko tanich chusteczek z rogu umywalki i otworzyła drzwi.

- Co cię tak bawi?

Siedzący na łóżku Eli wskazał telewizor.

Na ekranie widniały zdjęcia całej trójki, z nazwiskami pod spodem. Franny usiadła na łóżku z chusteczkami w dłoni. W takich chwilach cieszyła się, że nie ma rodziców. Chyba umarliby.

- Patrz. - Eli znów wskazał telewizor.

Reporter stał przed Budynkiem 50. Ujęcie było dramatyczne, kręcone z dołu, prawdopodobnie przez jakiegoś absolwenta filmówki, który musiał przyjąć robotę w lokalnej telewizji, ale nadal usiłował być twórczy. Franny nie słyszała, co mówi reporter, bo Eli bez przerwy go zagłuszał, nabijając się z tego, jak to zostali ściganymi.

Kiedy reportaż się skończył, Eli pożyczył komórkę od Franny, żeby zadzwonić do babci w Omaha i rodziców w Chicago.

- Nic mi nie jest - mówił ze śmiechem. - To jedna wielka pomyłka. Odkręcę to wszystko. Nie martwcie się. Mam się dobrze. Pozdróćcie siostrę. Ja też was kocham.

- Szybko się zwinęłaś - powiedziała Franny, kiedy oddał jej telefon.

- Żeby nie namierzeli rozmowy. Prawdopodobnie w tym momencie grzebią w twoim billingu. Sprawdzają wszystkie rozmowy, jakie prowadziłaś w ciągu ostatniego miesiąca.

- Myślę, że powinniśmy jechać do hrabstwa Lake w Ohio - oznajmiła Arden.

Eli spojrzał na nią zaskoczony.

- Tam, gdzie mieszkałaś?

- Jesteśmy splukani - wyjaśniła. Eli i Franny na pewno wiedzieli, co się stało w Ohio. Przez krótką chwilę była to ogólnokrajowa sensacja, dopóki nie zastąpiło jej jakieś inne morderstwo czy rzeź. - Nie mamy dokąd jechać - ciągnęła. - Tylko na parę dni. Żebyśmy zdążyli się pozbierać.

Myślała o tym od jakiegoś czasu. Czy powrót wstrząśnie jej pamięcią pomoże wypełnić puste miejsca? Czy pozwoli przypomnieć sobie jakąś wskazówkę, która pomoże jej rozwiązać sprawę zabójstwa rodziców? Czy ich śmierć w jakikolwiek sposób była związana z programem OZ? No i Daniel tam był...

Franny zadrżała i objęła się ramionami.

- Jak możesz myśleć o powrocie w tamto miejsce?

- Bo nikt się tego nie będzie spodziewał - odparła Arden. - Przynajmniej nie od razu. Harris próbuje zrzucić na nas winę za śmierć Very i Noaha. Oskarża nas o porwanie. Może próbuje ukryć, że badania wymknęły się spod kontroli? Jeśli tak, Harley może być naszym najlepszym świadkiem. Ale musimy zyskać trochę czasu, dać Harleyowi nieco spokoju.

Na dźwięk swojego imienia Harley ożywił się i nagle zainteresował sytuacją. - Porwaliście mnie? - spytał.

Rozdział 23

O wpół do piątej nad ranem Arden siedziała za kółkiem samochodu Ele-go. Pozostali pasażerowie spali, ukołysani szumem opon i głosem nocnego radia. Prognozy pogody donosiły o dalekiej śnieżycy, nadchodzącej z Kanady. Przeplatane były długimi gadkami gościa o głębokim, miękkim, hipnotycznym głosie, który sprawiał wrażenie, że mówi wyłącznie do ciebie. Jakby siedział w twoim salonie, przy kominku, z twoją rodziną przykrytą wygodnie kołderkami.

Powrót do domu...

Wydawał się logicznym rozwiązaniem. A właściwie jedynym rozwiązaniem.

A jednak Arden nie mogła się pozbyć wrażenia, że to przeznaczenie tak chce. Czowała, że zmierzała do tego punktu, do tego miejsca, od wielu, wielu miesięcy. Od śmierci rodziców. Nawet kiedy mieszała drinki w Nowym Meksyku, podświadomie wiedziała, że tak się to skończy.

Powrotem do korzeni, do przeszłości, do hrabstwa Lake w Ohio.

Pytania pozostające bez odpowiedzi i dom zawsze przyzywały człowieka z powrotem.

Już od dawna serce łomotało jak szalone w jej piersi. Była pewna, że gdyby rozpięła bluzę, zobaczyłaby jego pulsujący zarys.

Od pół godziny nie widziała żadnego samochodu.

Kiedy była młoda, nigdy nie zauważała, jak klaustrofobiczny jest tutaj krajobraz. Wzgórza i drzewa zdają się zamykać nad człowiekiem, spychać go w dół, zakrywają większą część nieba.

Kiedy była mała, wydawały się schronieniem, osłoną. Teraz, gdy jechała autostradą, mijając znajome znaki, czarne cienie poza krawędzią drogi wydawały jej sięgroźne. Zupełniejakby coś przed nią ukrywały. Gdzieś na skraju pola widzenia przybierały znajome kształty.

Ludzi. Twarzy. Rąk. Dłoni. Palców.

Nagle po lewej pojawiła się farma McRainów. Po prawej Carsonów. Biały krzyż z plastikowymi kwiatami w miejscu, gdzie trójka dzieci przeniosła się na tamten świat.

Naprowadziło to jej myśli na kościół i wakacyjną szkołkę niedzielną. Widziała siebie, jak siedzi w kościelnej ławce, z włosami mokrymi po porannej kąpieli, i śpiewa hymny.

Czy życie było tylko jednym, gigantycznym praniem mózgu? Od kołyski aż po grób? Jedna, gigantyczna sztuczka magika, polegająca na iluzji i złudzie?

Z rzeczywistością, która co chwilę się zmienia, zależnie od światła, nastroju i tego, co człowiek

zjadł na śniadanie? Czy czarne kształty na poboczu drogi były złowrogimi bytami, wychodzącymi na świat tylko w nocy? Czy kiedy wszędzie słońce, przekształca się, zmienia, staną się niegroźne i do przyjęcia?
Czy każda istota ludzka może stać się potworem?
Przestań myśleć. Po prostu przestań myśleć.
Uczucie rozpacz, które wypełniało jej pierś, stało się niemal zbyt wielkie, by pomieścić się w jej ciele.
Chciała kogoś obudzić.
Kogo? Elego? I co mu powie?
Franny? Franny potrzebowała snu.
Harleya? Rzeczywistość Harleya była w tej chwili tak zniekształcona, że prawdopodobnie zdawało mu się, że są na wycieczce.
Noc była smutna.
Tuż po północy nie było tak źle, bo to był jeszcze stary dzień. O pierwszej, a nawet o drugiej też nie było źle, bo bary były jeszcze otwarte. Ludzie siedzieli poza domem, udając radość życia. Ale około czwartej nad ranem... To straszna pora. Cały świat się zamykał, a ludzie wchodzili w pełne zawirowań, burzliwe królestwo snu. Wtedy dusza zdawała się tonąć, a rozpacz stawała się dotykalna...
Nic dziwnego, że dzieci tak boją się spać, boją się snów. Bo sny potrafiły być czymś o wiele bardziej namacalnym, bardziej jaskrawym niż prawdziwe życie. Jak to wyjaśnić dziecku? Jak wyjaśnić, że świat, który się właśnie opuściło, świat, który dało się posmakować, dotknąć, pełen uczuć o wiele potężniejszych niż jakiegokolwiek doświadczane na jawie... jak wyjaśnić małemu dziecku, że ten świat nie jest prawdziwy? Że prawdziwe jest życie, świat wygładzonych kantów i kontrolowanych emocji? Jak ktoś mógł zaakceptować tego rodzaju logikę?
Wracaj do łóżka. To tylko sen.
Jasne. Włóż to do szufladki razem ze wszystkim, co mówią ci rodzice, spodziewając się, że w to uwierzysz. Włóż do szufladki razem z dobrą wróżką, świętym Mikołajem i wielkanocnym zajączkiem.
Wracaj do łóżka. To tylko sen.
Światła. Daleko przed nią, na szczycie wzgórza. Zniknęły, kiedy pojazd zanurkował w dolinę, potem pojawiły się znowu.
Z początku światło dodało Arden otuchy. Ktoś jeszcze nie spał. Ktoś jeszcze był żywy.

Ale po chwili, gdy samochód zbliżył się, a światła nie zostały przełączone na krótkie, pocieszający widok zmienił się w groźbę, w obcego za kierownicą. Może był pijany. Może był wariatem. Nigdy nic nie wiadomo, kto czyha na ciebie w ciemności.
Błysnęła światłami. Żadnej reakcji.
Próbowała skupić wzrok na poboczu, ale spojrzenie wciąż wracało do samochodu, do oślepiających snopów światła, pędzących w jej kierunku.
I nagle przemknął obok, błyskawicznie zmieniając się w dwa czerwone punkty we wstecznym lusterku.
Dupek w środku nocy.
Najciemniej jest przed świtem.
Zawsze brała to powiedzenie dosłownie. Teraz zrozumiała, co oznacza: że smutek, rozpacz i samotność są najbardziej dotkliwe podczas tych ostatnich kilku minut przed wschodem słońca. Może nieustanna ciemność byłaby lepsza. Człowiek nigdy nie musiałby radzić sobie z tym znakiem upływu czasu, znakiem śmierci nocy.
I nagle była już na miejscu, przy jednoizbowej szkole. Tu trzeba skrócić na południe, na bitą drogę.
Bitymi drogami nazywano tu wiejskie drogi nieutwardzone żwirem ani asfaltem. Bite drogi

rozłaziły się na wiosnę. Jeśli ziemia zamarzała szczególnie głęboko, robiły się w nich grząskie dziury, które potrafiły połknąć traktor.

Arden wyobrażała sobie świat pod czarną powierzchnią. Wszystko wklęsłe jak muszla, ze śladami prowadzącymi od budynku do budynku.

Może *ten* pomysł ukrytego świata nie był aż taki wariacki.

Prowadziła małe kombi niecałe sześćdziesiąt na godzinę. Nigdy nie wiadomo, czy za następnym wzniesieniem nie trafi się na jelenia stojącego pośrodku drogi albo nie minie zakrętu i nie stwierdzi, że czyjaś krowa wydostała się w nocy na wolność.

Bydło widzi w ciemnościach. Mnóstwo ludzi o tym nie wie.

Kiedy była mała, jeździła z tatą na pastwisko, na ostatnią, wieczorną kontrolę cielnych krów.

Dopiero potem ojciec wracał do domu, by złapać parę godzin snu przed kolejnym objazdem.

Z początku nie widziało się nic, bo krowy były czarne. Potem, znienacka, reflektory trafiały prosto w ich źrenice i wydawało się, że zwierzęta nie mają oczu, tylko puste dziury połykające światło.

- Dlaczego ich oczy tak wyglądają, tatusiu? - zapytała kiedyś.

- Żeby mogły widzieć w nocy.

- To one nas widzą, a my ich nie? - pytała dalej.

- Tak.

- Nie podoba mi się to. Śmiała się z jej strachu. Zwolniła i wyteżyła wzrok, próbując przeniknąć ciemność. Szukała zwirowanej dróżki prowadzącej do domu.

Coś poruszyło się przed nią. Zwolniła jeszcze bardziej. Opos, człapiący w poprzek drogi. Jeszcze jedno nocne stworzenie.

Pojawiła się zwirowa droga.

Arden skręciła. Samochód przechylił się na stromym stoku, potem wyrównał. Pasażerowie jęknęli i ułożyli wygodniej, ale nie obudzili się.

Droga była w złym stanie. Stał przy niej tylko jeden dom i nikt nie zapłacił za walcowanie i świeżą warstwę żwiru po roztopach i deszczach ostatniej wiosny. Gałęzie drzew i krzaki włożyły na nią z obu stron, zwężając już i tak bardzo wąską dróżkę. Z nawierzchni też sterczały rośliny, milin i trojęść, uschnięta na zimę, ale wciąż paskudna. Po lewej Arden zauważyła kępę ostów, które zdążyły wydać nasiona. Nieprzyjemnie ścisnęło ją w dołku.

Oset potrafi błyskawicznie pochłonąć całe pastwisko, nie zostawiając bydłu nic do jedzenia. Jej tato walczył z nim przez całe życie, atakując szpadlem każdą pojedynczą roślinę. Oczywiście nie na wiele się to zdawało, jeśli sąsiad siedział na ganku, brzdąkając na gitarze i pozwalając, żeby cholerny oset opanował całą okolicę, a jego bydło, wychudłe i spragnione, sterczało w zagrodach bez skrawka cienia.

Ludzie są głupi. Zaslugują na śmierć.

To nie jej głos. To głos kogoś innego. Alberta Frencha.

W sezonie cielenia kupa martwych zwierząt u sąsiada potrafiła sięgać trzech metrów. Tato kilka razy nasyłał na niego Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, ale nigdy go o nic nie oskarżono.

Facet zatrąwał strumienie i zabijał ryby ściekami ze swojej świniami, ale zawsze dostawał najwyżej ostrzeżenia.

Ludzie na wsi stanowili rodzaj bractwa i sąsiedzi przeważnie patrzyli przez palce na przypadki maltretowania i zaniedbywania zwierząt. I kto by się przejmował pestycydami? Jedną z najlepiej strzeżonych narodowych tajemnic był fakt, że cały Środkowy Zachód stanowił wielkie składowisko toksycznych odpadów.

Facet w radiu wciąż gadał - tym razem o księżycu, przyływach, i o tym, że ludzie w sześćdziesięciu procentach składają się z wody. Że w mózgu jest jej aż siedemdziesiąt procent, a w płucach dziewięćdziesiąt.

- Zastanawialiście się kiedyś nad tym? - zapytał uwodzicielsko. - Jaki wpływ ma księżyc na

wasze ciało? Bo musi mieć ogromny. Pomyślcie o ciele kobiety.

Pomyślcie o jej cyklu miesięcznym. To księżyc. To on, tam, w górze, rządzi wami tutaj, na dole. Wierzyła mu, bo miał głos, który sprawiał, że wierzyło się w jego słowa.

Głos Alberta Frencha też kazał wierzyć.

Dostrzegła zardzewiałą, drucianą siatkę, wyznaczającą granicę farmy.

Skrzynka pocztowa wciąż była na miejscu, z nazwiskiem DAVIS wypisanym topornymi czarnymi literami. Widziała nawet wyblakłe, odwrócone S, które namalował jej brat, kiedy miał sześć czy siedem lat.

Skręciła, wprowadzając samochód między słupkami pokrytymi bezlistnym pnączem. Trujący bluszcz, który dusił wszystko i potrafił wyrosnąć do rozmiarów drzewa. Można go było opryskiwać i rąbać, i myśleć, że ma się go z głowy, ale on nigdy nie ginął. Korzenie chowały się głęboko w ziemi, rozłożyły się na trzydzieści metrów, tuż pod twoimi stopami.

Piętrowy dom wyłonił się z ciemności w podwójnej plamie światła samochodu. Jak wszystko tutaj, zdawał się wyrastać z ziemi, ze swoim wałącym się, karykaturalnie przekrzywionym kominem, jak roślina w pełni kwitnienia.

Na podwórku rósł potężny dąb z huśtawką z opony, która wypełniała się wodą w czasie deszczu. Czasami w chłodnej ciemności opony lubiły się zwijać węże.

O iluzjo sielanki.

Wszyscy się na to nabrali. Uwierzyli, że farma może być wyjątkowym miejscem, oazą odizolowaną od reszty świata, gdzie złe rzeczy się nie zdarzają.

Ale ona sprowadziła zło ze sobą.

Kto to powiedział? Kto jej to wypomniał?

Kto rzucił na nią winę za wszystko, co się tu stało, choć ona sama i tak się obwiniała?

Jej brat. Daniel.

Daniel, który namalował odwrócone S.

Dom gapił się na nią czarnymi, pustymi oczami.

Skup się. Po prostu myśl o tym, co jest teraz i co masz do zrobienia. Nie myśl o tamtych innych sprawach.

Dróżka prowadziła prosto do garażu albo na lewo, w dół stromego stoku, do częściowo kamiennej, częściowo drewnianej stodoły, wbudowanej w zbocze pagórka.

Arden zjechała na dół i zatrzymała się, kiedy światła padły na drewniane wrota, podwieszane na kółkach osadzonych w szynie.

Wysiadła z samochodu, podeszła do wrót i złapała metalowy uchwyt. Jej pamięć motoryczna obudziła się; Arden przechyliła się mocno do tyłu

i pociągnęła. Kółka zaskrzypiały i w końcu gigantyczne wierzeje zaczęły się toczyć po szynie. Spodziewała się, że zobaczy maszyny rolnicze, ale wewnątrz było puste; tylko na tylnej ścianie wisiały narzędzia i zwinięte węże ogrodnicze.

Wróciła do samochodu i ruszyła. Pasażerowie już się budzili.

- Dojechalіśmy? - wymamrotał sennie Eli.

Arden cieszyła się, że już nie śpią, że jest z nią Eli ze swoją komiczną umiejętnością rozluźniania atmosfery, której tak rozpaczliwie potrzebowała. Jeszcze jedna minuta sam na sam z własnymi myślami, a jej umysł mógł wpaść z zakrętu i do reszty stoczyć się w otchłań.

Rozdział 24

Rodzice Arden i większość ich znajomych rzadko zamykali drzwi na klucz, przy tych nielicznych

okazjach, kiedy jechali na pogrzeb albo na mszę w niedzielę. Brało się to z przekonania, że nikt z okolicy nic by nie ukradł, ale w niedzielę mogli się zjawić obcy, wiedząc, że dobrzy ludzie są w kościele.

Teraz drzwi były zamknięte.

Nie było już dobrych ludzi.

Arden weszła do garażu, stanęła na palcach i powiodła palcami wzdłuż wąskiego występu na prawo od drzwi - aż natknęła się na małe, metalowe pudełko. Zdjęła je, odsunęła wieczko i wyjęła klucz, schowany tu przez ojca na wszelki wypadek. Nigdy nie mógłby przewidzieć takiego „wszelkiego wypadku”.

Garaż był pusty, samochodu rodziców nie było. Prawdopodobnie używał go Daniel. A może go sprzedał. Zostawiła mu na głowie zbyt wiele spraw.

Podsłoczyła, kiedy drzwi za jej plecami otworzyły się.

- Znalazłaś? - spytał Eli. Co znalazłam?

Ach, klucz. Klucz w jej dłoni. Jak długo tu stała?

- Dokładnie tam, gdzie się spodziewałam.

Słońce wstawało. Zbyt jaskrawe na niebie, usadowione między garażem a domem, za pastwiskiem i polem zaoranym na zimę.

Jej tato nigdy nie orał jesienią. Daniel też by tego nie zrobił. Widocznie ktoś inny dzierżawił ziemię uprawną.

Poczuła nagły przypływ gniewu. Kto śmiał orać jesienią ziemię jej ojca po tylu latach troski, które jej poświęcił?

To nie ważne. Już nie. Nie patrz na to. Nie myśl o tym. Wejź do środka.

Przeszli obok rzeźni. Był to budynek, którego unikała od dnia, kiedy młody robotnik pokazał jej elektryczny ogłuszacz. Wyjął go z szuflady w stole rzeźnickim.

- Przykładasz go do skroni zwierzęcia - powiedział chłopak, trzymając ciężkie urządzenie na dłoni. - I pociągasz za spust.

- Czy to wstrzeliwuje kulę? - zapytała Arden.

- Nie kulę. Piorun przechodzi przez czaszkę wołu, a potem wskakuje z powrotem. Można go używać wiele razy.

Przez długi czas miała złe sny.

Nie była pewna, czy znalazła właściwy klucz, ale to był ten. Pamiętała, że użyła go tylko raz, pewnego popołudnia, kiedy wróciła ze szkoły i dom był zamknięty. Nie z powodu pogrzebu. Ktoś w Derbyshire, pobliskim miasteczku, został zamordowany i obrabowany, i zabójca wciąż był na wolności.

Mama Arden uważała, że musiał to być ktoś z daleka, ale okazało się, że to siostrzeniec ofiary, który akurat był na głodzie.

Ciężkie drzwi kuchenne otworzyły się.

Arden zatrzymała się, by przyjrzeć się podłodze.

Cienka warstewka kurzu.

Poszła dalej, przeprowadzając szybką inspekcję domu. Wchodziła do pokoi jakby wiedzona automatycznym pilotem, nie pozwalając sobie nawet na cień emocji, które mogły obudzić znajome widoki.

Najwyraźniej nikt tu nie mieszkał. A już na pewno nie jej brat. I nikt nie miał się zjawić, przynajmniej w najbliższym czasie.

Prądu nie wyłączono - prawdopodobnie ze względu na oświetlenie podwórka i elektryczne poidła dla krów.

- Nie zapalajcie świateł - powiedziała. - Ktoś może zobaczyć. Gazowy piec ogrzewania działał, ustawiony na dziesięć stopni, żeby rury nie zamarzły.

Półki spiżarni w piwnicy wciąż były pełne przetworów. Po mamie. Widok słoików sprawiał ból.

Wielu farmerów żywiło nieuzasadnione przekonanie, że kiedy rząd Stanów Zjednoczonych upadnie i infrastruktura kraju się zawali, ludzie zaczną uciekać z wielkich miast jak lemingi. A dokąd pójda? Oczywiście na

Środkowy Zachód. Zaleją farmy, gdzie ludzie będą jeszcze mieli jedzenie, wciąż samowystarczalni i niezależni od ciężarówek wyładowanych żarciem z Kalifornii czy Teksasu. Arden usiłowała wytłumaczyć mamie, że nikt nie przyjdzie i że nikt nawet o nich nie wie. Ale mama i tak wekowała owoce i warzywa, przygotowując się na koniec świata -jedyny, jaki sobie wyobrażała. Przynajmniej jej rodzina będzie miała co jeść. A kiedy przyjdą ludzie z miasta, stanie w progu ze strzelbą, jeśli będzie musiała.

- Nakarmiłabyś ich - mówiła Arden ze śmiechem. - Gdyby pod twoje drzwi przyszli głodni ludzie, nakarmiłabyś ich.

Mama śmiała się, przyznawała jej rację i wekowała dalej.

Koniec świata nadszedł. Mama nie żyła, a Arden i jej przyjaciele byli lemingami.

Wynieśli całe naręcza jedzenia na górę, po wypaczonych drewnianych schodach, i położyli wszystko na blacie w kuchni. Wygłodzeni otwierali zaweko-wane jabłka i brzoskwinie i jedli je widelcami prosto ze słoików.

- Jak ci na imię?

Arden uniosła głowę i zobaczyła, że Harley, z widelcem w garści i jabłkowym syropem kapiącym po brodzie, wpatruje się uważnie we Franny. Już drugi raz zadał to pytanie.

- Franny.

Pewnie by się przeraziła, a przynajmniej zaniepokoiła, gdyby nie była tak zmęczona. Kiwnął głową.

- A, tak. Faktycznie.

Cierpiał na zaniki pamięci krótkoterminowej. Był skołowany. Arden była skołowana. Wszyscy byli skołowani.

I potrzebowali snu.

Pokój w motelu opuścili w środku nocy; nikt oprócz Harleya nie przespał ani minuty. Potem drzemali w samochodzie, ale to nie był prawdziwy sen. Teraz stali ogłupiali, gapiąc się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, zbyt zmęczeni by rozumieć, że muszą iść spać.

W domu były cztery sypialnie. Trzy na górze, jedna na dole. Naprawy i malowanie ścian były przeprowadzane na bieżąco, ale od wielu lat niczego tu nie zmieniano. Na farmie wewnątrz domu nie było tak ważne jak to, co jest poza domem. Nie marnowało się pieniędzy na miejsce do spania i jedzenia.

- Dla mnie może być - powiedział Eli, zaglądając do sypialni na parterze. Pokoju gościnnego, czy zapasowego, jak nazywała go matka Arden.

Arden nie przypominała sobie, by ktoś kiedykolwiek z niego korzystał, co oznaczało, że był to najbardziej anonimowy pokój w całym domu.

- Ja też się tu prześpię. - Franny rzuciła plecak na łóżko. - Nie chcę być sama.

Arden i Harley poszli na górę.

Harley padł w poprzek na podwójne łóżko w sypialni brata Arden. Pokój wciąż był wyklejony starą tapetą, kremowe tło z powtarzającym się wzorem kowbojskich butów.

Pamiętała, jak siadywała tu na podłodze i bawiła się małymi, plastikowymi figurkami kowbojów i Indian, które kiedyś należały do jej ojca. Na podłodze leżała wtedy wykładzina, jakieś brązowe, praktyczne paskudztwo.

Wyjęła z szafy koce i przykryła Harleya. Już spał.

Wyszła z pokoju i ruszyła dalej korytarzem, budząc echo krokami. Dom zalatywał kurzem i pleśnią, stęchłym powietrzem i tym wiecznym, słodko-zgniłym odorkiem zdechłych myszy. Gryzonie uciekały z pól podczas zbiorów kukurydzy, szukając ciepła i schronienia, by zdychać w ścianach, zasmradzając dom na całe miesiące. Czasami odór był tak silny, że Arden łzawiły oczy i głowa pulsowała z bólu. Zawsze wyobrażała sobie, że kiedy idzie do szkoły, jej ubrania śmierdzą zdechłymi myszami. Koniec korytarza. Na lewo była biblioteka, pełna książek ojca, głównie literatury faktu. Historia i geografia, książki o miejscach, w których nigdy nie był, ale miał nadzieję kiedyś odwiedzić. W przeciwieństwie do większości farmerów rodzice Arden nigdy nie oczekiwali, że dzieci zostaną na gospodarstwie i będą kontynuować cudze marzenia. Oboje byli wykształceni. Mama była nauczycielką w podstawówce, ojciec, choć nie chodził do college'u, był samoukiem i potrafił obronić swoje zdanie w każdej dyskusji o polityce, historii czy naukach przyrodniczych. Wielu farmerów reprezentowało taki sposób myślenia. Jeśli się czegoś nie wiedziało, zdobywało się informację. Rozpracowywało się problem. Na prawo od biblioteki była sypialnia rodziców. Arden nie chciała tam wchodzić. Zmusiła się, by skręcić i zajrzeć do środka. Oprócz łóżka z nagimi sprężynami, na których brakowało materaca, wszystko wyglądało tak samo. Długa, niska toaletka po prawej. Pokryta kurzem kasetka na biżuterię mamy. W kącie stojak z krawatami taty. Miejsce, gdzie wypaczona podłoga skrzypiała pod stopami. Otwarte drzwi do garderoby.

Na ich wewnętrznej stronie wisiała szara wełniana spódnica z czerwonym wykończeniem, którą mama często zakładała do kościoła. Arden odwróciła się. Tu się to stało. Tu została zamordowana jej matka. Nie myśl o materacu, nie zastanawiaj się, dlaczego zniknął. Będzie na to mnóstwo czasu później. Nie pamiętała, jak znalazła matkę, ale знаła szczegóły. Nie chciała myśleć o tamtym dniu, nie chciała nawet próbować sobie przypomnieć. Nie teraz. Nie była jeszcze psychicznie przygotowana. Później to zrobi. W pokoju czuć było słabą woń perfum mamy, pomieszanych z wodą po goleniu taty. Tęskniła za nimi. Tak strasznie za nimi tęskniła.

Rozdział 25

Daniel Davis pędził drogą niebieskim dodge'em dakotą. Jechał za szybko i furgonetką strasznie rzucało. Miał nadzieję, że tłumik nie odpadnie. Zadzwoniła do niego Donna Glancy, jedna z jego wścibskich sąsiadek. Ale w końcu wszyscy na wsi byli wścibscy. To, co się działo na drodze, było 0 wiele ciekawsze niż to, co można było zobaczyć w telewizji. Tym razem Daniel cieszył się z jej telefonu. Ktoś w małym kombi skręcił w kierunku starego domu. Donna patrzyła i czekała, ale nie widziała, żeby samochód wracał. A była to jedyna droga wyjazdu. No, niezupełnie. Jeśli było sucho albo ścisnął mróz, można było przejechać przez pastwiska i dotrzeć do serpentyny, ale to była ciężka trasa. I tylko ktoś znający farmę umiałby odnaleźć wyjazd. Na przykład Arden.

To była jego pierwsza myśl, kiedy odebrał telefon i Donna powiedziała mu, co widziała. Spodziewał się, że siostra wróci dużo wcześniej - przynajmniej żeby uregulować sprawy majątkowe. Ale czas mijał, tygodnie zmieniały się w miesiące, pola obsiano i skoszono, i Daniel zaczął przypuszczać, że Arden nigdy nie wróci.

Skręcił w lewo z bitej drogi, zjechał ze wzgórza. Kiedy teren się wyrównał, skręcił w prawo, mijając skrzynkę z koślawymi literami, i pokonał kręty podjazd.

Przed domem nie stał żaden samochód.

Na zamrożonej ziemi, nie było widać śladów.

Daniel zjechał na drugą stronę stodoły, zatrzymał się i zaciągnął ręczny hamulec. Wyskoczył z wozu i uchylił wrota stodoły. W półmroku dostrzegł auto, małe, trzydrzwiowe kombi.

Cholera.

Wrócił do furgonetki, zgasił silnik, złapał strzelbę i ruszył do domu.

Wszedł tylnymi drzwiami, po cichu wślizgnął się do kuchni. Kiedy był już w środku, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

Nad zlewem tykał zegar. Piec ogrzewania centralnego działał. Błat był zawalony pustymi słoikami po wekach mamy. Nie były umyte i sterczały z nich widelce.

Od miesięcy nie wchodził do domu, a na górze nie był od dnia pogrzebu. Teraz na widok domu jego dzieciństwa ścisnął mu się żołądek, a serce zaczęło walić, przerażone wspomnieniem.

Tuż po morderstwie był jak odrętwiały i był w stanie tu wejść, chodzić po domu, rozmawiać z policją, ze śledczymi. Organizować pogrzeb.

Fo prostu to zrób.

Był na pierwszym roku miejscowego college'u. Po drugim roku zamierzał iść na uniwersytet i zrobić dyplom z weterynarii.

Miał kiedyś dwóch kolegów, którzy zginęli w wypadku samochodowym, i zawsze się zastanawiał, jak ich rodzice zdołali się uporać z tragedią. Jak mogli zaplanować pogrzeb i zaprosić ludzi do domu, siedzieć z nimi i gawędzić, jakby to był zwyczajny dzień czy jakieś pieprzone święto. Teraz wiedział, że z ciałem - i z umysłem - działa się jakaś chemiczna zmiana czy coś podobnego, co sprawiało, że wszystko stawało się łatwe.

Z wyjątkiem drobnego epizodu z Arden, kiedy spuścił ze smyczy ukryte emocje i obwinił ją o wszystko. A ona wiedziała, że miał rację. Widział to w jej twarzy.

Minęły tygodnie i odrętwienie zniknęło. Robiło się coraz gorzej, bo przyszedł ból.

Daniel mieszkał w domu przyjaciela rodziny i wiedział, że pora już wrócić na stare śmieci. Ale nie mógł tego zrobić. Nigdy więcej.

Mdlące przerażenie wzbierało w nim, ilekroć o tym pomyślał.

Był tylko dzieckiem. Gówniarzem! Nie powinien znać takich uczuć. Nie powinien mieć do czynienia z takim kanałem. Jego dawni прияciiele chodzili

do college'u, robili *rzeczy*, jakie robi się w college'u. Pili. Słuchali muzy. Poznawali dziewczyny. To nie w porządku.

Zeszłego lata próbował się bujać z kilkoma kolegami, ale wydawali mu się tacy młodzi, tacy niedojrzali i płytycy. Sam miał dopiero dwadzieścia dwa lata, ale czuł się, jakby przekroczył czterdziestkę. W wieku czterdziestu lat nie jest się staruchem, ale też nie dzieckiem, z całą pewnością.

W dalszym ciągu chciał się śmiać i robić głupoty. Umieć się bawić na imprezce z ogniskiem i piwem.

Ale nie mógł. Ten etap życia był już za nim. Minał start i trafił prosto na metę. Do piekła.

A za to wszystko była odpowiedzialna jedna osoba. Za śmierć rodziców i utratę młodości. Jeśli miał szczęście, znajdzie ją tutaj. Powinna umrzeć razem z nimi. Miała umrzeć razem z nimi.

Rozdział 26

Przeszedł przez kuchnię do jadalni. Kolbę strzelby przyciskał boleśnie do ramienia, lufa trzęsła się jak diabli. Wzdrygnął się, kiedy podłoga skrzypnęła pod jego butami.

Po lewej były kręcone schody na piętro.

Wyjrzał przez okno ganku od frontu, a potem ruszył do pokoju gościnnego.

Drzwi były otwarte. Odciągnął kurek dwudziestkidwójki i z obrotem wyskoczył zza futryny drzwi.

Dwoje śpiących ludzi. Kędzierzawy gość i dziewczyna z krótkimi, kruczoczarnymi włosami. Ścisnęła pod brodą jakiegoś małego pluszaka.

Jasna, gładka skóra. Białe usta ze złotym kółkiem w dolnej wardze. Zwykle strasznie mu się nie podobały te świństwa, ale to było cienkie i delikatne. W sumie ładne.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

Drgnął - i natychmiast zdał sobie sprawę, że celuje w jej głowę. Zmieszany opuścił lufę.

Czy mieli coś wspólnego z jego siostrą? A może byli tylko włóczęgami, którzy zawitali tu przejazdem, w poszukiwaniu pustego domu, gdzie mogliby coś zjeść i się przekimnąć?

Po cichu wycofał się z pokoju.

Poszedł na górę, trzymając się prawej strony, blisko ściany.

Kiedy był w szkole, nieraz zakradał się do domu nocą i wiedział, jak iść, żeby schody nie skrzypiały.

Dom śmierdział stęchlizną i pleśnią. Śmiercią. Martwymi gryzoniami.

Krótko po pogrzebie i wybieleniu Arden Daniel zamknął dom i odszedł. Im więcej czasu mijało, tym trudniej było wrócić. W końcu zdecydował, że chyba nie da rady tego zrobić. Że to bolałoby za bardzo.

Zbliżył się do pokoju Arden. Miał przeczucie, że jeżeli jest w domu, to właśnie tutaj.

Pusto.

Na wąskim, dosuniętym do ściany łóżku z małżeńskiego kompletu leżały koce. Na poduszce widniał odcisk czyjejs głowy.

Daniel poszedł dalej korytarzem, do pokoju, którego naprawdę nie chciał oglądać.

Lufa strzelby weszła pierwsza. Daniel za nią.

Ktoś siedział na małym taborecie przy toalecie matki z wielkim okrągłym lustrem.

Arden.

Spojrzała na niego, nie wyglądała na zaskoczoną. A już na pewno nie była zaskoczona faktem, że celował w nią ze strzelby.

Na dworze wstał już dzień, ale w pokoju było ciemno, bo zasłony i żaluzje zaciągnięto. Poza tym okno wychodziło na zachód i dopiero po południu zaglądało w nie słońce.

Łóżko było gołe, materac usunięto. Daniel pamiętał jak przez mgłę, że zabrali go śledczy, badający miejsce zbrodni. Ale na sprężynach wciąż widniała plama. Krew przesiąkła przez wszystkie warstwy i utworzyła kałużę pod łóżkiem.

Miał w głowie obraz krwi. Wyglądała jak czekoladowy budyń.

Na farmie człowiek widywał wiele poruszających rzeczy, związanych z życiem i śmiercią - i przyzwyczajał się do nich. Ale nic, co widział przedtem, nie przygotowało Daniela na dzień, w którym musiał spojrzeć na martwe ciała rodziców.

- Używała ich cały czas - powiedziała Arden. Czego używała? O czym ona mówi?

I wtedy zauważył, że jego siostra trzyma w dłoni buteleczkę perfum.

- Kupowaliśmy jej inne zapachy. Na dzień matki i na urodziny. Używała ich raz czy dwa, tylko po to, żeby nam sprawić przyjemność. A potem zawsze

wracała do tych fiołkowych perfum. - Uniosła buteleczkę. Zakrętka była zdjęta. - Chcesz powąchać?

Była obłąkana.

Przez cały czas miał jej za złe, że nie była przy nim, nie postąpiła jak starsza siostra i nie opiekowała się małym braciszkiem. Ale to ona potrzebowała pomocy.

- Leżałam w łóżku i przypomniały mi się jej perfumy.

Miała ciemne sińce pod oczami. Proste, rude włosy, z przedziałkiem pośrodku, wisiały w strąkach. Twarz była chuda. Naprawdę chuda.

- Wąchałam jej perfumy. - Zastanawiała się przez chwilę. - I nagle przypomniałam sobie, że jak miałam pięć lat, trzymałam ją za spódnicę i próbowałam się schować, kiedy przedstawiała mnie jakimś ludziom. A potem jechałyśmy samochodem, z otwartymi oknami, wiatr roznosił ten kwiatowy zapach po wszystkich zakamarkach. Jechałyśmy na przyjęcie. Jakaś babska impreza, tylko matki z córkami.

Daniel wciąż trzymał broń. I wciąż się trząsał. Wkurzały go te wspominki.

- Ale nie pamiętam wszystkiego... Nie pamiętam, dokąd jechałyśmy.

- Może powinnaś je wypić. - Dziecinny tekst, wypowiedziany dziecinnym tonem. Jak łatwo wejść w dawne role. - Może to by cię odbieliło i przypomniałabyś sobie.

Zmrużyła oczy. Przyciągnął jej uwagę.

- Perfumy. - Machnął lufą w kierunku buteleczki. - Może powinnaś je wypić.

Wszyscy byli chorzy. Wszyscy byli popieprzeni.

Uniosła buteleczkę. Przyjrzała się przez szkło bladolawendowej zawartości.

- Myślisz? - Uniosła butelkę do ust.

Co ona wyprawia? Co próbuje udowodnić?

Rzucił strzelbę na łóżko i wytrącił jej butelkę z dłoni. Roztrzaskała się o ścianę.

Powietrze natychmiast przesycał zapach ich zmarłej matki.

Daniel wydał z siebie szloch.

Nie pozwól jej widzieć, jak się załamujesz.

Emocje, które tak długo trzymał pod kontrolą, wylały się z niego jak rwąca rzeka. Wściekłość i żal. Ale przed wszystkim wściekłość.

-- A mnie pamiętasz? - krzyknął, bijąc się otwartą dłonią w pierś. - Pamiętasz o mnie? O swoim bracie? Tym, którego opuściłaś?

- Przykro mi, Danielu.

Wyglądało na to, że naprawdę jej przykro. W ogóle była smutna, chora i w kompletnym proszku. Daniel poczuł, że mięknie, ale zwalczył to. Sprowadziła burzę na ich rodzinę, na ich życie. A potem uciekła.

- Jesteś tchórzem - powiedział ochryple. Wargi mu drżały. - Słabeuszem i tchórzem.

Przechyliła głowę i jej twarz przybrała jeszcze bardziej żalony wyraz.

- Wiem.

Chciał, żeby się broniła, kłóciła z nim, próbowała usprawiedliwiać. Jak mógł walczyć z kimś, kto się nie broni?

Usłyszał za plecami szuranie stóp. Zanim zdążył się odwrócić, ktoś złapał go i wykręcił mu rękę za plecami. Czyjaś dłoń chwyciła go za gardło i zacisnęła się, odcinając dopływ powietrza.

W pokoju zrobiło się czarno i Arden zniknęła.

Ktoś krzyknął.

Potem rozległ się hałas przewracanych przedmiotów. Uderzenie z boku posłało go z impetem na ścianę.

Rozdział 27

Franny obudziła się nagle. Spadając na łeb, na szyję ze snu w rzeczywistość zachłysnęła się powietrzem. Jej mięśnie skurczyły się gwałtownie, wstrząsając łóżkiem. Czuła się, jakby spadła z nieba.

Gdzieś z góry dobiegły ją odgłosy szamotaniny. Szuranie butów po drewnianej podłodze. Brzęki i huki, i łomot czegoś uderzającego o ścianę tak mocno, że aż dom się zatrzęsł.

Eli wyskoczył z łóżka jak oparzony.

Może później o tym pomyśli. O tym, jak zabawnie wyglądał, z czerwonymi oczami, nieprzytomny, a jednak poruszający się z prędkością światła.

- Nie! - krzyknął ktoś nad ich głowami.

To głos kobiety.

Arden? To nie brzmiało jak głos Arden, która była zawsze dość opanowana.

W brudnych, białych skarpetkach Eli wybiegł z pokoju. Trzymał się szerokiej, drewnianej poręczy, przeskakując po trzy stopnie. Franny próbowała za nim nadążyć.

Kierując się krzykami, pobiegli do dużej, ciemnej sypialni.

Z początku trudno się było zorientować, co się dzieje. Widać było tylko płataninę ludzkich ciał, turlającą się po podłodze; jeden kłęb rąk, nóg i pleców.

Arden biła Harleya po twarzy, krzycząc głośno.

Zabij ją, powiedział męski głos w głowie Franny.

Franny zamrugła.

Zabij ją.

Wyobraziła sobie nóż, tnący w poprzek szyję. Gorącą krew, lejącą się na jej dłonie. I ten zapach... Metaliczny i gorzki. Czuła jego smak na języku.

Franny brała udział w pokojowych wiecach. Była aresztowana za przykucie się do frontowych drzwi uniwersyteckiego wydziału weterynarii w proteście przeciwko doświadczeniom, jakie prowadzono tam na szczurach.

Ale na tę jedną sekundę zmieniła się w coś innego. W kogoś innego. Przez tę jedną sekundę zapragnęła widoku krwi i uchodzącego życia.

Była tu już kiedyś. W tym pokoju. W tym domu.

Nagle jak przez mgłę przypomniała sobie, że widziała film o morderstwie Davisów. Ale co z tym głosem? Do kogo należał głos? Czy do mordercy, z którego historią zapoznał ją doktor Harris w komorze? Czy Noah słyszał ten sam głos? Czy ten człowiek dostał się do jego głowy?

Eli przyłączył się do bójki.

Czy pomagał? Franny nie widziała.

Szarpnął się do tyłu, pociągając za sobą Harleya. Gruchnęli na podłogę, krzesło poleciało na ścianę.

Pokój cuchnął perfumami. Czymś kwiatowym, czego używała jej babcia, a może ciotka.

W pokoju był jeszcze ktoś. Mężczyzna. Leżał na plecach na podłodze, a Arden pochylała się nad nim.

Harley i Eli pozbierali się. Eli trzymał dłoń na piersi Harleya, jakby spodziewał się ponownego ataku.

Franny była zaskoczona i zrobiło na niej spore wrażenie, że Eli był w stanie pokonać Harleya. W normalnych warunkach, gdyby Harley nie był osłabiony po pobycie w komorze, wynik walki byłby pewnie inny. O Boże, o Boże - powtarzała w kółko Arden.

Dziwnie było widzieć ją w stanie takiego poruszenia.

Nic nie wydawało się realne i przez chwilę Franny zastanawiała się, czy jeszcze śpi. Może spała bardzo, bardzo długo, od śmierci Noaha.

Mężczyzna na podłodze chwycił głośno oddech. I następny.

Nie wiedziała jego twarzy. Miał na sobie dzinsy - wyblakłe, brudne dzinsy i skórzane, robocze buciorzy.

- On j ej robił krzywdę - powiedział Harley monotonnym głosem, od którego ciarki przechodziły Franny po plecach. - Wrzeszczał na nią i chciał ją skrzywdzić. - Wskazał na łóżko. I miał broń. Na sprężynach łóżka leżała strzelba.

To było łóżko, na którym umarła matka Arden.

Franny pomyślała o Noahu.

Choć sama nie widziała nic, potrafiła sobie wyobrazić, jak Noah wypada z okna. Jak łagodnie, pięknie, z gracją leci na ziemię.

W jej wyobraźni zawsze wstawał, zrywał się i otrzępywał, z uśmiechem na twarzy.

Żartowałem!

Pamiętała, jak kpiała z niego z powodu jego rodziny. Myślała o tym, jak się kłócili.

Nic z tego nie miało znaczenia. A już na pewno nie gadki o jego rodzinie. W każdym razie nie powinno mieć nic wspólnego z ich związkiem.

Mężczyzna na podłodze usiadł, oddychając ciężko i trzymając się za gardło. Uniósł głowę ze zdezorientowaną miną.

Jest młody, pomyślała Franny, zaskoczona. Prawie chłopak.

Jego spojrzenie powędrowało od Arden do Harleya, Elego, Franny. Chwila wahania, zanim spojrział na strzelbę na łóżku.

Franny miała do niej najbliżej. Nagle zmobilizowana, skoczyła, złapała broń i obróciła lufę w kierunku chłopaka.

Arden wyciągnęła rękę.

- Franny...

Lufa obróciła się w stronę Arden. Arden zamarła.

- To jest naładowane - wychrypiał chłopak na podłodze.

- Koniec walki - powiedziała Franny spokojnie. - Nie chcę już żadnych bójek.

- Już nikt nie walczy - odparła Arden. - Już po wszystkim.

W ułamku sekundy układ sił w pokoju się zmienił. Franny była gwiazdą. Franny była szefem.

Od śmierci Noaha była niewidzialna. Nikt nie pytał o to, co myśli. Co chce zjeść. Gdzie chce się zatrzymać. Jakiej stacji radiowej chce słuchać. Po prostu: robimy to, robimy tamto.

- Nie jestem niewidzialna - powiedziała drżącym głosem.

Arden posłała jej przeproszające spojrzenie.

- Wiem. Chcieliśmy ci dać trochę czasu. Nie chcieliśmy cię jeszcze bardziej obciążać.

- Jest odbezpieczona - szepnął do Arden chłopak.

- Nikt nawet nie wymówił jego imienia. Przez ostatnie dwa dni nikt nie powiedział „brakuje mi Noaha”. - Z gardła Franny wyrwał się gwałtowny, drżący szloch. Pociągnęła nosem i wytarła go rękawem. - Nie obchodzi was to? Kompletnie was nie obchodzi? Co my tutaj robimy?

Powinniśmy być na jego pogrzebie, a nie tarzać się po podłodze w jakimś okropnym domu na końcu świata. Nie zrobiłam niczego złego. Nie wiem nawet, dlaczego tu jestem.

Kolbę strzelby oparła o ramię, lewa ręka podtrzymywała lufę. Prawa przesuwała się w stronę spustu.

Nie podobało jej się tu. Nie powinna tu być. To ohydne miejsce. Złe miejsce. I była to wina Arden.

- Namówiłaś nas na przyjazd, ale to nie jest nasza sprawa. To nas nie dotyczy.

- Przepraszam - powiedziała Arden.

Wyglądało na to, że mówi szczerze i wcale nie wydawała się przestraszona. Dlaczego się nie

bała? Przecież broń była wycelowana prosto w nią. Ten chłopak powiedział, że jest naładowana. Ona też to czuje. Tę rozpacz. Pustkę. Utratę samej siebie, tego, kim kiedyś była.

- Jesteśmy duchami - szepnęła Franny. Strzelba była niewiarygodnie ciężka. Mięśnie ramion zaczęły drgać. - Właśnie tym jesteśmy, prawda? - zapytała. - Duchami.

W oczach Arden zabłyśły łzy i Franny widziała, że ona rozumie, że się z tym zgadza, nawet jeśli nie chciała ostatecznie przytaknąć rozzłości, bolesnemu stwierdzeniu.

Wydawało jej się nagle, że odległość między nią a pokojem zaczęła rosnąć, krawędzie przedmiotów zamazały się.

Poczuła, że ktoś wyjmuje jej strzelbę z rąk.

Ten chłopak. Ten prawie-mężczyzna.

Przez sekundę dostrzegła wyraźnie jego oczy. Brązowe, bardzo ciemne, szczerze. To nie były oczy chłopca. To absolutnie nie były oczy chłopca.

Ręce opadły jej jak łożone ciężarki. I nagle Arden stała przy niej, obejmując ją, głaszcząc po plecach.

- Nie jesteśmy duchami - szepnęła. - Po prostu odpoczywamy. Śpiemy.

Rozdział 28

To jest mój brat, Daniel. - Arden zastanawiała się, czy choć raz wymówiła głośno imię Daniela od tamtego dnia, kiedy zrzucił na nią odpowiedzialność za morderstwo, które zdarzyło się w tym pokoju. Tego bolesnego wspomnienia uczeni nie zdołali usunąć. Eli puścił Harleya. Daniel stał z boku, ze strzelbą wycelowaną w podłogę. Arden obejmowała ramieniem Franny, która przestała już płakać i teraz tylko chlipała i wycierała nos rękawem bluzy, naciągniętym na dłoń. Z zaczerwienionymi oczami spojrzała na Arden znad rękawa.

- Nic wam nie jest?

Tak naprawdę żadne z nich nie mogło powiedzieć o sobie, że nic mu nie jest, ale o tym wiedzieli wszyscy. To po co o tym mówić?

- Jesteśmy zmęczeni. Wszyscy jesteśmy zmęczeni - powiedziała Arden.

Daniel patrzył na nią. Był jej bratem. Powinna dobrze go znać, ale zawsze trudno jej było odgadnąć, o czym myśli. Potrafił przybrać absolutnie obojętny wyraz twarzy, a jednocześnie przez cały czas pozostawał uważny, czujny. Widać było, że umysł pracuje na pełnych obrotach, ale nikt nie wiedział, co mu chodzi po głowie, dopóki się nie odezwał.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

Wrogość w jego głosie sprawiła, że Harley spojrzał na niego ostro.

- Czego chcesz? - pytał dalej Daniel.

To nie było łatwe dla Arden. Jego nienawiść wywoływała ból. Kłujący, a jednocześnie tępy ból w piersi.

Oczami duszy zobaczyła komorę izolacji. Przez cały czas bała się jej jak ognia. Nagle zatęskniła za schronieniem i bezpieczeństwem. Za wybielaniem, bo tylko ono - oprócz śmierci - mogło uciszyć ból.

Franny miała rację. Są duchami.

Daniel zapytał, czego chce. Chciała, żeby wszystko było tak jak dawniej. Chciała cofnąć czas.

Chciała, żeby rodzice wciąż żyli.

Ale nie chciała, żeby brat jej nienawidził, i chciała przestać nienawidzić samą siebie.

Nic z tego nie było jednak możliwe.

- Potrzebowaliśmy miejsca, w którym moglibyśmy się zatrzymać - powiedziała. - Na krótko.

Obrzucił wzrokiem pozostałych, potem znów spojrzał na nią.

- Muszę z tobą pogadać na osobności. - Zrobił dwa kroki w kierunku drzwi i zawahał się. Teraz wreszcie można było coś wyczytać z jego twarzy. Błysnęło w niej niezdecydowanie. - W moim pokoju, chyba.

Poszedł dalej, Arden ruszyła za nim. Kiedy znaleźli się w jego dawnej sypialni, zatrzasnął drzwi i spojrzął siostrze w twarz.

- Nie chcę cię tutaj - powiedział.

Spodziewała się czegoś takiego, choć nie miał prawa tak mówić. Dom należał tak samo do niej, jak do niego.

- Najwyraźniej nie mieszkasz tutaj, więc w czym ci to przeszkadza?

- W czym mi przeszkadza?

Strzelba należała do ojca. Był to półautomatyczny karabinek. Arden strzelała z niej parę razy.

Daniel wyjął magazynek i wcisnął go do przedniej kieszeni džinsów. Potem usunął kulę z

komory i schował razem z magazynkiem. Oparł karabinek o ścianę i odwrócił się do siostry.

- Myślisz, że nie oglądam wiadomości? - zapytał. - Szukają cię. - Kiwnął w stronę zamkniętych drzwi. - I ich też.

- Nie zrobiliśmy niczego złego.

- To czemu uciekacie?

- Potrzebujemy trochę czasu. - Nie miała zamiaru powiedzieć mu całej prawdy, nie była nawet pewna, jak wygląda cała prawda. - Chcą nas przesłuchać. To wszystko.

- Nazywają was „osobami mogącymi mieć związek ze sprawą”. To tak jak stawianie słowa „domniemany” przed słowem „zabójca”, choć wiadomo, że facet odstrzelił komuś łeb.

- Dwa dni - powiedziała Arden. - Potrzeba mi tylko tyle. Parsknął z niedowierzaniem i oparł ręce na biodrach.

- A potem co? Znów zwiejecie? - Gruba kurtka Carharta, którą miał na sobie, z brązowego płótna, sięgała mu do połowy ud. - A nie zatrzymałaś się przypadkiem po to, żeby pomyśleć, że przez to uciekanie wszystko spieprzyłaś?

- Wiem o tym.

Mogła się tłumaczyć. Mogła powiedzieć, że wybielanie wymazało więcej, niż chciała, że nie jest w stanie znieść jego nienawiści. Ale nie powiedziała tego, bo w gruncie rzeczy wiedziała, że miał rację. Powinna zostać.

Szczękę miał ciemną od zarostu. Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała go z zarostem. Czuła się dziwnie, jakby wcale nie był jej bratem, ale jakimś oszustem. Kimś, kogo nauczono zachowywać się i mówić jak Daniel, ale kto nie do końca nauczył się roli.

- Oglądałem egzekucję - powiedział cicho. - Musiałem. Czekałem na to długo.

Przełknęła ślinę.

- Nie mogę powiedzieć, że sprawiło mi to frajdę, ale... poczułem ulgę, wiesz?

Powiedz mu. Musisz mu powiedzieć.

Odwrócił się gwałtownie i przejechał palcem po grubej warstwie kurzu na parapecie. Wytarł kurz o džinsy.

- Tamtego dnia za dużo powiedziałem.

- To była prawda. Powiedz mu.

Jak zareaguje, kiedy się dowie, że człowiek, który zabił ich rodziców, prawdopodobnie wciąż grasuje na wolności? Znienawidzi ją od nowa?

- Przecież to nie ty ich zabiłaś - powiedział. - Nie zginęli z twojej ręki. Zmarszczyła brwi. W jej myślach pojawił się obraz ostrza noża, tnącego

skórę. Ciało się otwiera. Warstwa tłuszczu, mięśnie, kość. Pomyślała o Noahu i o tym, co zrobił.

Pomyślała o biednej Verze Thompson.

Ludzie-cienie nadchodzą.

To, czego boisz się najbardziej, w końcu cię dopadnie.

Daniel odwrócił się z powrotem, ze spuszczoną głową, nie patrząc jej w oczy.

- Muszę jechać do pracy. - Złapał strzelbę.
- Pracujesz? - Nie chodził do college'u? - Gdzie?
- W elewatorze zbożowym w mieście. W Grove. W elewatorze?
- Dlaczego?
- Powiedzmy, że ja też potrzebowałem trochę czasu.

Jeśli człowiek nie wyrwał się z hrabstwa Lake natychmiast, zostawał już na zawsze. Absolwenci średniej szkoły zawsze mówili, że posiedzą sobie tutaj jeszcze rok. Pójdą do pracy. Zarobią trochę pieniędzy. Zaoszczędzą na czesne. Ale nigdy nie wyjeżdżali. Bo po jakimś czasie wszystko zaczynało się wydawać... cóż, jeśli nawet nie w porządku, to w każdym razie łatwe. Człowiek się rozleniwiał i zaczynał myśleć: to nie jest takie złe. Co w tym złego? I nie było złe. Na razie jeszcze nie.

Ale kiedy człowiek robił się starszy, kiedy oglądał się za siebie i próbował zastanowić, co zrobił ze swoim życiem... wtedy to do niego docierało i nagle stawało się ważne. Właśnie wtedy, gdy był już zbyt uwikłany, zbyt chory albo zbyt stary, by cokolwiek z tym zrobić.

Arden od dawna niczego nie pragnęła, ale nagle zapragnęła, by Daniel miał coś więcej niż to, co mógł osiągnąć tutaj. Była o osiem lat starsza. Powinna się nim zająć, zaopiekować. Gdzie indziej nie było lepiej, ale powinien przynajmniej zobaczyć, jakie może być życie poza hrabstwem Lake. Przez jakiś czas. A potem, jeśli będzie chciał wrócić, to wróci. Wtedy będzie wiedział, czy to ma sens, czy nie.

- Powinieneś przyłożyć łód do szyi - powiedziała. Skóra zaczynała się już robić czarnosina. Arden widziała też ślady palców. Całe szczęście, że Harley był jeszcze osłabiony po swoich przejściach na Wzgórzu.

Daniel ją zignorował, tak jak ignorował matkę, kiedy kazała mu o sobie dbać.

- Wrócę po pracy. - Przepchnął się obok niej i szarpnięciem otworzył drzwi. Zaczynały się na górze, jak zawsze, i zgrzytały przy otwieraniu. - Wpadnę do QuickMarta i zrobię jakieś zakupy. Arden postanowiła, że powie Danielowi o Albercie Frenchu po jego powrocie.

Kroki brata zadudniły w korytarzu, na schodach i na podłodze salonu, po czym ucichły na linoleum w kuchni.

Trzasnęły drzwi.

Podeszła do okna i zobaczyła, jak Daniel biegnie przez podwórko, mija huśtawkę i zbiega w dół zbocza, do stodoły. Pędził, jakby ścigał go sam diabeł.

Okrążając narożnik stodoły, Daniel poślizgnął się na sypkim żwirze. Wychylił ciało do przodu, by odzyskać równowagę. Teraz, kiedy nie widział już domu, przestał biec.

Dotarł do furgonetki, stanął przy drzwiczkach od strony kierowcy i zahaczył palce o klamkę, ale nie otworzył ich. Oparł się o samochód i przycisnął czoło do zgiętego ramienia.

Kiedy Arden miała dwanaście lat, wydrapała swoje imię w mchu rosnącym na cementowym murze, otaczającym stodołę od południa. Ogromne litery miały ponad metr wysokości, wciąż tam były.

Zapytał ją, dlaczego to zrobiła, a ona uśmiechnęła się i odparła: żeby farma o mnie nie zapomniała.

- Przecież nigdzie nie wyjeżdżasz? - zaniepokoił się.
- Kiedyś wyjadę. I ty też.
- Nie, ja nie wyjadę.

Był za mały, by rozumieć, że dla jego pokolenia pozostanie w domu było po prostu trzymaniem się na siłę przeszłości, przez wzgląd na pamięć dziad-

ków i rodziców. Gdyby wyjechał, odwrócił się od nich, w jakiś sposób odebrałby sens ich życiu -

i swojemu. W tej grze nie było wygranych.
Zawsze czuł, że musi zostać i że nie ma wyboru. A teraz ich nie było.
Głośny, ochryply szloch wyrwał mu się z gardła. Przelknął ślinę i wyprostował się, ocierając nos i policzki rękawem kurtki.
Otworzył drzwiczki, wsunął strzelbę za siedzenie. Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk, uruchamiając silnik.
Powiedział, że wróci, ale nie był pewien, czy zdoła to zrobić

Rozdział 29

Harley osunął się do wanny z wysoko podciągniętymi kolanami. Usłyszał chłopot wody, poczuł, jak wdziera się do jego uszu.
Głębiej.
Musiał zanurzyć się głębiej.
Wstrzymał oddech, kiedy woda przykryła mu twarz.
Szeroko otwartymi oczami widział prostokąt światła - okno łazienki, białe, marszczone zasłonki i okrągłą żarówkę nad umywalką. Umywalką pełną włosów, które obciął nożyczkami, a z twarzy usunął za pomocą brzytwy znalezionej w szafce.
Chciał zanurzyć całe ciało, ale wanna była za mała.
Pragnął wody, kochał wodę, w wodzie czuł się bezpiecznie.
Woda mówiła mu różne rzeczy, pamiętała wszystko, o czym on sam zapomniał. Była przedłużeniem jego osobowości, tego, kim był. Przepływała przez niego i wokół niego.
Potrzebny mi basen. O tak. Potrzebny mi basen.
Ale woda na pływalni mogła być zimna, a on potrzebował ciepłej.
Uniosł głowę na tyle, by wypuścić powietrze i chwycić kolejny oddech, po czym znów się zanurzył.
Zachwycająca głębia.
Azotowa narkoza.
Piękne, piękne...
Jakiś dźwięk przerwał zjednoczenie z wodą.
Przytłumiony głos, a po nim pukanie.
- Harley? Wszystko w porządku?

Arden.
Idź sobie.
Potrafiła być strasznie upierdliwa.
Czy naprawdę go porwała? Twierdziła, że go uratowała, ale on nie był tego pewien. Czuł się jak porwany, bo był w miejscu, które kochał, tym, w którym pragnął być. A jeśli ktoś zabiera człowieka z takiego miejsca... jeśli włamuje się do budynku i ucieka w nocy... jeśli się ukrywa, to czyż nie jest to porwanie?
Zagmatwane to, strasznie zagmatwane...
Już od jakiegoś czasu próbował sobie wszystko poukładać, ale wtedy głowa zaczynała go boleć i dawał spokój.
Czy był za niego okup? - zastanawiał się. Czy żądała od kogoś pieniędzy?
Od kogo? Kto zapłaciłby za jego uwolnienie? Nie znał nikogo, kto by to zrobił. Harris? Tak, Harris chciałby go mieć z powrotem.
Harris był porządnym facetem. Nie kimś, z kim miałoby się ochotę przyjaźnić, ale to dobry człowiek. A na dobroci można daleko zajechać.
- Harley?

Do diabła. Znowu ona. Tym razem mówiła głośniej.

Otworzyła drzwi. Widział je - zamazane, uchylone na jakieś trzydzieści centymetrów, z niewyraźną głową w szparze.

Widowała go już nagiego i nie przejmował się tym. Sam pamiętał jej nagie ciało, zwinięte obok niego. A może to sen? Niespełnione marzenie?

- Harley! - Wpadła do łazienki, przestraszona, zdezorientowana. A, tak. Jestem pod wodą. Zapomniałem, że jestem pod wodą.

Skoro i tak przerwano mu medytację, wynurzył się, chwytając powietrze. Zdziwił się, że płuca palą go żywym ogniem. Szeroko otwartymi ustami wciągnął ze świstem powietrze, jak umierający.

Arden podbiegła do wanny i złapała go za ramiona.

- Harley! Jezu! Co ty wyprawiasz?

Jej mina warta była każdej ceny. Złość, niepokój i przerażenie - wszystko na raz. Roześmiał się. Nie pomogło mu to oddychać. Poglaskała go po plecach.

- Spokojnie - powiedziała. - Uspokój się i bierz płytkie oddechy. O tak. Właśnie tak.

Miała rację. Podziałało. Po minucie oddychał już normalnie. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem.

- Ogoliłeś się. - Poglaskała dłonią jego policzek. Czuły, pieszczotliwy gest. Dotknęła włosów. - I obciąłeś włosy.

Patrzyła na niego tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Jakby zastanawiała się, kim jest. Czy pamiętała ich dwoje? Razem? Czy zostawiła to gdzieś w wodzie? Żeby woda przyjęła wspomnienia i bezpiecznie przechowała, aż Arden będzie gotowa je odnaleźć? Bo woda pamiętała.

Pragnął mieć ją ze sobą w wodzie. Gdyby mogła do niego dołączyć, jakimś cudem razem staliby się jedną osobą, a wtedy nareszcie zrozumiałby wszystko i wykombinował, co jest grane. Nie pokazuj im, że nic nie wiesz. Nigdy im nie pokazuj, że masz mętlik w głowie.

- Pamiętam cię - powiedział. Zmarszczyła brwi.

- Oczywiście, że pamiętasz.

Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów; potarł je między palcami. Rude kosmyki wydały szorstki szelest, który kłócił się z ich miękkością. Miał ochotę je powąchać, ale był za daleko.

- A ty mnie pamiętasz? - zapytał. - Tak naprawdę? Spojrzała na niego z jeszcze bardziej zdziwioną miną.

- Nie jestem pewna, czy pamiętam wszystko.

- Cmentarz na Wzgórzu? - badał dalej. Jej twarz rozjaśniła się.

- Tak.

- Pocałunek?

- Tak.

Wypuścił jej włosy i złapał ją za ramię. Delikatnie przyciągnął ją bliżej.

- I coś więcej - szepnął, patrząc na jej usta. - Pamiętam coś jeszcze.

- Harley, ja...

Była teraz naprawdę blisko. Tak blisko, że zdołał dotknąć ustami jej ust. Z początku tylko leciutko. Drobne, nieśmiałe muśnięcie, które powoli przerodziło się w otwarte usta i miękki, ciepły oddech.

Byli pokrewnymi duszami.

Ich kontakt potwierdził to. Robili to już wcześniej i znali się. Nie byli tylko dwójką kolegów, którzy brali udział w eksperymencie, ale czymś więcej.

Nie wiedział, czy miłość stanowiła element tego równania. To, co czuł, było czymś innym, intelektualnym, zbliżonym do symbiozy. Łączył ich niewidzialny łańcuch. Ich bliskość wykraczała poza zwykłą fizyczność.

A gdyby do pocałunku dodać wodę? Gdyby razem mogli powrócić do łona? Jak silni byliby, gdyby stali się jednością?

Spróbował wciągnąć ją do wanny, ale wyrwała się. Poruszała nerwowo rękami. Jedną obejmowała się w pasie, drugą przeczesywała włosy. Odwróciła się od niego, nie patrząc mu w oczy.

- Przepraszam - powiedział w nadziei, że złagodzi jej zmieszanie.

- Nic się nie stało - odparła spiętym głosem. Woda robiła się zimna.

Harley wyciągnął gumowy korek na łańcuszku i dźwignął się na nogi, zostawiając wodę za sobą.

- Pamiętasz, jak byliśmy we Francji? Znow odwróciła się do niego.

Co? Wziął ręcznik i zaczął się wycierać.

- Pojechaliśmy do Francji. Zatrzymaliśmy się w jakimś *chateau* i piliśmy wino na tarasie z

widokiem na winnicę. A, i jeździliśmy na rowerach. - Wycelował w nią palec. - Pamiętasz to?

Pamiętasz, jak zaczęło padać? Wróciliśmy na rowerach do *chateau* w ulewnym deszczu. Padało całą noc, ale nas to nie obchodziło. Zostaliśmy pod dachem, w naszym pokoju.

Pokręciła głową. Na jej twarzy znow malowała się konsternacja.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek była we Francji.

- Owszem, byłaś ze mną. Po prostu nie pamiętasz.

- Nie sądzę.

- Przypomni ci się. Mnie się właśnie tutaj przypomniało. Miałem coś w rodzaju *deja vu*.

Był już suchy i znow chciał jej dotknąć. Przesunęła się w stronę drzwi.

- Muszę iść.

Wyszła, zamykając drzwi za sobą. Harley uśmiechnął się do siebie. Na pewno go sobie przypomni.

Rozdział 30

Nathan Fury spojrział nad stołem sekcyjnym na lekarza sądowego z FBI, Jasona Devore'a.

- Dzięki, że przyjechałeś - powiedział.

Devore miał na sobie żółty jednorazowy strój ochronny, gruby plastikowy fartuch, lateksowe rękawiczki i maseczkę podciągniętą na czubek głowy.

- Niełatwo się tu dostać.

Devore był bardzo zajęтым człowiekiem, wręcz rozechwytywanym. Przywiózł go śmigłowiec FBI, czekający na pobliskim polu, by zabrać go, kiedy tylko skończy.

Patolog wyglądał na zmęczonego i grubo starszego, choć miał trzydzieści siedem lat. FBI tak działa na człowieka. Kiedy się jest dobrym w swoim fachu, wyrabia się dużo nadgodzin.

- Słyszałem o Wzgórzu. - Devore popatrzył na ciemne, spotniałe, kamienne ściany kostnicy Szpitala Miłosierdzia. - Zawsze chciałem je zobaczyć. A kiedy już zobaczyłem, stwierdzam, że lepiej było zawieźć ciała do laboratorium w Wirginii. - Pokręcił głową. - Nie wiedziałem, że to miejsce to taki grajdoł.

Trudno było przekonać miejscową policję, by pozwoliła im przeprowadzić autopsje na terenie zakładu.

- Morderstwa w Madeline zdarzają się rzadko - odparł Fury. - A jeśli już, ciała są zwykle wysyłane do stolicy stanu. Biorąc pod uwagę okoliczności i kontrowersyjną naturę programu, uznaliśmy, że najlepiej będzie zaangażować w to jak najmniej osób. W mieście i tak już gadają, że należałoby nas stąd wykopać. - Znakomite referencje Devore'a powinny wszystkich zadowolić.

- Zbiera się już tłumek żądny linczu? - zapytał Devore z krzywym uśmiechem. Żartował, ale Fury był na dole kilka razy i widział, że umysłami zaczyna rządzić psychologia tłumu. Rzadko pokazywał publicznie odznakę, ale mieszkańcy najwyraźniej wiedzieli, że jest z FBI. Nie widywał już uśmiechów i trochę się bał zamawiać gdziekolwiek jedzenie. Nie sądził, że ktoś chciałby go otruć, ale pewnie byliby skłonni napluć mu do herbaty i trochę się z niego pośmiać.

Na dworze świeciło słońce. Tu, w kostnicy, człowiek nie wiedział, jaka jest pora dnia, ani nawet jaki miesiąc. Chłodziarka spełniała swoje zadanie, utrzymując oczekujące ciała w przyjemnej temperaturze trzech stopni. Pierwszą wyciągnęli Verę Thompson.

- Od lat nie pracowałem z asystentem - powiedział Devore, odkrywając ciało.

Fury nie wiedział, czy Devore się żali, czy przechwała.

- Będzie dobrze - powiedział. Poprawił rękawy jednorazowego wdzianka. - Byłem przy wielu autopsjach.

- Nie narzekam - odparł Devore. - Prawdę mówiąc, to nawet zabawne. - Spojrzał na Fury'ego. - Przypominają mi się dawne czasy na akademii medycznej, kiedy człowiek był trochę bardziej wyluzowany.

- Nie jestem pewien, czy ostatnio w ogóle używałem tu słowa „wyluzowany”, ale... niech ci będzie.

Devore włączył mały, cyfrowy dyktafon, nagrał czas, miejsce, nazwisko ofiary, daty urodzenia i śmierci. Podał przybliżoną wagę i wzrost ciała na stole. Dalej nastąpiły pobieżne oględziny zewnętrzne, poczynawszy od czubka głowy.

Stół sekcyjny nie był wyposażony w oddolny wyciąg; opary usuwano z pomieszczenia przez przedpotopowy system, który nie wydawał się skuteczniejszy od domowego wentylatora.

Fury'ego zaczęły piec oczy i gardło.

Za to Devore jakby w ogóle nie czuł smrodu. No cóż, Fury znał kiedyś patologa, który potrafił jeść kanapki, jednocześnie badając ciało. A może to był Devore? Jezu, to był Devore.

Lekarz skupił się na badaniu.

- Co my tu mamy... - Skalpelem uniósł brzegi rany. - Narzędziem był nóż, co policja już ustaliła. Czy ktoś go już znalazł?

- Nie.

To by bardzo ułatwiło sprawę. Brak narzędzia zbrodni był jedną z najbardziej frustrujących przeszkód w każdym śledztwie.

- Atak nastąpił z góry, pod dużym kątem i z dość dużą siłą - powiedział Devore. - Dokonał go raczej wysoki człowiek.

- Jak wysoki?

- Około metra osiemdziesięciu. Może wyższy. - Devore podniósł jedną dłoń kobiety, potem drugą. - Paznokcie są czyste. - Wsunął blokadę pod kark, opuścił maskę, przygotował skalpel i wykonał nacięcie od mostka do kości łonowej.

Badanie wewnętrzne zajęło czterdzieści pięć minut. Kiedy skończyli, przykryli Verę Thompson, zawieźli ją z powrotem do chłodziarki i wyciągnęli ciało Noaha Violi.

- Jaka szkoda - powiedział Devore, kręcąc głową. - Ładny chłopak. Noah był niski i drobny. Devore zmierzył go i spojrzał na Fury'ego.

- Metr sześćdziesiąt pięć.

No to nie dość wysoki, by zadźgać panią Thompson, pomyślał Fury, chyba że na czymś stał...

Po zakończonej autopsji Fury odprowadził Devore'a do czekającego śmigłowca.

- Dzięki, że przyjechałeś. - Wyciągnął rękę. Devore ją uściśnął.

- Za parę dni prześlę ci pełny raport. - Patolog schylił się, przebiegł pod wirującymi łopatami i

zniknął w otwartych drzwiach. Po minucie śmigłowiec wznosił się w gwałtownym wirze liści i wiatru.

Tego wieczoru w swoim pokoju na Wzgórzu, z uszami wciąż jeszcze dzwoniącymi od huków śmigłowca, Fury siedział przy odrapanym biurku z blatem zarzuconym zdjęciami z miejsca zbrodni.

Po raz kolejny ślęczał nad nimi, zwracając szczególną uwagę na zblizenia plam krwi na ścianach łazienki.

Nie było wątpliwości, że morderstwo zostało popełnione w łazience. Kiedy Devore wspominał, że zabójca był wysoki, Fury rozważał różne scenariusze, ale plamy na ścianach dowodziły czego innego.

Krew na butach i koszuli Noaha miała grupę A minus, taką samą jak krew Very Thompson.

Krwawy odcisk buta dowodził, że Noah był w tym pokoju.

Czy w morderstwo mogły być zamieszane dwie osoby? I czy śmierć chłopaka naprawdę była samobójcza? A może ktoś - osoba, która poderżnęła gardło Very Thompson - wypchnął Noaha z okna?

Jeden ze świadków twierdził, że słyszał, jak Noah mówi, że staruszce trzeba skrócić cierpienia.

Ale jeśli to nie Noah zamordował panią Thompson, to kto? I co było motywem?

Zadzwoiła komórka. Telefonował jeden z miejscowych śledczych.

- Mamy dane o użyciu kart kredytowych Elego Nortona, Franny Young i Arden Davis - powiedział. - Wszyscy wyciągnęli gotówkę z tego samego bankomatu w pobliżu miasteczka Parkersburg w Wirginii Zachodniej. Od tamtej pory nie było więcej wypłat.

Arden jest za mądra, żeby zostawiać ślad na papierze, pomyślał Fury. Wyciągnęłaby tyle gotówki, ile się da, na początku.

- Potem jeszcze raz mieliśmy szczęście. Namierzaliśmy jeszcze jedno obciążenie karty Nortona. Kawiarnia Coffe Cup w Cambridge w Ohio.

Fury podziękował mu i rozłączył się.

Wyciągnął atlas i otworzył stronę z Ohio.

Jechali na północ autostradą 77, na Cleveland. Farma rodziców Arden leżała na północny wschód od Cleveland, w hrabstwie Lake.

Do tego momentu Fury'emu wydawało się, że hrabstwo Lake w Ohio było ostatnim miejscem, dokąd pojechałaby Arden. Teraz zmienił zdanie.

Rozdział 31

Eli wyłączył telewizor, rzucił pilota na kanapę i siedział, gapiąc się w czarny ekran.

W wiadomościach w kółko mówili o pogodzie.

Eli wychował się w Tucson w Arizonie. Zwykle nie zwracał zbyt dużej uwagi na prognozy pogody - nudziły go - ale w telewizji mówili o śnieżycy. Potężnej śnieżycy. To go niepokoiło.

Franny spała. Arden była na górze. Harley hałasował w kuchni, trząskając garnkami i puszczał wodę.

Powietrze w domu nareszcie się ogrzało, ale wszystko, czego człowiek dotknął, było zimne.

Poduszki pod tyłkiem Elego nie odtajały jeszcze z wiecznej zmarzliny.

Nawet nieźle się bawił, zanim tu przyjechali. Teraz już nie było zabawnie.

Powinien spakować Franny i razem z nią wynieść się stąd na cztery wiatry. Ale nie chciał zostawiać Arden z Harleyem. Ten facet jest popieprzony. Kompletnie nieprzewidywalny. I agresywny. Teraz już wiedzieli, że jest agresywny.

Wstał z kanapy i wszedł cicho do sypialni.

Franny spała, skulona na boku, ściskając złachmanionego pluszowego misia, którego podobno

miała od trzeciego roku życia. Eli usiadł na łóżku; materac zapadł się pod jego ciężarem.

- Franny? - szepnął, delikatnie potrząsając jej ramieniem. Zaprotestowała cicho i mlasnęła wargami. Potrząsnął nią jeszcze raz. Tym razem się obudziła. Robiło się ciemno i ledwie mógł rozróżnić jej rysy.

- Eli? - mruknęła.

- Przepraszam, że cię budzę.

- Nie szkodzi.

Mówiła trochę niewyraźnie, zaspanym głosem. Wiedział, jak to jest obudzić się z długiej popołudniowej drzemki. To naprawdę wysysało z człowieka wszystkie siły. Rozwalało na całego. Podsunął się bliżej i oparł łokieć na materacu, a głowę na dłoni.

- Myślę, czy by nie wyjechać - szepnął.

Milczała. Odniosł wrażenie, że próbuje w ciemności odczytać wyraz jego twarzy.

- To miejsce jest koszmarnie - powiedział. Zabrzmiało to dziecinnie i głupio. - Odbieram tu złe wibracje. - To brzmiało jeszcze bardziej idiotycznie.

Wiem, że tutaj zostali zabici rodzice Arden, ale to coś więcej. Bo przecież nie boję się duchów ani nic w tym stylu. Poczul, jak ciepłe palce oplatają jego zimną dłoń.

- A co z Arden? - odszepnęła. I z Harleyem? Nie sądzę, żeby Arden chciała wyjechać.-

- Ja też nie przypuszczam, że któreś z nich wyjedzie, ale to nie znaczy, że my musimy zostać.

- A co z pomysłem, żeby iść do gazety?

- Nadal możemy to zrobić. Jakoś się umówimy i spotkamy gdzieś, kiedy będziemy gotowi. Albo pójdziemy sami, we dwojkę.

Opadła z powrotem na materac, nie puszczając jego dłoni.

- Nie jestem w stanie myśleć. Mam sieczkę w głowie. Kochał Franny.

Teraz, kiedy Noaha nie było, mógł jej to powiedzieć, ale nie w tej chwili. To nie był odpowiedni moment. Później, kiedy już stąd wyjadą.

- W telewizji ciągle mówią o śnieżycy - powiedział. - I to jakiejś wypasionej. Ma tu dotrzeć za dzień czy dwa. Myślę, że powinniśmy wyjechać, zanim się zacznie. No bo i tak to jest straszne zadupie, a nie wyobrażam sobie, jak to będzie, jeśli napada pół metra śniegu. Nie chcę tu utknąć.

- Pochylił się bliżej. - Z tym gościem. — Harleyem. Nie chciał wymawiać jego imienia, na wypadek, gdyby tamten ich słyszał. Gdyby był blisko.

- Nie jestem pewna, czy chcę zostawić Arden - powiedziała Franny. -Może ona też pojedzie.

Może wszyscy będziemy mogli wyjechać.

To było niewykonalne. Eli był tego pewien.

- Spaghetti będzie gotowe za pięć minut! - krzyknął Harley z kuchni. Eli nie chciał puszczać dłoni Franny. Wiedział, że wszystko będzie dobrze, kiedy stąd wyjadą. Tylko oni dwoje.

- Pójdę poszukać Arden. - Wypuścił rękę Franny. Zaczął się zbierać z łóżka, ale nagle zatrzymał się. - Zostań tutaj, dopóki nie wrócę, dobrze? Nie idź do kuchni.

- Harley jest w porządku - szepnęła.

- O mało nie zabił brata Arden.

- Bronił jej.

- Zostań tutaj. Błagam. Roześmiała się.

- Dobrze.

Pierwszy raz od śmierci Noaha Eli usłyszał jej śmiech. Chciał ją pocałować, ale się nie ośmielił. Wstał z łóżka i poszedł szukać Arden.

Drzwi jej sypialni były zamknięte. Zapukał. Nie było odpowiedzi, ale słyszał, że Arden porusza się w środku. Odgłosy były ciche -jakby chodziła po pokoju albo odstawiała coś na podłogę.

- Arden?

Głośniejszy dźwięk. Jakby gramolenie się z ziemi. Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów. Na podłodze stała lampa z przekrzywionym abażurem, oświetlała Arden od tyłu, pozostawiając twarz w cieniu. Najwyraźniej światło nie było tu nikomu potrzebne.

- Co robisz? - zapytał.

- Nic.

W jej głosie słyhać było poczucie winy i przebiegłość, dziecinna przebiegłość. Popchnęła drzwi, ale przytrzymała je.

- Mogę wejść?

Poddała się. Puściła drzwi i odsunęła o krok.

Podłoga zasłana była papierami, książkami, zdjęciami i albumami. Pośrodku tego wszystkiego stała butelka wódki.

- Szukałam czegoś.

Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na bałagan.

- Paszportu. Miałam kiedyś paszport, jestem tego pewna. Chcę sprawdzić pieczętki. Zobaczyć, ile ich mam i dokąd jeździłam.

Usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

Miała gołe stopy, a na nich stare niki, które musiała skądś wygrzebać.

Eli usiadł po turecku naprzeciw niej.

- Tak, piłam. - Podsunęła mu butelkę. Pokręcił głową.

- Może później.

- Czysta wódka jest obrzydliwa. Szczególnie ta tania. - Pociągnęła potężny łyk, jakby wcale nie uważała, że jest obrzydliwa. - Gdzieś tu pewnie jest sok pomidorowy, ale od pomidorów dostaję wysypki.

- A nie chcesz dostać wysypki.

- Nie.

Eli próbował przypomnieć sobie, jak Arden przekonała ich, że powinni uciekać ze Wzgórza.

Wydawała się przytomna. Logiczna. Automatycznie weszła w rolę przywódcy. Ale od kiedy przyjechali do tego domu, stopniowo traciła poczucie rzeczywistości. Zachowywała się niemal tak samo dziwnie jak Harley.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Harley mówi, że spaghetti jest prawie gotowe.

- Nie jestem głodna. No i ta moja wysypka.

- Może dobrze by było coś zjeść.

- Żeby mi przeszedł rausz?

To z pewnością było coś więcej niż rausz.

- Popatrz tutaj. - Podniosła zdjęcie.

Eli wziął je i pochylił się do światła. Kolorowa fotka pocztówkowego formatu, przedstawiająca dziewczynkę przebraną za pirata. Ramionami obejmowała szyję psa, który wyglądał na jakąś mieszanekę z czarnym labradorem.

- To ty? - Wskazał zdjęcie palcem.

- Ładny był ze mnie dzieciak, nie? Kiwnął głową i oddał jej zdjęcie.

- Franny i ja... rozmawialiśmy o wyjeździe. O tym, żeby pojechać na jakiś czas do moich staruszków. - Franny nie miała rodziny. Miał nadzieję, że pojechałaby z nim. - Żeby się trochę uspokoić. A że ferie już niedaleko...

Arden podniosła jakiś wycinek z gazety.

- Widocznie wycięłam to z lokalnej gazety na krótko przed ich pogrzebem.

Papier był pożółkły, choć jeszcze nie aż tak stary. Nagłówek głosił: Z ZIMNĄ KRWIĄ II? Była to historia zamordowania rodziców Arden.

- Nie pamiętam tego - stwierdziła rzeczowo. - Miałam nadzieję, że to - machnęła ręką, wskazując

pamiętki - pomoże mi sobie przypomnieć.

- Zostałaś wybielona.
- Ale oni złapali tego gościa - powiedziała z dziwnym sarkastycznym śmiechem. - Mordercę.
- Alberta Frencha.
- Dostał wyrok śmierci i niedawno go stracono.
- Tak, słyszałem o tym.
- Ale oświadczył, że jest niewinny. To znaczy przyznał się do innych morderstw, ale nie do tego.
- Czyli że... morderca jest na wolności? - Czy to chciała powiedzieć? Byli w domu, w którym dokonano zbrodni, a zabójca wciąż gdzieś tam grasował? Co jeszcze przed nimi ukrywała?
- Jeszcze nie jest po wszystkim. Nic nie zostało rozwiązane. Eli przelknął głośno ślinę.
- Czy ktoś ma jakąś teorię?
- Ja mam. I to więcej niż jedną, prawdę mówiąc.
- Tak? Eli nagle zaprzagnął obejrzeć się za siebie, ale dał sobie spokój.

Arden wypila kolejny łyk wódki. W butelce została już mniej niż połowa. Czy flaszka była pełna, kiedy zaczęła pić? On leżałby już urznięty w trupa, gdyby tyle wypił.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

- To tylko gdybanie. Teorie, których nie można niczym poprzeć. - Odchyliła się do tyłu i zaczęła dłoń o skrzyżowane kostki.

Światło lampy padło na jej twarz, rysując cień na ścianie.

Cień wyglądał jak człowiek. Jak mężczyzna z długim nosem, wielkimi zębami i wypukłym czołem. Absolutnie nie był podobny do Arden.

Czyżby była jednym z ludzi-cieni?

Eli rozprostował kolana i zerwał się z podłogi.

- Pamiętasz, jak leżałeś w komorze? - zapytała Arden.

- Jak przez mgłę.

- Pamiętasz, co tam z tobą robili?

- Nie. Kiwnęła głową.

- Bo Harris tego nie chciał. Bo napompowali cię narkotykami, żebyś nie pamiętał. Żebyś się nie sprzeciwiał i nie powiedział o tym nikomu. A kiedy cię tam już wsadzili, godzinami ładowali ci w uszy słowa i przekonania mordercy. Te myśli, które teraz masz w głowie, nie są do końca twoje.

Wstała z podłogi.

Małe, tekturowe pudełko pełne zdjęć i drobiazgów, jakie zbierają dziewczyny, zsunęło się z łóżka i upadło na podłogę. Brodząc w bałaganie, Arden podeszła do Elega i stanęła tuż przed nim.

Postukała go w czoło.

Odbił jej dłoń i cofnął się o krok.

- Eli tam jest, ale nie sam. Ktoś tam jeszcze z nim siedzi. Może Albert French. Może Jeffrey Dahmer.

Była paranoiczką. Bredziła. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej?

- A ty? - zapytał. Dziesięć minut temu był gotów spieprzać stąd bez niej, ale widząc ją w takim stanie, martwił się o nią coraz bardziej. To ten dom. Ten dom robił dziwne rzeczy z jej głową. — Może ty też powinnaś pojechać gdzieś indziej.

- Nie mam dokąd.

- A tam, gdzie byłaś, zanim przyjechałaś na Wzgórze?

- Nie mogę tam wrócić. Tam się tylko chowałam. Nie, to jest miejsce, gdzie powinnam być. - Pogrzebała w kieszeni. - Masz. - Wcisnęła mu do ręki kluczyki do jego samochodu. - Nie będę się więcej chować. Koniec uciekania.

Eli pochylał głowę i przyjrzał się kluczykom, przeciągając palcem po nacięciach. Nagle wyobraził sobie nóż tnący ciało. Rozwartą ranę w poprzek szyi. Docierającą do tętnicy. Krew, i to nie płynącą zwyczajnie po dłoniach, ale tryskającą. Chlapiącą mu na twarz. Otrząsnął się i włożył kluczyki do kieszeni. Wszyscy potrzebowali pomocy. Arden może miała rację, że to Harris na-pieprzył im w głowach, ale Eli zaczynał myśleć, że może też być jedynym człowiekiem, który potrafi to naprawić.

- Musimy wrócić - powiedział cicho. Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Na Wzgórze?

Jej reakcja nie zaskoczyła go. Ona by nie wróciła. Eli nie wiedział, jak Harley zapatrywał się na tę kwestię, ale z całą pewnością nie miał zamiaru zabierać ze sobą tego faceta. Nie, tylko on i Franny.

Musi wydostać stąd Franny. Widział, jak brat Arden na nią patrzył. Przez rok Eli patrzył na Franny w objęciach Noaha. A Noah był dla niej kompletnie nieodpowiedni. Dlaczego kobiety ciągnęło do nieodpowiednich facetów? Chciałby to wiedzieć. Arden spojrzała w ciemne okno.

- Nie jesteśmy gołębiami pocztowymi. - Znów spojrzała na niego, mrużąc oczy. - Musisz w sobie zwalczyć chęć powrotu. Wiesz, co myślę? -dodała. - Zaprogramowano cię na powrót. Żebyś wrócił na Wzgórze.

Pokręcił głową. To jakieś wariactwo. Ona jest wariatką.

- Kiedy już zdasz sobie z tego sprawę, możesz to zwalczyć - powiedziała.

- To tak jak zdać sobie sprawę, kiedy przestać pić? Nie powinien być tego mówić. Nie wkurzaj jej.

Roześmiała się. Dzięki Bogu roześmiała się. Bo jego serce waliło jak głupie. Dłonie mu się pociły, a on nie wiedział, dlaczego. Przecież by go nie zabiła, prawda?

Arden wcisnęła ręce głęboko w kieszenie bluzy z kapturem, którą zawsze nosiła. Bluza nie była zasunięta. Pod spodem miała czarną koszulkę.

- Jedź - powiedziała. - Spadaj stąd, póki możesz. Ale nie wracaj na Wzgórze. Jedź do domu, do swojej rodziny. Pozbądź się Wzgórza z krwi.

- Spaghetti stygnie! - zawołał Harley z dołu.

Eli uczeplił się kurczowo normalności tych słów. Jedna wielka, szczęśliwa rodzina, gotowa zasiąść do wspólnego posiłku. Zachciało mu się płakać.

Całe lata nie mógł się doczekać chwili, kiedy wyrwie się ze swojej rodziny i zacznie żyć samodzielnie. Teraz dałby wszystko, by mieć ich obok siebie.

- Powinniście poczekać do rana - powiedziała Arden. - Po ciemku nie będzie widać znaków. Możecie zabłądzić.

Martwiła się o niego. Od tego też zachciało mu się płakać.

- W wiadomościach mówili o burzy śnieżnej - powiedział. Nadciąga huragan! Z czego to było? Z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* ? Tak, właśnie tak.

Zabawne, jak często wydarzenia w jego życiu kojarzyły się z tym filmem. Czy wszyscy tak mieli?

- Zejdę za minutkę — powiedziała Arden.

Eli zabrał butelkę z wódką. Ktoś musi ją przystopować. Nie lubił konfrontacji, ale zawsze doskonale wychodziło mu jedno: wyrazić swoje zdanie, a potem spieprzać z pola walki. Chwila nie mogła być bardziej odpowiednia.

- Dobrze wiesz, że nigdy bym tu nie przyjechał, gdybym wiedział, że morderca twoich rodziców wciąż jest na wolności - powiedział.

I szybko wyszedł z pokoju.

Rozdział 32

Robiło się coraz dziwniej - choć dwadzieścia cztery godziny temu wydawało się to nieprawdopodobne.

Ale oto Harley siedział na krześle taty Arden. Franny na krześle mamy. Eli zajął miejsce jej brata. A ona, Arden... siedziała na swoim dawnym miejscu, gapiąc się na talerz spaghetti, który postawił przed nią Harley.

I była pijana. Bardzo pijana. Czy ktoś to zauważył?

W barze w Nowym Meksyku nauczyła się ukrywać stan upojenia. Ale tylko do pewnego punktu - do momentu, kiedy nie mogła już chodzić, zaczynała tracić równowagę i przewracać się.

Czy była już w tym punkcie? Nie, ale blisko. Bardzo blisko.

Sztuczka polegała na tym, żeby się nie odzywać. Jeśli się nie spadło z krzesła na tyłek, nikt się nie domyślał, jak bardzo człowiek jest urzęnięty.

- Nie będziesz jeść? - zapytał Harley. - Od wczoraj nic nie jadłaś.

Dochodził do siebie. Mgła opuszczała jego mózg, niemal jakby spłynęła razem z wodą z wanny. Był z niego kawał przystojniaka. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy pozbył się zarostu.

Nawet Franny opadła szczęką, kiedy go zobaczyła. Ciągłe się na niego gapiła, śledząc okrągłymi oczami każdy jego ruch.

To było jak oglądanie filmu. Właśnie tak. Zdystansuj się i obserwuj.

Eli i Franny wstali od stołu i zanieśli talerze do zlewu. Wyszli z kuchni, a kiedy wrócili, mieli na sobie zimowe kurtki, należące kiedyś do rodziców Arden. W rękach trzymali plecaki.

- Znaleźliśmy to w szafie - powiedziała Franny, wskazując zieloną puchową kurtkę, którą miała na sobie, i granatową kurtkę Elego. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Wyjeżdżali. Arden zapomniała o tym. Eli przekonał jakoś Franny, by jechała razem z nim. Nawet jeśli Eli był na nią zły, nie chciała, żeby wyjeżdżali.

- W cedrowej komodzie powinny być rękawiczki i czapki. Powiedziała to bardzo dorośle, trzeźwo i odpowiedzialnie. Eli wyciągnął z kieszeni czapkę i rękawiczki.

- Już znaleźliśmy.

Arden wstała od stołu i odprowadziła ich przez jadalnię i salon do frontowych drzwi.

- Pada śnieg! - zawołała Franny, jednocześnie zaniepokojona i uradowana. Wybiegła na dwór.

- Nie miało się zacząć tak szybko - powiedział Eli skonsternowany i wyszedł za nią.

Arden ruszyła za nimi.

Lampa na ganku oświetlała gigantyczne płatki. Śnieg był już głęboki na kilkanaście centymetrów. Arden objęła się ciasno ramionami.

- Poczekajcie do jutra.

- Jedziemy teraz. - Eli poklepał się po kurtce. - Mam mapę. Nic nam nie będzie. Ale co z wami? Nie chcę was zostawić na lodzie. Jesteś pewna, że twój brat wróci?

- Wróci - odparła, choć miała co do tego pewne wątpliwości. Uściskali się. Z domu wyszedł Harley. Jego też uściskali.

Na podwórku, na szczytach trzech telefonicznych słupów, zainstalowano automatyczne lampy. Nigdy nie było całkiem ciemno, chyba że brakło prądu.

Może powiedzieli coś więcej, Arden nie była pewna. Wiedziała tylko, że nagle odchodzili, odwracając się, by pomachać w ostatnim momencie. Franny miała na dłoniach czerwono-różowe rękawice z jednym palcem, wydziergane przez matkę Arden.

Patrzyła, jak zbiegli po zboczu, a potem zniknęli za rogiem, śmiejąc się jak para dzieciaków. W końcu byli parą dzieciaków.

Przez sekundę żałowała, że nie jedzie z nimi. Wyglądało, jakby zostawiali za sobą wszystko co złe i wyruszali szukać przygód.

- Idę pozmywać naczynia. - Harley otworzył drzwi i zatrzymał się, jakby się spodziewał, że Arden wejdzie z nim do środka.

Zimne powietrze działało ożywczo. Otrzeźwiło ją trochę.

Czy to dobrze?

Może nie.

W razie czego jest tu więcej alkoholu, powiedziała sobie w duchu. Jej rodzice niewiele pili, dlatego przez lata nagromadzili mnóstwo gorzałki od ludzi, którzy przynosili butelki w prezencie przy rozmaitych okazjach.

- Zaraz przyjdę - powiedziała.

Na myśl, że będzie sama z Harleyem, poczuła się dziwnie. Wcale nie była pewna, czy jej się to podoba.

Harley ścisnął jej ramię, uśmiechnął się i wszedł do domu. Siatkowe drzwi zamknęły się za nim. Z dołu dobiegł odgłos przesuwania wrót stodoły po żelaznej szynie, a potem przytłumione trzaśnięcia drzwiczek i warkot zapalanego silnika.

Arden patrzyła, jak zza stodoły wyłoniły się światła, rozjaśniające gęsto padający śnieg.

Samochód wjechał na pagórek, kierując się w stronę bramy i skrzynki pocztowej z odwróconą literą.

Pomyślała, że będzie za nimi tęskniła.

Nagle zrobiło jej się smutno. Naprawdę, naprawdę smutno.

Czyżby płakała? Policzki były mokre. Otarła twarz grzbietem dłoni.

Byli już prawie przy bramie, kiedy samochód zakrzuszył się i zgasł. Dały się słyszeć odgłosy bezskutecznych prób zapłonu. Potem zdechłego akumulatora. Drzwiczki kierowcy otworzyły się.

Ślizgając się i potykając, Eli ruszył do domu. Arden zeszła z ganku i wyszła mu naprzeciw.

Rozłożył ręce i klapnął nimi o boki.

- Nie mamy benzyny.

Fatalnie. Na farmie zawsze była ropa do diesla, ale nie benzyna. Nigdy nie było normalnej benzyny. Eli szedł w jej stronę. Widziała teraz, że jest wkurzony. Mocno wkurzony.

- Zrobiłaś to celowo! - krzyknął, choć był tylko parę metrów od niej. - Wiedziałaś, że wskaźnik nie działa. Wypaliłaś całą benzynę!

Roześmiała się mu prosto w twarz, bo to, co mówił, było idiotyczne. Dlaczego miałyby to zrobić?

Było ciemno i żadnej otwartej stacji w pobliżu. Popchnął ją. Podszedł wprost do niej i pchnął ją.

- Ty dziwko! Ona też go pchnęła.

- Dupek. Znow ją pchnął.

Arden zwinęła dłoń w pięść i uderzyła go tak mocno, że się przewrócił.

Masz, ty cholerny mały hipisie. Złapała się za obolałą dłoń, potem potrząsnęła nią. Au, au, au.

Gdzieś w ciemności krzyczała Franny, błagając ich, by przestali.

Eli z trudem podniósł się z ziemi. Zatakował bez namysłu i wałnął Arden głową w brzuch, przewracając ją na ziemię. Arden przekręciła się i wturlała na niego.

Zakręciło jej się w głowie od szybkiego ruchu.

To wariactwo.

Wariacka frajda!

Nagle rozległ się ryk silnika. Oślepiły ją światła samochodu. Drzwi skrzypnęły, potem trzasnęły. Z początku Arden pomyślała, że to Franny zdołała jakoś uruchomić samochód.

- Jezu Chryste.

Ale to nie była Franny, tylko Daniel. Długie nogi pojawiły się na tle światła.

- Bijecie się, od kiedy wyjechałem? - Ściągnął Arden z Elego, ale trzymał ją za kaptur bluzy. - Zachowujecie się jak banda niedorozwiniętych małp.

Arden przejechała grzbietem dłoni po nosie i poczuła smak krwi. Franny obejmowała ramieniem Elego i gruchała do niego pocieszająco.

Czyżby płakał? To brzmiało, jakby płakał.

Co za dzieciak!

Wskazała parkę rejterującą w stronę domu. W drzwiach rysowała się sylwetka Harleya, pewnie się zastanawiał, co jest grane.

- To on zaczął - powiedziała. - A ja ledwie go tknęłam.

- Masz. - Daniel złapał jej dłoń i wetknął w nią kulę śniegu. - Przyłóż to do nosa.

Przytrzymała śnieg przy twarzy i przechyliła głowę do tyłu. I przechylała się dalej... aż padła na ziemię.

Uznała to za dobry moment, żeby zrobić aniołka.

- Pamiętasz, jak to robiliśmy? - zapytała, wymachując rękami i nogami. Śnieg wypełniał jej buty i mroził gołe kostki.

- Jesteś urzędną - dobiegł z cienia głos Daniela. - Co ty wyprawiasz? Co ty sobie wyobrażałaś, przyjeżdżając tutaj? I w ogóle co ty sobie wyobrażasz?

Nie przestawała machać kończynami.

Ratuję im życie - zaśpiewała. - Ratuję im życie.

- No pewnie, przecież jesteś etatową superwoman. Sarkazm w jego głosie cholernie ją zabolął. W jednym z tych momentów olśnienia, które czasem zdarzały się przy wysokim poziomie alkoholu we krwi, zrozumiała, co się naprawdę stało i co naprawdę robiła.

Wmówiła sobie, że ich ratuje. Że ratuje wszystkich.

To urojenie. Urojenie od początku do końca.

Harley nie był w niebezpieczeństwie. W każdym razie nie w bezpośrednim niebezpieczeństwie utraty życia. Eli i Franny też. Wmówiła sobie zagrożenie, żeby móc ich uratować i odpokutować straszliwe grzechy.

Przetoczyła się na kolana i chwiejnie wstała z ziemi. Obiema rękami pchnęła Daniela w pierś.

Ruch zaskoczył go, zatoczył się do tyłu.

- Idź do diabła - powiedziała.

Niech idzie do diabła, za to, że przez niego dostrzegła to, czego nie chciała dostrzec. Czego nie mogła znieść.

Że nigdy nie było żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Groziło im tylko to, że mogli odjechać w samym środku burzy śnieżnej, zgubić się i umrzeć.

Tylko to, że mogli zamarznąć albo stracić nos i kilka palców z powodu odmrożeń. Jedynym niebezpieczeństwem, jakie im groziło, było to, na które ona ich naraziła.

Byli po prostu bandą idiotów, ganiających się po śniegu w środku nocy, w ubraniach zmarłych ludzi.

Teraz ona zaczęła płakać. Rozpłynęła się we łzach, opadła z powrotem w śnieg, a w końcu rozciągnęła się na brzuchu.

Chciała umrzeć. Tu i teraz. Zamknąć oczy i nigdy ich już nie otworzyć.

Choć zdawała sobie sprawę z melodramatyzmu tej scenki, nie mogła zrobić nic innego, jak brnąć dalej.

Śnieg padał gęsto. Chciała, żeby ją przykrył, udusił.

Nie miała pojęcia, jak długo leży na ziemi, kiedy poczuła ręce na ramionach.

- Zostaw mnie. - Próbowwała odtrącić tego kogoś, ale on trzymał tym mocniej.

Podniósł ją.

- Chodźmy do domu.

To nie był jej brat, tylko Harley. To był głos Harleya. I ręce Harleya.

Spojrzała na lewo, gdzie stał Daniel, milczący i czujny, z grubą warstwą śniegu na czapce i ramionach.

Jej mały braciszek.

Ogarnęła ją fala wstydu.

Czy istniało życie pozagrobowe? Jeśli tak, czy jej rodzice też patrzyli? Byli świadkami, jak się stacza, staje białym śmieciem, żłopiając alkohol, rozstrojoną idiotką?

To nie była przyjemna myśl.

Rozdział 33

Linoleum na podłodze było wspaniałe w dotyku. Chłodne pod rozpaloną twarzą Arden, trzydzieści centymetrów od muszli klozetowej.

Pomruk rozmowy wspinał się po ołowianych rurach i przesączał między deskami podłogi pod jej uchem.

Głosy Daniela i Elego. Rozmawiali o benzynie. O tym, że można spróbować spuścić trochę z furgonetki Daniela. Arden słyszała, jak jej brat mówi, żeby poczekać do rana, aż śnieżyca zelżeje. Cieszyła się, że to już nie jej sprawa, że to nie ona musi się nad tym głowić. Niech sobie sami poradzą. Niech sami wymyślą rozwiązanie.

Z tą myślą zasnęła.

Czy kiedykolwiek zdarzyło się, żeby synoptycy trafili z prognozą? Przynajmniej w ważniejszych kwestiach?

Jak daleko Fury sięgał pamięcią, ludzie zawsze narzekali na nieścisłości w prognozach pogody. I nie bez powodu.

Przepowiadana śnieżyca przyszła dzień wcześniej i drogi były już nieprzejezdne.

Fury złapał lot z Charleston w Wirginii Zachodniej do Cleveland w Ohio. Teraz, przejeżdżając wynajętym samochodem przez Columbus, zatrzymał się na parkingu całonocnej knajpy dla kierowców ciężarówek.

Lokal był zapchany.

Kelnerka po drugiej stronie zniszczonego kontuaru była kobietą w średnim wieku, ze złotą plakietką, na której wypisano imię BRENDA. Lampy sufitowe świeciły oślepiająco, niemal jak w lekarskim gabinecie.

Szklane, dwuskrzydłowe drzwi za jego plecami otworzyły się i zamknęły, wpuszczając podmuch zimnego powietrza i chmurę śniegu.

- Zamykają drogi - oznajmił kierowca ciężarówki. - Właśnie słyszałem w radiu.

Jęk przeszedł po sali.

- Mam ładunek tuczników. Już i tak za długo były w przyczepie. Do jutra połowa zdechnie.

Fury nie powiedział nikomu, dokąd jedzie. Nie powiedział tego FBI ani policji w Madeline.

Tajemniczość nie była standardową procedurą FBI, ale chodziło o Arden, a poza tym na razie dysponował wyłącznie teoriami i przypuszczeniami. Musiał się dowiedzieć, czy są słuszne, zanim wypowie na głos swoje obawy.

Teraz największym zmartwieniem było pokonanie ostatniego etapu podróży. Wynajęty samochód miał napęd na przednie koła, ale to nie pomagało, kiedy śnieg ma ponad trzydzieści centymetrów.

Fury odwrócił się do tłumku.

- Czy ktoś jedzie do hrabstwa Lake? Patrzyli na niego uważnie.

- Pan się chyba zgubił - powiedział w końcu jakiś gość przy stoliku w kącie, obrzucając wzrokiem czarny płaszcz, czarne spodnie i półbuty Fury'ego. - Nowy Jork jest w tamtą stronę. - Wskazał palcem.

Wszyscy się roześmiali.

Fury nie cierpiał tego robić, ale sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął skórzane etui z odznaką. Otworzył je.

- Muszę się dostać do hrabstwa Lake, w pobliże miasteczka Grove. To sprawa najwyższej wagi. Martwa cisza i kolejne spojrzenia.

Dlaczego powiedział: „sprawa najwyższej wagi”? To złe wyrażenie, nadęte. Wyrażenie, które na pewno nie spodobało się ani tej bandzie, ani jemu.

Jakiś mężczyzna - właściwie chłopak - wystąpił naprzód. Miał na sobie kraciatą, flanelową koszulę i kombinezon z grubego płótna. Spod zielonej czapki z daszkiem, reklamującej jakiś środek chwastobójczy, zwisały długie do ramion, czarne włosy.

- Jestem pracownikiem miejskiego zarządu dróg. Jadę w tamtym kierunku. Grove mam praktycznie po drodze, ale musimy wyjechać, zanim sytuacja się pogorszy.

Fury położył pięciodolarowy banknot na ladzie i zsunął się ze stolka. Na dworze wziął kilka rzeczy z wynajętego auta. Po chwili byli już w drodze.

Środkiem transportu był śnieżny pług, ogromna machina z oponami sięgającymi do ramienia i łopata. Nie było obawy, że utkną, ani też mowy, by dojechali gdziekolwiek szybko. Maksymalna prędkość wynosiła czterdzieści kilometrów na godzinę.

Dotykały jej jakieś dłonie.

- Arden?

Głos Harleya. Dłonie Harleya podnosiły ją z lodowatej podłogi.

- Zmarzłaś.

Otoczył ją ramionami i unióś, przyciskając do siebie, prawie trzymając na rękach jak dziecko.

- Co robisz na podłodze? - Delikatnie odgarnął jej włosy z oczu, z czoła. Przeciągnął dłonią po ręce, boku, nodze. - Stopy masz jak lód.

- Zimne stopy, zimne serce. Wstał, pociągając ją ze sobą do góry.

- Nie jestem taki silny jak kiedyś. Kiedyś mogłem cię nosić. Pamiętasz? Nie pamiętała.

- Ale odzyskam formę.

Objął ją ramieniem i poprowadził ciemnym korytarzem do sypialni.

Lampa wciąż stała na podłodze, wciąż się paliła. Dom był cichy, słychać było tylko tykanie zegara i brzęk luźnego kabla anteny, uderzającego o żelazny słupek za oknem.

- Która godzina? - zapytała.

- Po trzeciej.

Zamknął drzwi. Wszyscy spali. Harley sięgnął do guzika jej dzinsów.

- Cała jesteś mokra od śniegu. Nakryła jego dłonie swoimi.

- Ja to zrobię.

- Ale ja chcę. Ty opiekujesz się mną, ja tobą.

Rozpiął guzik i suwak jej spodni. Opierając się ręką o jego ramię, Arden ściągnęła stare buty i wyszła z przemoczonych dzinsów. Nie zdejmując bluzy, padła na łóżko i naciągnęła na siebie ciężką kołdrę.

Harley zgasił światło, unióś kołdrę i położył się przy niej, obejmując ramionami. Jego ciało grzało jak piec.

Powiodł dłonią po jej nodze.

- Masz taką miękką skórę. - Wtulił się twarzą w jej kark, potem przycisnął usta do miejsca tuż pod uchem. Wsunął dłoń w jej figi, przyciągając ją do siebie.

Wyciągnęła tę rękę.

- Harley, nie. Dlaczego? - szepnął.

- Nie tu. Nie teraz. - Przez chwilę poczuła, jak wzbiera w niej panika.

- Cśś - szepnął w jej kark. - Wszystko będzie dobrze. — Oplótł ją ramionami i po prostu

przytulił. - Wszystko będzie dobrze.

Rozdział 34

Arden obudziła się z kacem. I to nie z małym kacem, który przechodził po dwóch aspirynach i paru szklankach wody. To był kac, który męczył człowieka cały dzień i kazał się człowiekowi zastanawiać nad tym, ile szarych komórek zabił.

Na dole ktoś parzył kawę - nie pachniała przyjemnie.

Przekręciła się na plecy i uchyliła powieki. Był już dzień, ale w pokoju było ciemno. Nie jak w nocy, ale jak podczas burzy. Charakterystyczna, spokojna szarość.

Była sama. To dobrze.

Odrzuciła kołdrę i zwiesiła nogi na podłogę.

Zimno! W pokoju było strasznie zimno. Arden wypuściła powietrze, niemal spodziewając się, że zobaczy parę oddechu. Chłód przyjemnie łagodził rozpaloną skórę i twarz, ale wiedziała, że to nie potrwa długo.

Bolesnie zeszywniała podeszła boso do komody, otworzyła szuflady i zaczęła w nich grzebać, aż znalazła komplet białej, grubej bielizny. Rozebrała się do majtek, założyła kaftanik i kalesony, a potem dżinsy, które Harley pomógł jej zdjąć wczoraj wieczorem. A raczej dziś rano. Pomyślał nawet, żeby przewiesić je przez oparcie krzesła.

Były zimne i sztywne, ale suche.

Z dołu usłyszała twardy, metaliczny szcęk.

Otwieranie i zamykanie drzwiczek pieca.

Jej myśli ześlizgnęły się w przeszłość, straciła orientację. Przez chwilę sądziła, że może wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie miesiące, było

snem, i że jej rodzice żyją. Tato był na dole i dokładał do pieca jabłoniowego drewna, którego słodki aromat docierał do jej pokoju.

To właśnie było najtrudniejsze do zniesienia. Podstęp śmierci, rozdzierające momenty podróży w czasie, kiedy człowiek był rzucony w przeszłość i ściągany z powrotem w teraźniejszość w ułamku sekundy.

W szafie znalazła flanelową koszulę, która kiedyś należała do jej ojca. Założyła ją, a na nią granatową bluzę, którą tym razem zasunęła pod samą brodę. Na nogi włożyła grube, wełniane skarpetki i stare buty do biegania.

Przyjazd tutaj był jednak błędem. W dodatku bała się, że zaczyna wariować.

Czytała kiedyś o miasteczku w Wisconsin, gdzie w połowie XIX wieku w krótkim czasie zwariowali wszyscy mieszkańcy.

Gorączka zabiła większość mieszkańców, ale zaraza perwersyjnie oszczędziła jednego albo dwóch członków każdej rodziny. I to właśnie oni stracili zmysły, bo ludzka psychika może przyjąć tylko określoną dawkę bólu, zanim się załamie. Kiedy widzi za dużo śmierci, nie radzi sobie.

W łazience odkręciła kurek nad umywalką. Rury wypuły powietrze i kilka kropel wody. Nie było prądu, a to oznaczało, że pompa w studni nie działa.

Ale ktoś na dole robił kawę.

Wyszorowała zęby suchą szczoteczką.

Eli. Boże. Kompletnie zapomniała o ich wczorajszej bójce.

Przechyliła się nad wanną i odsunęła zasłonkę, by wyrzeć przez okno.

Ciągle padało. Miała nadzieję, że przestało, że Eli znalazł jakąś benzynę i był już w drodze do domu.

Daniel miał rację. Wiecznie uciekała. Gdyby nie śnieg, teraz też by uciekła.

Powinna zostać w Nowym Meksyku. Co z tego, że żyła tam w zawieszaniu? Każdy człowiek do pewnego stopnia żyje w zawieszaniu. W porównaniu ze wszystkim, co się wydarzyło od jej wyjazdu, zawieszenie było bardzo pożądane. Nie każda nierozwiązana sprawa musi znaleźć rozwiązanie. Nie wszystko dało się rozwiązać, choćby tego bardzo chciała. Otworzyła szafkę z lekami nad umywalką. Znalazła buteleczkę aspiryny i wysypała cztery tabletki na dłoń. Otrząsnęła się, przełykając pigułki na sucho. Nie mogła siedzieć na gorze w nieskończoność. Potrzebowała wody i ciepła. Wróciła do pokoju i ostrożnie położyła się na łóżku, uważając na głowę. Po dziesięciu minutach poddała się i wyszła.

Na podeście schodów zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać.

Odgłosy rozmowy. Franny. Mówiła cicho o college'u.

Arden zaczerpnęła powietrza i zeszła na dół, do salonu.

Cała czwórka siedziała wokół piecyka, z kubkami kawy w dłoniach, zapatrzona w ogień, widoczny przez szklane okienko. Daniel utknął tu wczoraj wieczorem.

Franny spojrzała na nią ze swojego miejsca na podłodze.

- Hej, Arden - rzuciła ostrożnie. Pewnie zastanawiała się, czy znów się rzuci na Elego.

Mężczyźni kiwnęli jej głowami, po czym odwrócili się i niezręcznie patrzyli w podłogę. Tylko Harley uśmiechnął się do niej.

Co tu jest grane?

Czyżby rozmawiali o niej?

Po sekundzie zrozumiała. Myśleli, że przespała się z Harleyem tej nocy. Spacerok wstydu, tak się to nazywa. Wszyscy obecni zakładali, że był seks, ale nikt o tym nie wspominał.

- Chcesz kawy? - zapytał Harley. - Daniel ugotował na piecyku.

- Wolałabym wody. Skąd wzięliście wodę na kawę?

- Daniel napełnił kilka dzbanków, zanim wysiadła elektryczność. Gdyby Arden nie była pijana, sama by o tym pomyślała.

W kuchni znalazła dzbanki ustawione rzędem na blacie. Brała właśnie szklanekę z kredensu, kiedy Harley stanął za nią, objął ją i pocałował w kark. Schyliła głowę i wywinęła się. Ruszył za nią.

- Nie.

- Dlaczego?

Zdjęła pokrywkę z dzbanka, napełniła szklanekę i odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie mogę.

- Czego nie możesz? O co chodzi?

- O nas. O ciebie i o mnie.

- Ktoś przyjechał! - dobiegł ich euforyczny krzyk z salonu.

Nathan Fury wiedział już wszystko, co można było wiedzieć o Richardzie Sheppardzie. O tym, gdzie chodził do ogólniaka. Że pierwszą pracę dostał na stacji benzynowej w Little Canada. Że jego pierwszym samochodem był chevy impala, 350 koni mechanicznych, silnik V-8. Że miał dwójkę dzieci -Sheilę i Briana.

Z teczką w ręce wyskoczył z kabiny pługu, lądując w śniegu po kolana. Wiatr uderzył w niego, wcisnął się pod ubranie na karku. Fury postawił kołnierz marynarki i sięgnął po walizkę, którą podawał mu kierowca.

- Poczekam, aż pan się upewni, że ktoś jest w domu - powiedział Richard. Fury dobiegł do zasypanego samochodu i zmiotł śnieg z tablicy rejestracyjnej.

Wóz Elego Nortona. Wrócił do pługu.

Richard przyglądał się domowi przez przednią szybą, po której szaleńczo machały wycieraczki.

- Czy to farma Davisów? Tu, gdzie zostali zamordowani ci ludzie? To nie jest mój rejon, ale

pamiętam, że słyszałem o tym w wiadomościach. Takie rzeczy się tu nie zdarzają. - Zadrzał, dodał gazu i położył dłoń na dźwigni biegów. - Ale od razu złapali tego faceta. To dobrze, bo nie chciałem wiedzieć, że nadal gdzieś tu krąży.

Fury wymamrotał coś potakująco, podziękował Richardowi, odwrócił się i ruszył do domu. Kiedy dotarł do kuchennych drzwi, uniósł rękę, zawahał się chwilę, wziął głęboki oddech i zastukał.

Otworzył mu brat Arden, Daniel.

Czy Arden wspominała kiedyś bratu o Furym? Czy Daniel pamiętał go po tym jednym, fatalnym dniu, kiedy się poznali?

Za jego plecami Richard zatrąbił, wrzucił bieg i odjechał, wypełniając powietrze ciężkim smrodem spalin z diesla.

Fury wyciągnął skórzane etui z odznaką, otworzył je, przedstawił się i wsunął znaczek z powrotem do kieszeni.

- Czy Arden jest w domu?

Daniel zawahał się, ale w końcu otworzył drzwi szerzej.

- Proszę.

Fury wszedł do środka. Znajoma kuchnia.

- Pan tu był po śmierci moich rodziców - powiedział Daniel, zamykając drzwi.

- Zgadza się.

Przyjechał, kiedy tylko się dowiedział, ale zanim się zjawił, morderca zniknął. Zakładano zresztą, że zniknął, zanim pierwszy policjant dojechał na miejsce zbrodni.

Z początku Fury myślał, że Arden też została zamordowana, ponieważ jej nie odnaleziono, choć samochód stał na podjeździe.

Następną godzinę pamiętał jak przez mgłę.

- Kiedy była mała, chowała się w silosie - powiedział im Daniel.

I tam też znalazł ją Fury. Siedziała pod sarną kopułą, przemarznięta, w szoku. Trzymała się go tak kurczowo, że miał problem z oderwaniem jej od siebie, żeby sanitariusze mogli ją sprowadzić po drabinie.

Wtedy ostatni raz patrzyła na niego, rozpoznając go.

- Fury. Odwrócił się.

A teraz stała w drzwiach do kuchni. Jej poza mówiła: co ty tu robisz, u diabła?

Nie była zachwycona jego widokiem. I wyglądała koszmarnie. Gorzej, niż kiedy widział ją po raz ostatni, jeśli to możliwe. Sińce pod oczami były głębsze i stała się jeszcze chudsza.

Czy ona w ogóle jadła?

Bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła. Usłyszał, jak idzie przez salon, słyszał jej kroki na schodach, aż deski nad jego głową zaskrzypiały i trzasnęły zamykane drzwi.

Daniel stał w rozkroku. Fury posłał mu krzywy uśmiech, niezręcznie dając nim do zrozumienia, że przyjął sytuację do wiadomości.

- Miałem nadzieję, że bardziej się ucieszy na mój widok - powiedział. Daniel uniósł pytająco brew.

Pracownik zarządu dróg był wyjątkiem. Ludzie w tych stronach przeważnie nie gadali bez potrzeby.

Zza rogu wypadł Eli, ubrany w rozpiętą puchową kurtkę, ściskając w ręce czapkę.

- Co jest? - Nie mógł złapać tchu. - Czy ten facet z plugiem odjechał? Wróci jeszcze? Chyba słyszałem, jak odjeżdża.

- Drogi są zamknięte - powiedział Fury. - Kierowca pojechał do domu, żeby przeczekać burzę. Nikt nigdzie nie pojedzie przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Eli patrzył na Fury'ego oczyma pełnymi niedowierzania, z taką miną, jakby miał się rozpłakać.

Po chwili rzucił czapkę, odwrócił się i wściekłym krokiem wyszedł z kuchni.

Daniel założył ręce na piersi i prychnął szyderczo.
- Witamy w Piekielnym Hotelu. Widać sarkazm był u nich rodzinny.

Rozdział 35

Ludzie żartowali sobie z traperskiej depresji, ale Elemu jakoś nie było do śmiechu, bo traperska depresja istniała naprawdę. Ta fizyczna izolacja go przerastała i czuł, że wariuje na samą myśl o tym, że za rogiem nie ma pizzerii, kawiarni ani teatru. Za rogiem było tylko pole. Za nim - kolejne pole. Dalej może dolina czy lasek, i znów pole.

Nie wyglądało na to, żeby śnieżycy miała zamiar osłabnąć. Facet od pogody w małym, brzękliwym, przenośnym radjku potwierdzał to.

Ale atmosfera w domu była gorsza niż poza domem. Arden nie chciała wyjść ze swojego pokoju. Harley spędził większą część dnia skamłając pod jej drzwiami i usiłując ją skusić jedzeniem albo kawą. Znalazł nawet czekoladę, ale Arden się nie złamała.

Byli ze sobą wczoraj w nocy. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet jeśli nic nie zostało powiedziane. Wydawało się, że nawet Fury to skumał, a przecież jego nie było w domu.

Jak na razie Fury nie próbował rozmawiać z Arden, która w odczuciu Ele-go wciąż była tu szefem, chociaż mocno popieprzonym. Ale tacy już są agenci FBI. Wiecznie tylko czekają i obserwują. Bardziej jak koty niż jak ludzie. Teraz Fury wylegiwał się na kanapie bez płaszcza i krawata, i zachowywał się tak, jakby właśnie wpadł z wizytą.

Harley weszły pod drzwiami Arden albo tłukł się po kuchni, reszta postanowiła zagrać w Monopoly. Eli nie cierpiał Monopoly. To był chyba najnudniejszy hołd dla konsumpcjonizmu, jaki można sobie wyobrazić. Był zaskoczony i przerażony, że Franny zgodziła się zagrać.

No jasne. Daniel to zaproponował.

Usadowili się w pobliżu piecyka. Fury zajął jeden koniec kanapy, Eli drugi. Franny i Daniel siedzieli na podłodze, plansza leżała na stoliku do kawy.

Monopoly było do kitu, ale zwykle dobrze się przy nim gadało. Agent FBI nie miał zamiaru puścić farby, tylko Franny potrafiła kłapać paszczą jak najęta, kiedy trafiło się w temat. I jeśli odpowiednia osoba była pod ręką.

Dziesięć minut po rozpoczęciu gry zaczęła opowiadać Danielowi historię swojego życia. A on wyglądał na zadowolonego.

Eli znał już ten scenariusz. Znowu było tak jak z Noahem. Zainteresowanie Franny.

Natychmiastowe zauroczenie nowym facetem, choć Eli siedział tutaj, tuż przed nią.

Kiedy się wreszcie nauczy, że nigdy nie będzie dla niej kimś ważnym? Że zawsze będzie go traktowała jak kumpla, i nic więcej?

Zdał sobie sprawę, że Harley nie przechodził koło nich od jakiegoś czasu. Na górze panowała cisza.

Czy byli tam razem? Boże, to chore. Nie to, że mogą uprawiać seks, nie, chodziło o ten dom. O to, że robili to w domu, gdzie zamordowano rodziców Arden. To takie nie w porządku. Najgorsza karma, jaka może być. No i Harley nie był raczej szczytem marzeń. Ale może Arden lubiła takich facetów, silnych i głupich.

Eli spojrział na Daniela, mrużąc oczy. Silny, ale nie głupi. Przynajmniej nie wyglądał na głupiego. Trudno powiedzieć, kiedy ktoś tak mało mówi.

- Twoja kolej.

Głos Franny wyrwał go z zamyślenia. Podawała mu dwie kości do gry. Wziął je i rzucił, a potem przesunął pionek.

- To jak, przyjechał pan nas aresztować? - zapytał Fury'ego. To by było fatalne. Naprawdę

fatalne.

Fury uśmiechnął się.

- Jesteście poszukiwani w celu złożenia zeznań, tylko tyle.

Nie, to nie to. Nie wysyłaliby samotnego agenta, żeby ich sprowadził z powrotem. Eli nie był taki głupi.

Nigdy nie ufał Fury'emu. Fury był tylko fasadą. Co ukrywał, tego nie wiedział, ale z całą pewnością ten facet miał jakieś własne cele.

Po dwóch godzinach Fury oparł się o plecy kanapy.

- Ja mam dość.

Miał hotel i dwa domy. Większość nieruchomości Elego była zastawiona, a on sam siedział w więzieniu. Franny i Danielowi poszło lepiej. Gdyby złożyli do kupy swoje zasoby, byłiby właścicielami ponad połowy planszy.

Lepiej spiszcie intercyzę.

- Ja też mam dość - powiedział Eli. Musiał wyjść.

Zerwał się na nogi, złapał grubą, puchową kurtkę, którą znalazł w szafie, i włożył ją.

Franny, siedząca po turecku na podłodze koło piecyka, spojrzała na niego. Złożyła planszę do gry i zsunęła czerwone i zielone pionki do pudełka.

- Gdzie idziesz?

- Na dwór. - Eli włożył też brązową czapkę i rękawiczki. - Żeby się zorientować w pogodzie i jak głęboki jest śnieg.

Ziewnęła.

- Chce mi się spać. Chyba się położę.

Agent FBI już drzemał na kanapie. Prawdopodobnie nie spał całą noc, szpiegując ich, śledząc i w ogóle węsząc.

Eli nie mógł uwierzyć, że sam chciał kiedyś zostać agentem FBI. Oszalał, czy co? Tak.

Ależ był z niego żaloszny dupek.

Wyszedł kuchennymi drzwiami.

Kiedy znalazł się na dworze, wiatr uderzył go w twarz, odbierając oddech. Śnieg sięgał miejscami powyżej kolan, wypełnił wysokie buty, też znalezione w szafie.

Trudno uwierzyć, że w Stanach Zjednoczonych można być tak bardzo odciętym od reszty świata.

Eli nie wierzył. Był przekonany, że niedługo zjawi się pług, a kiedy już się zjawi, on chciał być gotowy.

Przypomniał sobie historię o pionierach, którzy zgubili się w śnieżycy i zamarli kilka metrów od własnego domu.

Obciach, ale może się zdarzyć.

Niebo było ciemnoszare jak łupek, tak bliskie, że dało się dotknąć, zupełnie jakby spadło na ziemię. Nadchodził wieczór, ale szarość wisiała nad nimi cały dzień, niezmienna.

Eli był chłopakiem z miasta, ale jego rytm napędzały wschody i zachody słońca, jak u każdego innego człowieka. Kiedy słońce nie wschodziło i nie zachodziło, czuł się zagubiony, wytracony z równowagi. Niespokojny i drażliwy.

Śnieg wciąż padał gęsto, pogłębiając uczucie klaustrofobii - tworzył ścianę, za którą nic nie było widać, ale przez którą dało się przejść, choć jej miękkość była zwodnicza. Jego ramiona pokrywała już solidna, biała warstwa, pękająca przy każdym ruchu.

Jakby mało było braku widoczności, dźwięki też zrobiły się przytłumione. Ktoś mógł stać tuż obok, a człowiek nawet by o tym nie wiedział.

Jak ludzie bronią się przed obłędem?

Bezskutecznie.

Śnieg się zmienił. Albo jego postrzeganie śniegu się zmieniło. Biały puch przestał być przeszkodą, a stał się kocem.

Eli czuł niemal, że śnieg go pociesza. Mówi, że wszystko będzie dobrze. On jest przecież tylko jednym człowiekiem, jednym płatkim śniegu. Tutaj. Teraz. Walczącym... o co? Świat będzie się kręcił bez niego. Świat sobie poradzi bez niego. Usłyszał w głowie jakiś głos. Ten głos nie należał do niego, ale jednocześnie wydawał się jego.

Tego dnia mocno sypał śnieg. Prawdziwy, bożonarodzeniowy śnieg; wiedziało się, że wszystko zacznie się skrzyć, kiedy wyjdzie słońce.

Eli natychmiast go poznał.

Albert French.

Świadomość tego powinna go przerazić albo przynajmniej zaniepokoić. Ale głos był jak śnieg: niebezpieczny, a jednocześnie przynoszący pociechę.

Nagle Albert French był tu z nim. Obserwował go. Prowadził.

Eli poczuł się wyjątkowy.

Zawsze wyobrażał sobie, że właśnie tak czułby się na Abbey Road, w studiu i na samej ulicy.

Gdyby zobaczył nagranie Beatlesów.

Ilu ludzi odtworzyło scenkę z okładki *Abbey Road*? Ilu zdjęło buty, by przejść przez ulicę?

Niewielu miało odwagę to zrobić. Ale po co robić coś, jeśli nie ma się zamiaru zrobić tego do końca? Po co robić coś w połowie?

Jeśli chcesz kogoś zabić, zrób to. Nie śnij o tym. Nie gadaj. Zrób to. I zrób to dobrze.

Dziękuję, panie French.

Zeszłej nocy lampy na podwórku się paliły, teraz tylko gapiły się na niego pustymi oczami.

Szedł z trudem, próbując się trzymać drogi. Nie mógł zbyt wysoko unosić nóg, bo śnieg był za głęboki. Musiał w nim brodzić.

Dotarł do stoku, prowadzącego do stodoły.

Ziemia uciekła mu spod stóp i poleciał do przodu. Potoczył się, pchany siłą ciężenia. Śnieg wdierał mu się za kołnierz, za spodnie, odnalazł cienki pasek nagiej skóry między skarpetkami i brzegiem dżinsów.

To obrzydliwe, jak jakieś pionierskie życie. Kto by chciał tak żyć? Pieprzeni idioci, dwoje pieprzonych idiotów. Nic dziwnego, że ktoś zabił ich rodziców. Głupi ludzie zasługują na śmierć. U stóp wzgórza było ciemniej. Może dlatego, że teraz znajdował się w dolince, a może po prostu nareszcie nadeszła noc.

Nie tak trudno otworzyć wrota stodoły. Nawet to poręczne, że można je było przesunąć i nie siłować się z nagromadzonym śniegiem.

Ciemność stawała się głębsza.

Otworzył wrota do końca, by wpuścić możliwie jak najwięcej światła.

Stała tu furgonetka Daniela. Na pace leżał czerwony, plastikowy kanister.

Eli pospiesznie spojrział na ścianę, ominął wzrokiem narzędzia i łańcuchy, aż w końcu natrafił na zielony, ogrodniczy wąż.

Podszedł bliżej i ściągnął wąż z kołka. Ostрым narzędziem do przycinania gałęzi odciął mniej więcej trzy metry. Otworzył plastikowy kanister i postawił

go na ziemi u swoich stóp. Odkręcił korek wlewu w furgonetce Daniela i wsunął jeden koniec węża do baku. Drugi przyłożył do ust i zassał.

Nic.

Wziął kilka głębokich wdechów i zassał jeszcze raz.

Czuł, jak benzyna idzie, ale trochę jeszcze brakowało. Kiedy przestawał ssać, płyn opadał z powrotem do baku.

Eli wziął kolejny wdech i pociągnął jeszcze raz, tym razem mocniej. Zaczynało mu szumieć w

głowie - od nadmiaru wysiłku i oparów.

Nagle benzyna popłynęła do ust. Zachłysnął się i wciągnął ciecz do płuc. Upuścił wąż, ochlapując sobie kurtkę, spodnie i buty. Czuł, jak trujący płyn wpada do żołądka.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk i obrócił się.

- Pomocy!

Ręka w rękawiczce uniosła jego podbródek. Ktoś tu był. Ktoś, kto pomoże.

- Otwórz usta. Usłuchał.

W ciemności pojawiła się zapalniczka. Szybkie pstryknięcie, duży płomień. Eli wciągnął powietrze.

I nagle stał się człowiekiem-pochodnią. Wrzeszcząc, z płomieniami buchającymi z ust, pobiegł do drzwi.

Rozdział 36

Arden usłyszała jakieś poruszenie na dole. To głos Franny, podniesiony alarmująco. Nie mogła odróżnić słów, ale ton graniczył z histerią. Odpowiadały jej męskie głosy.

Niech ktoś inny zajmie się tą sprawą.

Nic nie jest realne.

To też nie jest realne.

Była w komorze, śniąc sen, z którego nie mogła się obudzić. Karmiona cudzą rzeczywistością. Ale hałas na dole nie ustawał.

Nalegający głos Franny. Szuranie krzeseł po podłodze. Kroki stóp w ciężkich butach. Odgłosy ludzi przygotowujących się do wyjścia. Zbierających do drogi.

Czyżby płóg się tu przebił? Czy to Fraany i Eli odjeżdżają?

Trzasnęły drzwi. Potem nastąpiła cisza, a po chwili przytłumione głosy, wołające Elego.

Arden rozsunała śpiwór, w którym zagrzebała się wcześniej.

W pokoju było tak ciemno, że bardziej się już nie dało. Musiała wymacać sobie drogę do drzwi, a potem dalej, korytarzem. Trzymała się gładkiej, drewnianej poręczy, schodząc stopień po stopniu, aż jej stopy w grubych, wełnianych skarpetach nareszcie stanęły na podłodze parteru.

W salonie piecyk dawał trochę światła. Obok niego paliły się dwie świece, wetknięte w przejrzyste lichtarzyki.

Przez jadalnię, do kuchni.

Pod rondlem zostawiono zapalony gaz. Zakręciła palnik. Niebieski płomień zniknął; jedynym źródłem światła była teraz lampa naftowa. Tato upierał się przy gazowej kuchence. Kiedy się miało gazową kuchenkę, można było gotować nawet wtedy, kiedy nie było prądu.

Na stole leżała cała kolekcja latarek i latarń, najprawdopodobniej zostawiona tu przez Daniela.

Arden wypróbowała kilka, w końcu zdecydowała się na czarną latarkę z żarówką typu LED, którą dała ojcu na urodziny. Była droga, ale o wiele jaśniejsza niż te, których zwykle używał.

Wyciągnęła z szafy parę ocieplanych butów i założyła je, wtykając nogawki spodni w cholewki, zanim zawiązała sznurówki. Wcisnęła czarną puchową kurtkę, czarną czapkę i parę grubych rękawic.

Zgasiła lampę naftową i wyszła na dwór.

Wiatr i śnieg natychmiast wcisnęły się jej pod kołnierz. Pożałowała, że nie wzięła szalika.

Nawoływania ucichły, bo zorganizowana naprędce ekipa poszukiwawcza oddaliła się od domu.

Arden ruszyła do samochodu Elego, który wciąż stał porzucony na podjeździe. Odgarnęła śnieg i zaświeciła w okienko kierowcy, potem okrążyła auto. Otworzyła drzwiczki od strony pasażera.

Zapaliła się lampka pod sufitem.

Na wycieraczkach na podłodze widać było przymarznięte, śnieżne ślady butów - ale mogły

zostać od wczoraj. Nie znalazła nic, co wskazywałoby, że ktoś był tu niedawno.

- Możesz odejść z FBI - rozległ się głos tuż za nią - ale nie przestaniesz być agentem.

Nathan Fury.

Była na tyle dobrze wychowana, by nie oślepić go latarką, kiedy prostowała się i zamykała drzwiczki.

- To sprzęt z FBI? zapytał.

Uniosła latarkę, by mógł się jej lepiej przyjrzeć.

- Wyposażenie farmy.

- Zobaczyłem cię z drugiego końca podwórka. Zawsze narzekałem, że LED-y są bardzo skuteczne, kiedy się chce coś zobaczyć, ale równie skutecznie ściągają na człowieka ogień.

- Nie muszę się już o to martwić.

Powinnaś zejść i przyłączyć się do nas - powiedział. - Świetnie się bawiliśmy. Trudno uwierzyć, że Fury kiedykolwiek się bawi.

- Tak?

- Graliśmy w monopol.

- Kto wygrał?

Zachowywał się, jakby to było normalne.

- A rozegrałaś kiedyś partię monopolu, w której ktoś wygrał? Przyznała mu rację mruknięciem.

- Znaleźliście Elego? - zapytała.

- Nie.

- Jesteście pewni, że nie ma go w domu?

- Wyszedł na dwór jakieś dwie godziny temu. Nie ma butów i kurtki.

- Czyżby był tak głupi, żeby próbować pójść gdzieś pieszo?

- Też się nad tym zastanawiałem. Jakiś czas temu Daniel powiedział, że nasze komórki mogą złapać zasięg na wzniesieniu, jakieś dwa kilometry stąd.

- Na serpentynie - powiedziała Arden.

- Tak, tak mówił.

Fury nie miał latarki. Opatulony w czarną, wełnianą kurtkę, ręce wcisnął głęboko w kieszenie, ramiona przygarbił dla osłony przed wiatrem. Był z gołą głowę, na nogach miał zielone kozaki do kolan, mniej więcej z siedemdziesiątego roku.

Kiedy się mieszkało na farmie, pod ręką zawsze było pełno zimowych ciuchów.

- Powinieneś włożyć czapkę - powiedziała. - Dlaczego ludzie z miasta czują taką niechęć do ciepłych czapek?

Kiwnął rękami w kieszeniach.

- Bo ciepłe czapki są paskudne? Szczera odpowiedź.

- Idę sprawdzić stodołę. - Ruszyła przed siebie. Fury dogonił ją i wyrównał krok.

Światło latarki odbijało się oślepiająco od gęsto padającego śniegu. Kiedy trzymała ją przechyloną w dół, jak krótkie światła samochodu, blask nie był tak jasny.

Szli, trzymając się niewidocznej drogi; Arden orientowała się w kierunku dzięki znajomym punktom orientacyjnym. „Szli” to nie było właściwe słowo. Raczej brnęli, bo niektóre zasy py sięgały do wysokości uda.

Szkoda, że nie włożyła kombinezonu.

Może dziś wieczorem zagramy w szarady - powiedział Fury.

- A może w kim jestem? - zaproponowała.

-- Zdaje się, że ty wolałabyś grać w prawdę i fałsz albo w butelkę. Zatrzymała się. Fury też.

- Chodzi ci o Harleya? - Wciąż świeciła latarką na buty. Westchnął.

- Powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego chodzisz do łóżka z mężczyznami, którzy nie

dorównują ci umysłowo.

- Jesteś agentem FBI czy psychoanalitykiem?

- Pewnie dlatego, że nie chcesz, żeby ktoś dokopał się pod powierzchnię. Pragniesz czułości, seksualnej satysfakcji, ale nie bliskości emocjonalnej.

Serce jej łomotało, choć sama nie wiedziała, dlaczego.

- Nie mówisz niczego, czego bym nie wiedziała. - Roześmiała się szorstko. - Kto by pomyślał, że jesteś takim idealistą? Taką przesłodzoną pocztówką?

- To nie w porządku wobec Harleya - powiedział.

Palce u rąk i nóg miała lodowate. Zaczynało jej ciec z nosa. Pociągnęła nim.

- A ty byłbyś bardziej odpowiednią zdobyczą? O to tak naprawdę chodzi?

- Nie bawię się w przypadkowy seks.

Arden słyszała, jak Franny i Harley wołają Elego; ich głosy dobiegały od strony stodoły. Nie mogły zabrznieć w lepszym momencie.

- To nie twój cholerny interes - powiedziała - ale nie spałam z Harleyem. Tak, spaliśmy razem, ale nie uprawialiśmy seksu.

Odwróciła się i poszła. Serce wciąż jej waliło.

Łukiem zeszła do stodoły, trzymając się szlaku poruszonego niedawno śniegu. Odsunęła wrota i natychmiast uderzył ją zawieszisty smród oparów benzyny.

Oświetliła latarką niebieską furgonetkę Daniela.

Wlew benzyny był otwarty, na ziemi stał plastikowy kanister, obok leżał kawał ogrodowego węża.

- Nie potrzebujemy detektywa, żeby się domyślić, co kombinował - powiedział Fury.

Nagle pojawiła się cała ekipa poszukiwawcza, przyciągnięta hałasem i światłem.

- Mówiłem, że pomogą mi ściągnąć tę benzynę - powiedział Daniel.

- Co to za zapach? - Franny przyłożyła do nosa rękawicę z jednym palcem. - Jak przypalone włosy.

- Faktycznie. - Harley oświetlił latarką ściany stodoły, wodząc promieniem w stronę boksów i z powrotem.

Arden skierowała światło na ziemię.

- Ktoś tu coś ciągnął - powiedział Fury.

Miał rację. Ślady ciągnięcia zaczynały się w miejscu, które wyglądało na wypalone. Spojrzała mu w oczy. Tu się dzieje coś złego.

- Pamiętam, jak kiedyś, kiedy byłam mała, niechcący podpaliłam sobie włosy

- powiedziała Franny. - Zapalałam świecę w dyni i poczułam jakiś okropny zapach, ale nie wiedziałam, co to jest. A potem zobaczyłam, że włosy znikają.

Daniel się roześmiał.

Arden i Fury skupili uwagę na śladach i ruszyli za nimi do miejsca, gdzie ginęły w śniegu za drzwiami stodoły.

- Mówiliście, że od kiedy go nie ma? - zapytała Arden.

- Przynajmniej dwie godziny.

- Przez dwie godziny napadało pewnie z dziesięć centymetrów śniegu. --Staneła w otwartych wrotach i omiotła światłem ziemię najpierw w lewo, potem w prawo, szukając zagłębienia.

Zaspy tworzyły się wręcz na jej oczach.

- Musimy ustawić się w szeregu i ruszyć wachlarzem - powiedziała. Daniel stanął obok niej.

- Myślisz, że się niechcący podpalił - zapytał cicho - i wybiegł ze stodoły? Albo wyczołgał się z niej?

- Może. - To był najbardziej prawdopodobny scenariusz. Najmniej złowrogi scenariusz.

Arden kusilo, by podążyć myślami w kierunku, w którym nie chciała podążać, ale zakazała sobie tego i skupiła się na poszukiwaniach.

Przeszukiwali teren, idąc rzędem i przegarniając śnieg butami; ścieżka lewego buta Arden spotykała się ze ścieżką prawego buta Fury'ego, i tak dalej
- dzięki temu nie pozostawiali nieprzeszukanych miejsc. Franny krzyknęła.

Podbiegli, świecąc latarkami po ziemi. Na wpół przykryty śniegiem leżał Eli. Arden i Fury zaczęli kopać. Miał spaloną twarz, niemal nie do rozpoznania. I gardło poderżnięte od ucha do ucha. Tak jak u Very Thompson. Jak u matki i ojca Arden. Arden ściągnęła rękawiczki i poszukała pulsu, choć wiedziała, że go nie znajdzie.

- Cz-czy on nie żyje? - zapytała Franny z bezpiecznej odległości.

- Tak. - To Fury.

- Nie rozumiem - powiedziała Franny. -Nie był taki głupi, żeby używać ognia przy benzynie.

Jeszcze nie rozumiała. Było za ciemno i stała zbyt daleko, by zobaczyć gardło Elega.

Arden wyprostowała się.

Żadna ekipa śledcza nie mogła do nich dotrzeć, co najmniej jeszcze przez jeden dzień. Musieli znaleźć miejsce, w którym można umieścić ciało. Miejsce, w którym nie zostałyby zjedzone przez kojoty i wilki.

- Eli nie podpalił się przypadkowo - powiedziała cicho. - Ma podcięte gardło. To morderstwo.

Franny zachłysnęła się i zrobiła chwiejny krok do tyłu.

- Boże!

Harley, stojący tuż obok, zawtórował jej zduszonym szlochem niedowierzania.

Franny obróciła się na pięcie i zaczęła biec, ale była zbyt roztrzęsiona, a śnieg zbyt głęboki.

Potknęła się.

Harley dogonił ją i złapał za rękę, kiedy ze szlochem padła na kolana.

- Kto to zrobił? - zapytał Daniel.

Umysł Arden pracował na pełnych obrotach, rozważając jedną możliwość po drugiej. Szybko rozejrzała się dookoła. Czy morderca wciąż gdzieś tam był? Obserwował ich?

- Jesteś uzbrojony? - zapytała Fury'ego.

Kiwnął głową i poklepał się po kurtce, w miejscu, gdzie miał szelki z kaburą.

- Ktoś mógł tu przyjść pieszo - powiedział powoli, jakby nie myślał o własnych słowach, ale koncentrował się na czymś, co chodziło mu po głowie.

- Albo śnieżnym skuterem - dodała Arden. - Tylko skuter śnieżny prawdopodobnie byśmy usłyszeli, chyba że pozostał poza zasięgiem słuchu.

- A motyw? - zapytał Fury.

Kiedy zabito jej rodziców, nie było motywu, wyłącznie żądza krwi, popęd zabijania.

- Czy to mogła być ta sama osoba? - szepnęła do Fury'ego, nie chcąc, żeby pozostali usłyszeli. I tak byli już na granicy hysterii.

Nie musiała wyjaśniać, o kogo jej chodzi.

- Nie wiem. - W głosie Fury'ego brzmiała konsternacja.

- Dlaczego tu przyjechaliśmy? - Głos Franny narastał z każdym słowem. - Jaki to miało cel? To niedobre miejsce. Pełne zła. Eli tak powiedział już pierwszej nocy. Żyłby, gdybyśmy zostali w Madeline, gdybyśmy nie uciekli.

Miała rację. To była wina Arden. Po raz kolejny wciągnęła niewinnych ludzi we własny koszmar.

Rozdział 37

Daniel Davis zrobił to, co zrobiłby każdy Amerykanin z krwi i kości w jego sytuacji - poszedł po broń. Wszedł do stodoły i szarpnięciem otworzył drzwiczki furgonetki. Zapaliło się światelko

pod sufitem; spojrzenie Daniela natychmiast powędrowało na podłogę. Strzelby nie było. Odchylił oparcie kanapy, by dostać się do bagażnika, gdzie czasem trzymał karabinek. Nie było go tam.

Serce zaczęło mu walić jeszcze mocniej.

Chryste.

Szybko powtórzył w myśli sekwencję wydarzeń, począwszy od bójki z obrońcą Arden.

Schował strzelbę do samochodu. Był tego pewien. Tu ją trzymał. Zawsze ją tu trzymał.

Pchnął oparcie, aż zapadki zaskoczyły, i sięgnął do schowka w desce rozdzielczej. Pudełko nabojów, które tu schował, też zniknęło. Z pochyloną głową wycofał się z kabiny, zatrzasnął drzwiczki i wybiegł ze stodoły, bujając promieniem latarki.

Arden i Nathan Fury siedzieli po pas w śniegu zabarwionym na czerwono, po dwóch stronach zabitego chłopaka.

Daniel był na paru polowaniach na jelenie. Widywał już taki śnieg.

- Moja dwudziestkadwójka zniknęła oznajmił napiętym głosem, który brzmiał obco w jego własnych uszach.

Siostra uniosła głowę. Śnieg padał jej teraz na twarz, zaczepiał się o rzęsy. W przyćmionym świetle nie było widać sińców pod oczami ani zapadniętych policzków. Przez sekundę mógł sobie niemal wyobrazić, że znów są dziećmi i pomagajątacie nakarmić inwentarz przed kolacją w ciepłym domu.

Prawie.

- Strzelba - powtórzył. - Była w furgonecie. Nie ma jej.

Gdzieś w ciemności, poza przygaszonym przez padający śnieg kręgiem światła, Franny jęknęła przerażona, a Harley-goryl wydał jakiś pocieszający pomruk, który obudził w Danielu iskrę irytacji. Przez ułamek sekundy sam miał ochotę ją pocieszyć. Ale kimże on był, żeby mówić, że wszystko będzie dobrze - skoro wiedział, że nie będzie dobrze?

- Zgaście światła. - Arden wyłączyła latarkę. Daniel zrobił to samo.

Pomyślał, że popada w paranoję. Miał taką nadzieję, ale Arden najwyraźniej myślała tak samo - że ktoś gdzieś tam ich obserwuje.

Zawsze go zaskakiwało to, jak może być ciemno, kiedy nie ma gwiazd, księżycy ani światła z ludzkich siedzib.

Ludzie są tacy bezbronni, tacy cholernie nieporadni.

Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Ktoś jest w pobliżu. Ten ktoś ma broń. Jego broń.

Franny miała rację, to wina Arden. Już raz sprowadziła zło i śmierć. Teraz zrobiła to znowu.

- Wszyscy do domu — powiedział Fury.

- A c-co z Elim? - zapytała Franny. Jej głos drżał z przerażenia.

Daniel wyrósł w świecie, gdzie większość kobiet siedziała w domu i wychowywała dzieci. Wiele z nich nie miało wykształcenia, a mężczyźni opiekowali się nimi. Franny ze swoimi kolczykami i kruczymi włosami reprezentowała świat, o którym niewiele wiedział, egzotyczny i obcy. Ale w ciemności jej głos brzmiał tak jak głos każdej przerażonej dziewczyny. A tam, gdzie żył Daniel, mężczyźni bronili kobiet.

Ruszył w kierunku szlochania i dotknął rękawa jej kurtki.

- Weź mnie za rękę.

Ścisnęła jego dłoń w rękawicze.

Tylko on i Arden znali najbliższe okolice farmy, a Arden mogła przecież nie pamiętać czy nawet nie znać dokładnej lokalizacji kamiennego muru i przykrytej studni.

Miał dobre wyczucie kierunku, nawet po ciemku.

- Co z Elim? - zapytała znów Franny.

- Nic mu nie będzie.

Było to kłamstwo. Nie byłoby dobrze zostawiać tutaj ciała. Zwierzęta przyjdą, kiedy tylko śnieżyca ustanie.

Kojoty były wszędzie. W nocy słyhać było ich wycie, przypominające okrzyki bólu. Całe stado wspinały się na okrągłe bele słomy, leżące rzędami na polach, i wyły do księżyca. Ilekroć Daniel je słyszał, przypominały mu się rysunki ze szkółki niedzielnej, które miały zaszczerpić w dzieciach strach przed piekłem. Obrazki ludzi wrzeszczących i błagalnie wyciągających ręce do nieba, kiedy płomienie piekielne smażyły ich na skwarki.

W ciemności tuż obok rozległ się głos Arden.

- Musimy wejść do środka - powiedziała. - Nie możemy już nic zrobić dla Elego, mamy chronić siebie.

Jednak zjedzą go te zwierzęta. Do jutra, najdalej pojutrze, Elego nie będzie. Daniel widział kiedyś martwą krowę, ogryzioną do kości w parę godzin. Mięso to mięso. Jedzenie to jedzenie. Ruszyli gęsiego, trzymając się za ręce. Daniel prowadził.

Ślizgali się i potykali. Kiedy przewracało się jedno, przewracali się wszyscy. Upadki dezorientowały Daniela, sprawiały, że co chwilę gubił drogę do domu.

Dyszeli ciężko ze strachu i z wysiłku, zmagając się z naturą. Daniel pocieszał się tylko tym, że śnieg i ciemność utrudniają zadanie także temu, kto czai się w mroku, mordercy Elego.

Znajome punkty w okolicach naprowadzały go na właściwą drogę: kamienny mur, skręcający za stodołę. Noga starego wiatraka. Róg garażu.

Chodnikiem dotarli do kuchennych drzwi. Przez cały czas Daniel czuł dłoń w rękawicze, ściskającą mocno jego rękę. Czuł się dumny, dzielny i troskliwy jednocześnie. Jak mężczyzna, nie chłopak.

- A jeśli morderca jest w domu? - szepnęła Franny. Mogło tak być.

- Nie możemy zostać na dworze - odparł Daniel. Nathan Fury wystąpił naprzód.

- Ja wejdę pierwszy.

Rozdział 38

Fury rozpiął kurtkę. Sztywnymi, zmarzniętymi palcami z trudem wysupłał z kabury glocka 23. Z lufą wycelowaną w niebo przesunął się obok Daniela.

- Daj mi swoją latarkę.

Wyciągnął rękę i Daniel wetknął mu latarkę w dłoń. W kuchni Fury zapalił ją i przyłożył do pistoletu, tak by lufa i strumień światła były wycelowane w tym samym kierunku.

Miał przecucie, że ten popis - to upewnianie się, że dom jest pusty - jest wyłącznie popisem.

Wątpił, żeby ktoś był w budynku.

Od dawna żywił podejrzenia, od tamtego zimowego dnia, kiedy znalazł Arden na szczycie silosu na kukurydzę, patrzącą na niego na wpół oszalałymi oczami. A nawet wcześniej, kiedy jeszcze był w programie OZ.

Cały ten czas dręczyły go myśli i pragnienia, które nie należały do niego. Czasem przyłapywał się na tym, że bawi się myślą o morderstwie popełnionym z zimną krwią. Nie musiał się zastanawiać, jakie to uczucie. Wiedział, że byłoby to ekscytujące i erotyczne przeżycie, najwspanialszy kop w jego życiu.

Nigdy nikomu nie powiedział o tych myślach. Wstydził się ich i wtedy jeszcze wierzył, że jego reakcja na indoktrynację jest anomalią.

Arden znalazła się nagle tuż za jego prawym ramieniem.

Kiedyś nosiła glocka 23 przy pasku i jednostrzałowego smith & wessona przypiętego do kostki. Było prawie jak za dawnych czasów. Na chwilę udało mu się zapomnieć o wszystkim, co zaszło. Omiótł snopem światła kuchnię, sprawdzając, czy na podłodze nie ma świeżego śniegu albo

mokrych śladów.

- Nie wygląda na to, żeby ktoś tu był.

Śmierć wisiała w powietrzu, otaczała ich ze wszystkich stron. Farma, ziemia - wszystko było naznaczone śmiercią. Ten dom był grobem, świątynią zła, rozpacz i czynów, o których nie dało się mówić. Głos Frencha wrócił do niego, Fury niemal widział oczy mordercy, wpatrujące się w niego zza szyby w komorze śmierci.

Niczego nie żałuję. Zrobiłbym to wszystko jeszcze raz, gdybym miał okazję.

Krew.

Spojrzał w dół i zobaczył ciemne smugi na dłoniach. Były gęste i pachniały gorzko, życiem i śmiercią jednocześnie.

Krew Elego.

Z całą pewnością nie zabił go French.

Ale to był ten sam dom i ten sam sposób działania.

Czy dom może wpędzić ludzi w obłąd? Czy może sprawić, że będą robić rzeczy, których normalnie by nie zrobili?

Razem z Arden przeszli przez kuchnię, jadalnię, salon. Słyszeli, że pozostali weszli do kuchni.

Zatrzymali się, zbici w kupkę, tuż za drzwiami.

Fury omiótł promieniem światła podłogę przed drzwiami prowadzącymi na ganek.

Chciał znaleźć obcego.

Żadnych mokrych plam. Żadnych śladów niedawnego wejścia.

Potem korytarz, szybka inspekcja sypialni.

Niezaścielone łóżko, zawalone zmietymi prześcieradłami i ręcznie szitymi kołdrami. Plecak. Na toaletce odtwarzacz MP3 i słuchawki.

Pokój Elego.

Wypełniał go typowy zapach dwudziestoparolatków. Egzotyczna mieszanka korzeni i kadzidełek, przyjemna woń młodych, zdrowych ciał.

Arden pociągnęła go za kurtkę.

- Góra - szepnęła.

Przebywanie w pokoju Elego wytręcało ją z równowagi. Weszli po schodach. Kiedy dotarli na piętro, Fury podniósł głos po raz pierwszy, odkąd weszli do domu.

- Tu nikogo nie ma.

- Chcę zobaczyć wszystko.

Zawsze taka była. Musiała wszystko zobaczyć na własne oczy, choć z logicznego punktu widzenia fakty były oczywiste.

Poszli wąskim korytarzem ze skrzypiącą podłogą.

Drzwi do łazienki.

Wanna na nóżkach, zasłonka prysznicowa odciągnięta na bok. Żadnej kryjówki.

Obok umywalki na nodze stał mały, drewniany stołek ze schodkiem, na którym Arden pewnie stawała jako dziecko, kiedy myła zęby.

- Łazienka w porządku - powiedział Fury. Ruszyli dalej korytarzem, mijając małą sypialnię.

- Czysto.

Potem kolejną - pokój Arden. Też pusty.

W końcu zatrzymali się przed drzwiami głównej sypialni.

Perfumy.

Zapach był bardzo silny.

- *Fiolet*. Tak się nazywają - powiedziała Arden zza jego pleców.

- Poczekaj tutaj - rzucił.

Poczuł jej dłoń na plecach; popchnęła go lekko do przodu i weszła za nim do pokoju. Nie lubiła chodzić za kimś ani tego, że ktoś mówił jej, co ma robić. Gdyby miała broń, byłaby w środku pierwsza.

Fury zatrzymał się kilka kroków od łóżka, na którym została zamordowana matka Arden. W powietrzu wisiał duszący zapach perfum.

Fury zakonotował sobie, by nigdy nikomu nie kupować tego zapachu w prezencie.

Obrócił się. Był piekielnie zmarznięty, od dawna nie czuł stóp. Arden miała rację. Był facetem z miasta, nieprzygotowanym na zimno. Głupio z jego strony.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

Spojrzała na niego wilkiem. Sińce pod jej oczami stały się wyraźniejsze w świetle latarki.

O co chodzi? - zapytała.

Z jej tonu zorientował się, że rozprasza ją ten pokój i że nie słucha go z uwagą.

- Mam teorię.

Arden zerknęła nerwowo na łóżko.

- Wyjdźmy stąd - powiedziała. Poczekaj.

Złapał ją za ramię, zanim zdążyła wyjść. Cofnął się, wciągając ją w głąb pokoju. Latarkę i pistolet wycelował w sufit; skaczące światło rysowało długie, dziwaczne cienie.

Zaczęła się szamotać. Puścił ją.

- Nie wychodź.

- Nie tutaj - powiedziała. - Nie w tym pokoju.

- Nie chcę, żeby reszta usłyszała.

- To mów. Byle szybko. - Zadrżała i roztarła ramiona przez grubą, pękatą kurtkę.

- Nie sędzę, żeby w domu był ktoś obcy. - Obserwował jej reakcję. - I nie sędzę, żeby ktoś był na dworze.

O czym ty mówisz? Eli nie żyje, ktoś go zabił. Wiedział, że nie zechce przyjąć do wiadomości tego, co miał do powiedzenia. Była kiedyś agentką FBI, i to dobrą. Umysł wciąż miała bystry i na

pewno dodała dwa do dwóch. Musiała przynajmniej sformułować takie założenie.

- Noah nie zabił Very Thompson.

- A co z zakrwawioną koszulą? Z odciskiem jego buta?

- Może tam był, może nie, ale tego nie zrobił. Staruszkę zabił ktoś wyższy od niego. - Zrobił przerwę dla lepszego efektu. - A teraz jesteśmy tutaj. Z powrotem w Ohio, z kolejnym trupem. Koło się zamknęło. Tyle że tym razem wszystko się wyjaśni. Tym razem znajdą wreszcie prawidłowe odpowiedzi.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Widział, że chciała wyjść i nie słucha tego, co jeszcze miał do powiedzenia.

- Kto był tutaj, kiedy twoi rodzice zostali zamordowani? - zapytał miękko. - Kto z obecnych w tej chwili w domu był też obecny, kiedy twoi rodzice zginęli?

Daniel był w mieście z dziewczyną. Jego alibi było mocne. Harleya nie było. Franny nie było.

Fury'ego nie było. Arden powoli pokręciła głową, wpatrując się w niego.

- Nie. - Jej dolna warga drżała. - Mylisz się.

Fury wsunął glocka do kabury i rzucił latarkę na łóżko. Ujął jej dłoń.

Rękawiczki były poplamione krwią. Zdjął je i rzucił na sprężyny, obok latarki.

Dłonie oblepiała zaschnięta, czarna krew. Krew Elego, którą umazała się, kiedy szukała pulsu.

Przytrzymał jej ręce w swoich. Cztery zakrwawione dłonie. Spojrzał jej w oczy i zafascynowany patrzył, jak wielkie łyzy powoli odrywają się od rzęs i spływają po policzkach.

To było dla niego bolesne.

- Ty - powiedział cicho. — Ty jesteś wspólnym mianownikiem. Patrzyła na niego tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy go usłyszała -

czy w ogóle się odezwał. W końcu powiedziała:

- Twoje ręce... są lodowate. Jej były ciepłe.
- Powinieneś włożyć rękawiczki. Znajdę ci jakieś. W tym domu są całe tony rękawiczek. Z palcami i bez. - Mówiła teraz szybko. - Te z jednym palcem są niezgrabne, ale o wiele cieplejsze. Ale przecież z pistoletu możesz spokojnie strzelać w takich z jednym palcem, prawda?
Usłyszał głosy na dole.
Franny, Harley i Daniel zaczęli się denerwować. Było za cicho i nie rozumieli, czemu tak długo nikt nie wraca.

W pokoju panowało straszne zimno. Widział parę oddechów. Słyszał wiatr wyjący w ramach okien, jak to w starych domach.

- To nie jest twoja wina - powiedział. - To przez program. Harris posunął się za daleko. Zamiast wprowadzić cię w umysł mordercy, dał ci umysł mordercy. Zrobił z ciebie zabójcę-naśladowcę. Transmisja egzekucji Frencha była impulsem do nowej serii zabójstw. A Nowy Meksyk graniczył z Oklahomą- tam właśnie miało miejsce ostatnie naśladowcze morderstwo.

Arden wyrwała dłonie z jego rąk i popchnęła go, raz, i jeszcze raz.

- Za kogo się uważasz? Za kogo ty się, do cholery, uważasz?

- To dlatego Harris przeforsował twoje wybielanie. Domyślał się, co zaszło, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą.

- Nie zabiłam swoich rodziców.

Ale Fury widział, że ma wątpliwości. Prawdopodobnie myślała o tym już wcześniej, ale odrzuciła ten wniosek.

- Wszystko w porządku? - Głos Daniela dobiegł ich z dołu.

Wbiła wzrok w Fury'ego. Była wściekła. Gniew zawsze był jej obroną. I to skuteczną.

Czekał z opuszczonymi rękami.

Arden, jak zawsze szybka, wyrwała mu pistolet z kabury i wycelowała w niego. Uśmiechnął się. Kochał ją.

Kochał ją, choć go nie pamiętała, nie znała jego drugiego imienia ani ulubionej potrawy. I wiedział, że będzie ją kochał do śmierci. Arden obserwowała go zmrużonymi oczami.

- Ty mnie w to wszystko wplątałeś - powiedziała oskarży cielsko. - Nas wszystkich. To ty uknułeś tę intrygę. Chciałeś, żebym wróciła na Wzgórze. Po co, skoro OZ się nie sprawdzał?

Ale właściwie dlaczego jest taka wściekła? Fury wypowiedział na głos to, czego sama się podświadomie obawiała. Ale zastanawiać się i oskarżać to dwie zupełnie różne sprawy. Instynkt mówił jej, że agent coś ukrywa. Coś ważnego. Od początku wiedziała, że ten człowiek skrywa jakąś tajemnicę. Coś złego, a w każdym razie niepokojącego.

I to, że tu stał, taki spokojny, opanowany...

- Kim jesteś? - zapytała. - Nie chodzi mi o nazwisko, tylko o to, co robisz w moim życiu. Tak naprawdę.

- Wykreśliłaś mnie. Wymazałaś z pamięci. Nie jestem pewien, czy to ja powinienem ci powiedzieć, kim jestem. A raczej kim byłem dla ciebie.

Od początku w powietrzu wisiała sugestia związku. Arden czuła, że skądś go zna. Jego zapach był znajomy. Nawet dotyk jego dłoni na ramionach. Jego głos. Irytujący spokój.

- Byliśmy razem, Arden. Nie zaskoczyło jej to.

- Zapomniałaś o mnie - powiedział Fury. - I o tym, że zamordowałaś rodziców.

Nareszcie wszystko zaczynało nabierać sensu, jeśli można tak powiedzieć.

- Chcę cię zapytać o jedną rzecz - powiedziała. Czekał.

Był cierpliwym człowiekiem.

Przypomniała sobie, że trzyma pistolet, i zauważyła, że jej ręce pocą się i trzęsą.

- Byłeś w programie OZ, prawda? Byłeś w komorze. - Widziała strach w jego oczach tamtego

dnia, kiedy upadła i uderzyła się w głowę.

- Tak.

Serce łomotało jej w piersi. Jezu. Jezu. Jezu.

- Tak myślałam.

Zapach perfum matki nasilał się z każdą sekundą. Wypełniał jej głowę. Zwilżyła usta językiem i wyczuła kwiatowy aromat.

Mężczyzna przed nią kłamał i oszukiwał, choć być może uważał te kłamstwa i oszustwa za prawdę. Jak można sobie poradzić z czymś takim? Jak człowiek ma sobie poradzić z takim myśleniem? To jak próba obudzenia się z niezwykle realnego snu.

Czasami nie dało się tego zrobić.

Czy leży teraz w komorze?

Zamknęła oczy.

Wiele razy, tuż przed zaśnięciem i kiedy zrywała się ze snu w środku nocy, myślała, że jest w komorze. Nie umiała od tego uciec, nawet w Nowym Meksyku. Zawsze wracała do komory. Do wody.

Te chwile napełniały ją zwykle nieopanowanym przerażeniem, a teraz, po raz drugi w ciągu paru godzin, żałowała, że nie leży w komorze. Z zamkniętymi oczami próbowała przywołać tamto uczucie, sprawić, by stało się rzeczywiste.

Wszystkie złe rzeczy stają się dobrymi.

Poczuła, że glock wysuwa się jej z palców i otworzyła oczy, by zobaczyć, jak Fury go zabiera.

Sprawdził bezpiecznik i wsunął pistolet do kabury.

Czy miał rację? Czy zabiła swoją rodzinę?

- Nie ma jakiejś innej możliwości? - Spojrzała na niego i przekonała się, że jemu tak samo nie podoba się myśl, że to właśnie ona jest morderczynią. - Musi być inna możliwość. - Czy zmordowałam Elego? Pamiętałabym, że go zabiłam.

Ale jeśli jej mózg wyprano w ten sposób, by nie pamiętała niewinnych ludzi, których zabijała? Potarła mocno czoło.

Wyobraziła sobie, jak schodzi po zboczu do stodoły. Wrota były otwarte, a Eli stał schylony nad plastikowym kanistrem.

Jak zdołała niepostrzeżenie wyjść z domu? No, to się dało zrobić. Robiła to często we wczesnej młodości.

- Ogień nie pasuje do sposobu działania Frencha - powiedziała obojętnym głosem, zapatrzona w wizję w głowie. - Jeśli jestem naśladowcą, skąd wziął się ten ogień?

- Po prostu przypadek. Wiesz, jak to jest z przypadkami, jeśli chodzi o morderców.

Tak, często w scenariuszach znajdował się element, który nie pasował. Podpaliła go. Poderżnęła mu gardło. Nie ja. Ktoś inny. Ktoś w mojej głowie.

- Mylisz się - powtórzyła z uporem. - Bardzo się mylisz. Patrzył na nią, milcząc złowieszczo.

- Chcę, żebyś to przemyślała i wzięła pod uwagę to, co powiedziałem. Na dole rozległy się ciężkie kroki.

- Wszystko w porządku? - krzyknął Harley.

Jak śniący, który spada do łóżka w momencie przebudzenia, Arden drgnęła. Jak długo tutaj stali? Godziny? Dni? Lata?

- Teren czysty - odrzyknął Fury, nie odrywając wzroku od Arden.

- Nie mogę przyjąć twojej teorii - powiedziała. - Nie chcę jej przyjąć.

Każde z nich było pokręcone. Każde, z wyjątkiem Daniela - on był popieprzony w inny sposób. Poharatany psychicznie przez morderstwo i samotność.

Przez cały czas Arden uważała Fury'ego za kogoś działającego z pozycji wyższości i logiki.

Kogoś, kto potrafił spojrzeć z boku i uporządkować ten chaos, zrozumieć go. Ale ta bzdura, którą przed chwilą z siebie wyrzucił, dowodziła, że nic nie wie, czyli tyle samo, co ona. Przyznając się

do komory, powiedział jej właśnie, że jest tak samo popieprzony jak ona. Bo to bzdura. To, co powiedział, było kompletną, totalną bzdurą. Musiała w to wierzyć.

Rozdział 39

Arden patrzyła, jak Daniel dokłada drewna do piecyka, próbując podsycić ogień, który wypalił się do kilku czerwonych głowni.

Zawsze był dobry w rozpalaniu ognisk. Czy nie dostał za to znaczka sprawności skautowskiej? Tak. Z jej pomocą ćwiczył wiele tygodni, aż nauczył się rozpalać ogień bez zapalek.

Gdyby tylko świat funkcjonował zgodnie z *Vademecum skauta*.

Na tacy pośrodku stolika do kawy stały świece różnych kształtów i rozmiarów; ich płomyki migotały dziko w odpowiedzi na każdy ruch człowieka czy powiew wiatru, który zdołał się wcisnąć przez szpary w oknach.

Obserwowali Daniela w milczeniu.

Kiedy buzował już porządny ogień i drzwiczki pieca zostały zamknięte, skupili się bliżej niego. Opatuleni w kurtki siedzieli, gapiąc się w ogień.

Im intensywniej Arden rozmyślała o sytuacji, im usilniej próbowała poukładać fakty, tym bardziej była skołowana. Jej myśli wpadały w czarną dziurę.

Czy naprawdę całowała się z Harleyem na cmentarzu? A jeśli nie, to czy naprawdę dzwonił do niej do Nowego Meksyku? Czy Wzgórze i program OZ w ogóle istniały, czy może ona, Arden, siedzi w kaftanie bezpieczeństwa w jakimś wariatkowie, gapiąc się na szare ściany i wyobrażając sobie ekran filmowy, na którym rozgrywa się jej życie?

A może jej rodzice ciągle żyli? Może ta cała historia była fałszywą rzeczywistością, sfabrykowaną przez Harrisa. Okrutnym żartem.

W takiej sytuacji może lepiej nie myśleć. A przynajmniej nie myśleć zbyt intensywnie. Ale ją nauczono rozwiązywać problemy, znajdować rozwiązania zagadek i nie potrafiła sobie tego zakazać. Musiała chociaż próbować.

Ostatecznie jedynym rozwiązaniem było funkcjonowanie w tej rzeczywistości, którą znała. Nie mogła zrobić nic więcej. Nikt nie mógł zrobić nic więcej.

Fury wyciągnął komórkę z kieszeni marynarki.

- Nie zadziała tutaj - powiedział Daniel.

Fury wcisnął trzy cyfry: 911. Czekał i patrzył na telefon. W końcu poddał się i wsunął go z powrotem do kieszeni.

Powinni rozwalić ten dom, pomyślała Arden. Jeśli którekolwiek z nich przeżyje, ten dom musi zostać zburzony. Bolała ją myśl o unicestwieniu domu dzieciństwa, ale on nie może dalej istnieć. Nikt nie powinien w nim mieszkać.

- Około dwóch kilometrów stąd - powiedział Daniel - na serpentynie, można złapać przyzwoity sygnał.

- W pogodny dzień - przypomniała Arden.

W normalnych warunkach dwa kilometry nie wydawały się dużą odległością. Dwa kilometry w burzy śnieżnej to więcej niż dwadzieścia przy pogodzie.

Franny odezwała się po raz pierwszy od powrotu do domu. Jej głos był monotony, mechaniczny.

- Ktoś musiałby wyjść na dwór. - Nie patrząc na nich, pokręciła głową. - Nikt nie powinien

wychodzić na dwór.

Arden też nie chciała patrzeć na Fury'ego. Nawet jedno spojrzenie byłoby potwierdzeniem jego przypuszczeń, ale nie mogła się powstrzymać. Spojrzała. Obserwował ją. Nadal ją podejrzewał.

- Ja pójdę - powiedział Daniel. To prosta droga. Pagórkowata jak diabli, ale prosta. Nie zgubię się.

Franny ożywiła się.

- Nie możesz wychodzić. Nikt nie może wyjść!

- Franny ma rację - rzucił Fury. - Zostańmy tutaj.

- Eli nie żyje - oznajmił stanowczo Daniel. - Ja idę.

Arden ścisnął się żołądek. Chciała, żeby Daniel został tam, gdzie jest bezpiecznie. Raczej bezpieczniej. Albo nie tak niebezpiecznie.

- Ja to zrobię - powiedziała.

Harley zeszytnął i posłał jej zaniepokojone spojrzenie. Przez chwilę myślała, że będzie protestował, ale zamiast niego odezwał się Daniel.

- Wybacz, siostrze. Jestem w trochę lepszej formie niż ty.

To prawda. Kilka dni temu, kiedy jedzenie było jeszcze elementem obecnym w jej życiu, lepiej by się nadawała do tego zadania, ale ostatnio raczej nie była łaskawa dla swojego ciała. Od paru miesięcy nie była łaskawa.

- Nie możesz iść sam - powiedziała. Był skautem i na pewno rozumiał, jak ważny jest system wzajemnego wsparcia.

Harley wystąpił naprzód.

- Ja z nim pójdę.

Patrzyli na niego, ale jakoś nikt nie chciał powiedzieć tego, co wszyscy pomyśleli - że wleczenie ze sobą Harleya byłoby tylko przeszkodą.

- Ja to zrobię - oznajmił Fury. Było jasne, że nie jest zachwycony obrotem sprawy, ale naprawdę był chyba jedynym sensownym kandydatem.

A kiedy już będą na zewnątrz, kiedy zostaną sami, opowie o niej Danielowi. Wyjawi Danielowi swoje podejrzenia i Daniel znów ją znienawidzi. Znaleźli ciepłe ubrania dla Fury'ego.

Kalesony, podkoszulka z rękawami, wełniane skarpetki. Para ocieplanych butów, które kiedyś należały do Daniela. Wełniany sweter. Bluza. Stara kurtka puchowa z trójkątnym rozdarcie, które Daniel zakleił srebrną taśmą klejącą.

- Taśma hydrauliczna - powiedział, przylepiając ostatni kawałek. - Cud nowoczesnego świata.

Kiedy strój był kompletny, Arden omal się nie roześmiała.

Brak snu, brak jedzenia to wszystko przez to. Fury, który zwykle był wcieleniem spokojnej elegancji, wyglądał uciesznie w podartej kurtce i zme-chaconej czapce, sypiąc pierze, kiedy szedł do drzwi.

Daniel, ubrany w ocieplany kombinezon Carhartta, ruszył za nim z latarką LED.

Arden znów dopadł strach. Tak jak przed chwilą Franny chciała zawołać: Nie wychodź tam.

Zostań tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

Ale tutaj nie było bezpiecznie.

I ktoś musiał iść.

Farmerzy przez całe życie walczyli z przyrodą. Od przyrody zależała ich przyszłość, środki do życia. Przyroda zawsze była obecna, czaiła się tuż za rogiem, czekając na wielki finał, na zwrot akcji. Lubiła zabijać jagnięta i cielaki. Zabierać babcie, niemowlęta i domy.

Natura zawsze była wrogiem.

A teraz było inaczej. Istniał groźniejszy wróg.

Arden złapała Daniela za rękaw.

- Ja pójdę. Dam radę.

Pomyślała o tym, jak trudno było dotrzeć do stodoły, jakiego wysiłku fizycznego wymagało

brodzenie w śniegu.

Daniel spojrzął na jej dłoń na swoim ramieniu i uniósł wzrok.

- Nie trzeba. Będzie dobrze.

Nie potrafiła ukryć strachu. Nie bała się umrzeć. Prawdę mówiąc, chwilami śmierć wydawała jej się jedynym rozwiązaniem. Ale Daniel... nie chciała, żeby Daniel zginął. Nie ten jej mały braciszek, o którego się troszczyła, uczyła jeździć na rowerze, któremu czytała. Ktoś, kogo kochała.

- Będzie dobrze - powtórzył z łagodnym uśmiechem. Czekał, żeby puściła jego kurtkę. Odsunęła się.

Franny wybiegła z pokoju i po chwili zjawiała się z powrotem, ze swoją komórką.

- Weź to jako rezerwę. Podała telefon Danielowi.

Fury otworzył frontowe drzwi. Wiatr wpadł do środka, wdmuchując do salonu wirującą chmurę śniegu. Świeczki zamigotały i zgasły.

- Starajcie się nie używać latarki, dopóki nie odejdziecie kawałek - powiedziała Arden.

Trudno było uwierzyć, że ktoś może być na zewnątrz i obserwować ich w tak straszną pogodę, ale szaleńcy nie rozumowali jak inni ludzie.

A jeśli nikogo tam nie ma? Jeśli Fury miał rację?

Wyszli. Połknęła ich noc. Burza.

Arden stała roztrzęsiona, dręczona mdłościami. Franny zapaliła świece metalową zapalniczką i zniknęła w sypialni dla gości, zamykając za sobą drzwi.

Harley objął Arden ramieniem i ją uściskał.

- Nic im nie będzie.

Skąd to wie? Jeśli Fury naprawdę wierzył, że to ona jest mordercą, to czy zostawiłby ją samą z Harleyem i Franny?

Harley wszedł do kuchni i zaczął się krzątać. Dzięki Bogu ktoś był zainteresowany przygotowaniem posiłku, gdyby nie on, nikt by nie jadł.

Spojrzenie Arden padło na teczkę, którą Fury zostawił na podłodze w salonie, obok drzwi do kuchni. Bez wahania przeszła przez pokój, podniosła teczkę, złapała latarkę, którą Daniel zostawił na stole w jadalni, i ruszyła na schody.

Rozdział 40

Na górze, w sypialni, Arden zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Opatulona grubą kurtką otworzyła teczkę i wyjęła niewielki, czarny laptop.

Służbowy sprzęt.

Chciała uruchomić komputer Fury'ego i pogrzebać w jego zawartości. Nie dotarła aż tak daleko. Pod komputerem leżało brązowe pudełko, dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, głębokie mniej więcej na dwa centymetry.

Przysunęła bliżej latarkę. Na pudełku widniało jej nazwisko i data urodzenia.

Wyjęła je z teczki i zdjęła wieczko.

W pudełku znajdowało się jej życie.

Skondensowana wersja, bo czyje życie zmieściłoby się w pudełku? Ale mimo wszystko było to jej życie.

Zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Obejrzała kilka i odłożyła resztę.

Było też kilka płyt CD i DVD, wszystkie opatrzone jej nazwiskiem.

Jedna wyglądała na jej biografię od urodzenia aż do końca college'u. Na innej była kopia wywiadu, nagranych na wideo po znalezieniu ciał jej rodziców. Kolejna nosiła tytuł : MATERIAL FILMOWY Z WIZJI LOKALNEJ - MORDERSTWO DAVISÓW.

W tym, że miał informacje na jej temat, nie było nic dziwnego. Agent FBI pracujący nad sprawą zebralby takie materiały.

Pod zdjęciami leżały teczki z wydrukami, oznaczone napisem TAJNE.

Gwałt w college'u. Nikt o tym nie wiedział, nawet jej rodzice. Ani brat. Dlaczego Fury o tym nie wspomniał, kiedy próbował jej urządzić psychoanalizę?

Zajrzała głębiej. Coś spiętego zszywaczem. Jakiś rękopis. Zaczęła przewracać strony, przyglądając się pismu, jak przez mgłę rozpoznając słowa.

Jej dziennik. Pisany w college'u. Ale nie oryginał, tylko ksero.

Całateczka była o niej.

To nie był zbiór materiałów agenta FBI, tylko kolekcja kogoś ogarniętego obsesją, nienormalnego, skupionego na jednym, i wyłącznie na jednym.

Dokładność zbieracza budziła w niej dreszcz. To wyglądało jak własność seryjnego mordercy. Skrzynka ze skarbami. Pudełko pamiątek.

Ona i Daniel wyszli z tego cało. Przeżyli masakrę, która miała być masową rzezią.

Czy to Fury był zabójcą-naśladowcą? Czy nie pamiętała, że był tego dnia na farmie? Czy nie widziała go w silosie?

Nie wystarczyło mu wytropienie jej i zabicie w Nowym Meksyku. Musiał sprowadzić ją z powrotem do miejsca, gdzie mu nie wyszło. Dokonać na niej egzekucji.

Jezu. I teraz był sam z Danielem.

Z Danielem, którego śmierć, wraz ze śmiercią Arden, uwieńczy dzieło.

Myśl, myśl, myśl.

W takich chwilach żałowała, że życie nie wygląda jak w kreskówce o Jet-sonach. Gdzie są te cholerne pigułki, które dostarczają wszystkiego, czego ciało potrzebuje do przeżycia? Chciała łyknąć pigułkę, która dostarczyłaby jej umysłowi i ciału paliwa do dalszego funkcjonowania.

Myśl.

Fury zaczął całą tę historię. To on namówił Harrisa, żeby pozwolił jej wrócić. Przyjechał po nią do Nowego Meksyku. Był na Wzgórzu, kiedy zamordowano Verę. Elemu podejrzano gardło dopiero wtedy, kiedy pojawił się Fury.

No i jeszcze to, że natychmiast dopadł ją na osobności, żeby wyluszczyć swoją teorię i do reszty namieszać jej w głowie. Tak ją zakreślić, żeby nie była w stanie dojść do żadnych wniosków.

Chciał, by przerażona myślą, że zamordowała rodziców, nie zorientowała się w tym, co się naprawdę działo. I nie dostrzegła, że to on jest mordercą.

Jezu, Jezu, Jezu.

Jeszcze raz przejrzała w myśli wszystkie fakty.

To Fury. Dlaczego wcześniej tego nie widziała?

A teraz był tam, z jej bratem.

Daniel znał śnieg. Wiedział, jak po nim chodzić. Można było wysoko podnosić nogi, ale to szybko męczyło. Brodzenie zabierało więcej czasu, ale było najlepszym sposobem na zachowanie sił.

Fury próbował po trochu jednego i drugiego.

- To tu. - Daniel zatrzymał się. ~ Najwyższy punkt w okolicy. Fury wyciągnął komórkę i popatrzył na wyświetlacz.

- Nie ma zasięgu. - Z pochyloną głową chodził w kółko, obserwując wyświetlacz w nadziei na najmniejszą oznakę gotowości do działania. - Nic - powiedział, dysząc ciężko z wysiłku. - Ani jednej kreski.

Daniel wyciągnął telefon, który dała mu Franny.

To samo.

Wetknął komórkę z powrotem do kieszeni i założył rękawiczki.

- Widocznie przełącznik jest wyłączony. - Nie było mu zimno, ale lepiej nie marudzić tutaj zbyt długo. Wkrótce ich ciała zaczną się wychładzać. -To się tu czasami zdarza.

Fury mruczał coś z irytacją, wciąż wpatrując się w wyświetlacz, jakby telefon miał nagle zadziałać. Wybrał numer alarmowy. Bez skutku. Nic dziwnego.

Wiatr gwizdał na czymś, może w szparze słupa telefonicznego albo transformatora. A może było gdzieś coś, o czym nawet nie wiedzieli. Stary kombajn, porzucony na polu, albo zepsuta pralka, wrzucona do rowu.

Nad ich głowami, zawieszane na słupach ustawionych równoległe do drogi, kable wysokiego napięcia bujały się tam i z powrotem, strzelając jak bicze. Fury stał tyłem do wiatru, ale Danielowi dmuchało prosto w twarz.

- Lepiej wracajmy do domu - powiedział Daniel.

- Jeszcze nie.

- Nie możemy tu sterczeć. Musimy zacząć się ruszać, bo inaczej się wychłodzimy.

- Stój, gdzie jesteś - powiedział Fury. -- Muszę z tobą porozmawiać.

Rozdział 41

Arden wypadła z pokoju i pobiegła korytarzem do głównej sypialni. Zaczęła grzebać w szafie rodziców. Tato miał jeszcze śrutówkę oprócz dwudziestkidwójki, która zginęła z furgonetki Daniela. Gdzie jest śrutówka?

Nie w szafie. W każdym razie nie w tej szafie. Nie ma czasu.

Musi wyjść i iść za Danielem i Furym. Sprawdziła pozostałe dwie sypialnie i pognęła na dół.

- Znowu placki - oznajmił Harley z łopatką w ręce. - I znalazłem do nich jeszcze trochę zawekowanych jabłek.

Miał na sobie fartuch z napisem POCALUJ KUCHARZA. Ktoś dał go jej ojcu na urodziny. Powinno ją drażnić, że ma go na sobie Harley, ale to nie było jakoś ważne.

- Nie mogę teraz jeść. Prześliznęła się obok niego, otworzyła drzwi do piwnicy i popędziła w dół.

Fundamenty w piwnicy były kamienne, świadczyły o wieku domu i jego historii. Nierówne kamienie wydobyto z dna strumieni i zgromadzono, by zbudować z nich ściany, pachnące teraz pleśnią, ziemią i pajęczynami.

Nie było to dobre miejsce do przechowywania broni, ale i tak sprawdziła wiekowe i zniszczone drewniane półki. Zajrzała też do niewielkiej drewnianej szafy.

Czy Daniel zabrał też śrutówkę?

Nie ma czasu.

Na gwoździu nad schodami wisiał brązowy, drelichowy kombinezon. Arden zdjęła go i włożyła na siebie.

Wróciwszy na górę, założyła ocieplane buty, czarną czapkę i grube, wełniane rękawice z jednym palcem.

- Co robisz? - zapytał Harley, stojący z talerzem placków.

- Muszę coś sprawdzić.

Nie chciała mu mówić o swoich najgorszych obawach. Wściekłby się. Pomyślałby, że to jego zadanie - dopaść Fury'ego. Ten zaszczyt był jednak zarezerwowany dla niej.

- Muszę wziąć coś z samochodu i zerknąć na zbiornik z propanem. Sprawdzę, czy nie kończy się nam gaz.

Odstawił talerz na stół.

- Pójdę z tobą. Przytrzymała latarkę między kolanami i owinęła szyję szalikiem.
- Zostań z Franny. - Zasuwała kurtkę pod szyję. Pachniała mokrym pierzem.
- Nie powinnaś wychodzić sama.
- Nic mi nie będzie.

Szła już do drzwi, kiedy ją złapał.

- Arden. - Głos mu się załamał, kiedy wypowiadał jej imię. Spojrzała na niego. Był tylko sylwetką, jego twarz ukrywała ciemność. - Chyba jestem w tobie zakochany.

Przełknęła ślinę.

To już zaszło za daleko, wymknęło się spod kontroli. Nie wiedziała, że tak poważnie ją traktował. Wziął ją w ramiona i pocałował. Szybki całus w usta.

- Uważaj na siebie.

Dwie sekundy później była już za drzwiami. Serce jej łomotało.

Nie daj się zabić, błagała po cichu, przebijając się przez śnieg.

Nic nie może się stać Danielowi.

Wichura nie zelżała. Odbierała oddech, zasy były jeszcze głębsze. Daniel zabrał dobrą latarkę, ta, którą Arden miała w ręce, była plastikową zabawką z supermarketu i jej światło z trudem przenikało sypiący śnieg.

Wiedziała, dokąd iść, jaki kierunek powinni obrać. Ale czy wyszli z podwórka? A jeśli Fury podciął Danielowi gardło zaraz po wyjściu z domu?

Żyj w tej rzeczywistości, którą znasz, a nie w tej, której się obawiasz.

Jej droga prowadziła obok samochodu Elego i skrzynki pocztowej. Arden skrzyła w lewo, z pochyloną głową forsowała miotający śniegiem wiatr.

Cały czas śledziła postępy drogi, po cichu przepowiadając sobie trasę. W dół, do najniższego punktu na zwirowej drodze, potem w górę na krótki, stromy stok.

Na bitej drodze przystanęła, by zorientować się i złapać oddech, z falującą pierśią, obolałymi płucami i sercem łomoczącym jak szalone.

Zrozumiała, że nie da rady. Daniel miał rację. Brak jej kondycji. Myślała, że jej wola będzie dość silna. Biegała przecież w maratonach; wiedziała, na czym to polega. Odrywasz myśli od własnego ciała, aż zostaje tylko bieg i droga. Ale czasami to nie wystarczało.

Jeszcze raz w lewo, i znalazła się na serpentynie.

Naprzód, naprzód, naprzód. Nie myśl. Ruszaj się. Nie przestawaj się ruszać.

Upadła. Wstała. Znowu upadła.

Na chwilę, tylko na chwilę została na ziemi.

Płuca ją paliły. Pot wsiąkał w warstwy ubrań. Leżała z rozpaloną twarzą przyciśniętą do śniegu.

Zamarzanie na śmierć podobno jest przyjemne. W tej chwili wydawało jej się bardzo kuszące.

Ale musiała gdzieś pójść. Miała coś do zrobienia.

Wstawaj! No już. Wstawaj! Wstawaj!

Dźwignęła się na nogi i stanęła chwiejnie, z rękami opuszczonymi bezradnie wzdłuż ciała.

Gdzie latarka? Miała ją jeszcze przed minutą...

Zaczęła kopać w śniegu, w końcu zobaczyła słaby blask. Złapała latarkę i wycelowała na południe, w kierunku, w którym powinni pójść Daniel i Fury.

Biała ściana.

- Daniel!

Czekała, nasłuchując. Krzyknęła jeszcze raz.

- Daniel! Fury! Padła na kolana.

Wszystko było i tak wystarczająco skomplikowane, niemożliwe, nawet bez tego białego świństwa dorzuconego do równania.

Jeśli życie daje ci śnieg, zrób bałwana.

Ha, ha. Ależ była zabawna. Komediantka.

Kiedyś była zabawna.

Nikt by w to nie uwierzył, co? Że kiedyś potrafiła rozśmieszać ludzi. No tak, był to bardzo krótki czas, ale był.

Wydało jej się, że coś słyszy.

Zesztywniała i nadstawiła uszu.

- Daniel!

Chwiejnie dźwignęła się na nogi, walcząc z dwudziestoma kilogramami śniegu. Miała go pełno w butach, za kołnierzem, w rękawach. Światło. Promień latarki. Głos - okrzyk - dobiegł z ciemności.

- Arden?

- Daniel?

Ruszyła w tamtą stronę. Biegła - o ile była w stanie biec. Przypominało to raczej brodzenie w sięgającym ud mule.

- Daniel! - wysapała, dopadając go. Zaświecił jej w twarz, potem opuścił latarkę.

- Co tu robisz?

Wysłałam cię szukać. Bałam się..

Czy już całkiem popadła w paranoję? To wariatka, znów wymyśla i robi dziwne rzeczy. Ale czy jej teoria na temat Fury'ego była kompletnym nonsensem?

Fury.

Daniel był sam,

- Gdzie jest Fury?

- Nie mogliśmy złapać sygnału. - Daniel ciężko dyszał. Próbowaliśmy parę razy bez skutku.

Powiedziałem, że pewnie przekaźnik jest wyłączony, ale Fury chciał próbować dalej.

To bez sensu. Powinni trzymać się razem. Z drugiej strony Fury potrafił być przekonujący...

Gdzie masz rękawiczki? — zapytał Daniel. Spojrzała bezmyślnie na swoje dłonie.

- Nie wiem.

Burknął coś z irytacją i poświecił dookoła latarką. W końcu wykopał parę zalepionych śniegiem rękawic. Rzucił je z powrotem na ziemię.

- Teraz to już tylko jeszcze bardziej w nich zmarzniesz. Nie podobało jej się, że Fury jest tam gdzieś za nimi.

- Może powinniśmy poczekać albo go szukać.

- Nic mu nie będzie. Idziemy.

Zachowywał się jakoś dziwnie, czuła, że coś ukrywa. Czy Fury powiedział mu o swojej teorii, że to ona zabiła rodziców? Czy Daniel się jej boi? Czy myśli, że może zginąć następny?

- Jestem spocony - stwierdził. - Ty też. Nie możemy czekać, aż się wyziębimy. Trzeba wracać do domu.

Dom.

Jeśli tak chcesz nazywać to miejsce.

Zawrócili i ruszyli w powrotną drogę.

Arden nie zdawała sobie sprawy, że zaszła tak daleko. Co najmniej kilometr. Teraz psuła tempo Daniela. Ciągle musiał się zatrzymywać i czekać na nią.

Złapał ją za rękę, ale tak było jeszcze gorzej. Kiedy szii obok siebie, śnieg stawiał zbyt duży opór. Weszła w jego rytm, idąc ścieżką, którą przebiegał przed nią.

Rozdział 42

Harley wiedział, że Arden kłamała. Nie miała zamiaru sprawdzać zbiornika z propanem ani wyjmować niczego z samochodu Elego.
Poczuł się zraniony. Potwornie zraniony.
Mogła być z nim szczerą. Mogła mówić wprost. Nie musiała kłamać.
Wziął więc dużą latarkę i zaczął przeszukiwać dom. W pokoju gościnnym znalazł Franny, zwinętą w kłębek pod kołdrą, ze słuchawkami na uszach. Wpatrywała się w migotliwy płomyk świecy, stojącej w lichterzyku na toalecie.
Zostawił ją samą i poszedł na górę do pokoju Arden.
Na łóżku leżał laptop, a obok otwarta aktówka.
Aktówka tego agenta FBI. Jego komputer. Co robiła z komputerem Fury'ego?
Usiadł na łóżku i otworzył komputer.
Był w stanie wstrzymania. Teraz ekran ożył.
Na łóżku leżały porzucane płyty. Harley podniósł płytę DVD, otworzył plastikowe pudełeczko i wsunął dysk do napędu.
Rozległ się szum rozpędzającej się płytki. Po chwili Harley patrzył na bardzo znajomą scenę.

Rozdział 43

Franny zerwała się przestraszona ze snu. Świeczka zgasła. W pokoju panowało lodowate zimno.
- Franny! - zawołał ktoś z góry, z głębi korytarza. Harley?
Oszołomiona snem i ciemnością leżała przez chwilę z łomoczącym sercem.
- Franny! - zawołał znów, głośnym, nagłym szeptem.
Na chwilę zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że Noah nie żyje, że Eli został zamordowany. Ale teraz wszystko wróciło gwałtowną falą. Była sama w ciemnościach, a Harley ją wołał. Czy w domu jeszcze ktoś jest? Czy Harley próbuje ją ostrzec? Serce biło coraz mocniej, szybciej, aż rozległo się w głowic; jak grzmot.

Zmusiła się, by się poruszyć, odrzucić kołdrę i wstać z łóżka. Na oślep sięgnęła do toaletki i zaczęła macać po zimnej, twardej powierzchni, aż natrafiła na zapalniczkę, którą znalazła w kuchni.
Powoli, cichutko otworzyła stalowe wieczko. Oparła kciuk na kółku i obróciła je, krzywiąc się na dźwięk, jaki wydało. Krzemień zaiskrzył, podpalając knot.
Franny trzymała płomyk przed sobą. W pokoju było potwornie zimno. Widziała swój oddech, wydobywający się z ust szybkimi, przestraszonymi chmurkami.
Drzwi sypialni były niedomknięte. Kiedy je pchnęła, otworzyły się, skrzypiąc.
W salonie było ciepło. Niemal gorąco.
Usłyszała dźwięk - niskie, nieprzerwane huczenie. Potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, że odgłos dochodzi z piecyka.
Stała tak chwilę, patrząc na czerwoną poświatę za grubym szkłem paleniska.
Chciała tam podejść. Stanąc przy ogniu. Pomyśleć o tym, że zaledwie kilka godzin temu grali w Monopoly.
Dobrze się bawiła. Jak mogła się tak dobrze bawić, skoro Noah nie żył? Co się z nią dzieje?
Stało się ze mną coś złego.
Eli nie chciał grać. Widziała, że był zde gustowany samą grą, chociaż ona uważała ją za nieszkodliwą. Nostalgiczną. Za bardzo się denerwował takimi sprawami. Przynajmniej było co robić.
Ale był zły nie tylko z powodu gry. To także wiedziała.
Był zazdrosny o Daniela.
Ona i Eli byli dobrymi przyjaciółmi, ale nigdy nie mogłoby być między nimi nic więcej. Miała

zamiar mu to powiedzieć, tylko nie chciała go całkiem stracić. Kochała Elega...

- Franny - rozległ się głośny, ochryply szept Harleya. - Pospiesz się. Zdała sobie sprawę, że płacze.

Nie miała nikogo. Noah i Eli byli jej rodziną. Została sama.

Odwróciła się i poszła na górę. Zapalniczka zrobiła się gorąca, płomyk skakał po wariacku, gdy szła szybciej, zapach palącego się płynu do zapalniczek drażnił nos.

U szczytu schodów przystanąła, płomyk się uspokoił. Gdzie jesteś? - szepnęła.

Włoski na rękach zjeżyły się, jak naelektryzowane. Skóra na głowie zaczęła mrowić, jakby ktoś przeciągnął palcem po karku.

- Tutaj.

Głos dochodził z dużej sypialni, tej, w której zginęła matka Arden. Franny nie chciała tam wchodzić.

Powoli przesuwiała stopy po podłodze i zatrzymała się w otwartych drzwiach.

- Harley?

Chodź. - Głos wydawał się zniecierpliwiony. - Wejdz tu. Uniosła zapalniczkę wyżej, ale światła nie było dosyć, by przebić ciemność.

- Co robisz?

- Pospiesz się.

- Nie chcę. Roześmiał się.

- No chodź, cukiereczku. Zmęczyło mnie to czekanie.

Ten głos brzmiał tak normalnie. Bardziej normalnie, niż przez cały czas, kiedy tu byli. Zrobiła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się tuż za drzwiami.

Włosy na jej przedramionach wciąż się jeżyły.

Uciekaj.

Odwróć się i uciekaj.

Zaufaj instynktowi. Tego uczyli ich na lekcjach samoobrony. Zawsze ufaj instynktowi.

Nie miała butów. Obróciła się w miejscu, mięśnie nóg napięły się, przygotowując do ucieczki.

Podmuchał powietrze owiał jej twarz, gasząc płomień zapalniczki. Drzwi sypialni zatrzęsły się jej przed nosem.

Przez rozdzierający ryk strachu, rozlegający się w jej głowie, usłyszała pstryknięcie.

Przyćmione światło zastąpiło zgaszony płomień.

Teraz go widziała.

Teraz go wreszcie widziała.

Stał między nią a drzwiami, z latarnią w jednej ręce i nożem w drugiej.

Zrobiła coś, co ją kompletnie zaskoczyło. Uniosła ręce jak szpony i rzuciła się na niego z wrzaskiem.

Ale nie mogła się z nim mierzyć. Był wielki. Silny. I szalony.

Wczepił palce w jej włosy i rzucił na kolana.

Mnóstwo myśli przebiegło jej przez głowę, między innymi taka, że Arden przespała się z tym potworem. I że ona, Franny, chciała się z nim podzielić batonikami.

Błysnął nóż.

Ostrze spadło w dół.

Podciął jej gardło, a ona trzymała go kurczowo rękami jak szpony, błagając go i odpychając jednocześnie.

- Cukiereczku -- zagruchał Harley, biorąc ją w ramiona.

Gorąca krew płynęła po piersi, wsiąkając w bluzkę.

Zawłócił ją na łóżko i odwrócił tak, że jej głowa była skierowana do drzwi i przewieszona przez

krawędź.

Oczywiście, pomyślała. Musi leżeć w tej samej pozycji, co matka Arden. Jak to było? Jakoś tak do góry nogami?

Tak, właśnie tak.

Nagle stwierdziła, że to w porządku. Pocieszające i na miejscu. Dzięki temu czuła się mniej osamotniona.

Rozdział 44

Widzieli już dom. Mocny snop światła z latarki Daniela zatańczył na parze czarnych okien piętra. Mając już dom w zasięgu wzroku, Arden zdjęła czapkę i rozpięła kurtkę, by ochłodzić złane potem ciało. Mokre włosy lepiły się do karku i twarzy.

Obeszli budynek do kuchennych drzwi, by wchodząc, nie wyiębić całego parteru. Nauczyli się tego jako dzieci.

Z początku byli zbyt zajęci otrząsaniem śniegu z butów, by zwrócić uwagę na ciszę. Arden pierwsza zdała sobie z niej sprawę. Może dlatego, że czuła to już wcześniej, że doświadczyła czegoś podobnego.

Nie mówiąc słowa, położyła dłoń na rękawie brata. Daniel przestał roz-sznurowywać buty i nadal pochylony popatrzył w górę. Też miał mokre włosy; wydawały się prawie czarne i kleiły do czoła cienkimi kosmykami.

Popatrzyła na niego ze ściągniętymi brwiami.

Coś jest nie tak, mówiło jej spojrzenie. Coś mi tu nie pasuje.

Daniel znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać.

Nie było słychać nic, z wyjątkiem ściennych zegarów. Tykały przynajmniej trzy, każdy w innym tempie.

Daniel wyprostował się powoli, po cichu. Omiótł wzrokiem pogrążoną w ciemności kuchnię, zauważył niezjedzony posiłek. Patelnię na kuchence. Resztkę ciasta na placki.

Wrócił spojrzeniem do Arden.

Widziała, że się zastanawia. Widziała jego wątpliwości i rodzące się podejrzenia.

Wobec niej.

Nie miała mu tego za złe. Sama siebie też podejrzewała.

Wybiegła z domu. Uciekła w panice. Daniel dopadł ją, zdyszana, wzburzona, bez rękawiczek.

Wciąż patrzył na nią, a ona przecisnęła się obok niego i wróciła do kuchni. Mijając stół, złapała rączkę latarni.

Nie dało się poruszać cicho w ciężkich, zimowych butach. W końcu przestała się starać, kroki zabrzmiały głośno na drewnianej podłodze.

Jadalnia i salon były puste. Na stoliku do kawy paliły się świece. Piecyk wydawał basowy pomruk, który oznaczał, że prawdopodobnie jest gorący jak piekło i należałoby otworzyć szyber.

- Franny! - krzyknęła. Żadnej odpowiedzi. Szukała dalej.

Pokój gościnny był pusty; zmieślona kołdra, odtwarzacz MP3 i słuchawki Noaha na poduszce, jakby Franny przed chwilą wyszła.

Arden poczuła się jak w zamkniętym kole, skazana na odtwarzanie tego samego scenariusza wciąż od nowa.

Z łomoczącym sercem podeszła do schodów, położyła dłoń na poręczy.

Daniel stał nieruchomo pośrodku salonu.

Patrzył na nią, i patrzył, i patrzył.

- Wynoś się - powiedziała. Wciąż ją obserwował.

- Zmiataj! Wynoś się stąd!

Był jej małym braciszkiem. Wieloletni nawyk kazał mu usłuchać. Przeształ z nogi na nogę i ruszył do kuchni.

Arden weszła po schodach. Powinna biec, ale nie potrafiła się zmusić. Nie chciała zobaczyć, co będzie dalej.

Powinna grać muzyka. Może jakiś kawałek zespołu Godspeed You Black Emperor!

Drzwi jej pokoju były uchylone. Coś świeciło z wnętrza. Podeszła bliżej; kroki na podłodze rozlegały się jak grzmoty. Bez wahania pchnęła drzwi. Trzasnęły o ścianę. IYzymając wysoko latarnię, szybko ogarnęła wzrokiem wnętrze.

Nikogo nie było.

Komputer Fury'ego leżał na łóżku, gdzie go zostawiła. Ale ona go zamknęła, a teraz działał. Słyszała wiatrak i przerywany poszum obracającego się dysku. Podeszła bliżej, by spojrzeć na ekran. Przełączył się na wyga-szacz - sekwencją przyjemnych, kojących widoków przyrody.

Łąka. Wodospad. Las.

Dotknęła palcem touchpada. Pojawił się nowy obraz.

Wywołujące mdłości podskoki trzymanej w ręce kamery, przemieszczającej się po domu i po schodach. Spoza kadru wyłoniła się ręka i pchnęła drzwi.

I nagle pojawiła się matka Arden. Leżała na plecach na łóżku, z poderżniętym gardłem.

Arden chciała zamknąć oczy, ale nie mogła.

To był obraz, o którym zapomniała, obraz, który został wymazany.

Myśli splątały się, jak ogarnięte czarną chmurą, i przez chwilę Arden wydawało się, że coś zostało fizycznie usunięte z jej mózgu. Obraz z tego dysku, który odtwarzał właśnie komputer. To nie było wspomnienie, które miałoby się ochotę zabierać ze sobą. Nie tak chciałoby się zapamiętać kogoś, kogo się kochało.

Postrzępiona rana wyglądała jak gigantyczny uśmiech. Jak uśmiech dyni na Halloween. Bo ludzki mózg zawsze wszędzie doszukuje się twarzy. Niemowlaki, nawet noworodki, szukają twarzy. Ludzie widzą twarz we wszystkim. W nierównościach kory drzewa. We wzorkach na drzwiach. W kępcie liści.

Twarze. Zawsze szukamy twarzy.

Beznamiętna kamera szła dalej. Z powrotem schody.

Arden wiedziała, gdzie pójdzie teraz. Do stodoły, gdzie został zabity ojciec.

Usłyszała dźwięk dobiegający zza ściany. Jakby coś upadło.

Z latarnią w ręce wybiegła z pokoju i pokonała krótki odcinek korytarza, prowadzący do drzwi pokoju rodziców.

Ciało rozciągnięte w poprzek łóżka.

Franny.

Arden uniosła latarnię wyżej i podeszła.

Franny, z poderżniętym gardłem.

Nie!

Szeroko otwarte, martwe oczy, zapatrzone w pustkę, zapatrzone w Arden.

Martwe oczy.

Syk wydobył się z gardła Franny, z jej gigantycznego uśmiechu,

Jeżu.

Ona jeszcze żyje.

Arden obróciła się na pięcie i pognęła korytarzem do łazienkowego schowka. Wyciągnęła z górnej półki dwa koce i wetknęła je pod pachę. Garść ręczników. Otwarte pudełko serwetek higienicznych.

Z powrotem korytarzem, zadyszana, z łomoczącym sercem.

W sypialni postawiła latarnię na podłodze, całą resztę rzuciła w nogi łóżka.
Jak długo jej nie było? Minutę? Dwie?
Rozłóż koc. Przykryj nim Franny. Podwiń pod nią brzegi. Potem drugi koc. Usiadła na łóżku i zanurzyła rękę w pudełku serwetek.
Franny trzymała rękę na gardle; krew sączyła się jej między palcami.
-- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Arden. - Ściągniemy tu pług śnieżny. Potem przyjedzie policja. Dotrze karetka.
Nie chciała, by Franny się poddała, żeby wiedziała, jak beznadziejna jest sytuacja.
Jakiś ruch piętro niżej. Kroki na schodach.
Daniel szedł na górę.
Usta Franny poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.
- Nie próbuj mówić.
Usta wciąż się poruszały.
Na co patrzyła?
Arden obróciła się w samą porę, by zobaczyć Harleya wyłaniającego się z cienia.
Coś błysnęło w jego dłoni. Wielki nóż przeciął światło latarni, posyłając po ścianach świetlnego zajęczka.
Oczy Franny rozszerzyły się; krzyknęła, nie wydając głosu.

Rozdział 45

Arden machnęła nogą i z rozmysłem kopnęła latarnię. Szkło i żarówka roztrzaskały się, pograżając pokój w ciemności. Zeskoczyła z łóżka i rzuciła się ostro na prawo. Jej buty! Hałaśliwe buty!
Szeroko otwartymi oczami zapatrzyła się w nicość i wyteżyła słuch, by go usłyszeć. Z jej lewej strony dobiegł syk. Franny.

Kucnęła i zaczęła macać po podłodze, szukając roztrzaskanej latarni. W końcu natknęła się na stłuczone szkło, podniosła ostry, poszarpany kawałek.
Harley wydał z siebie ryk i zaszarżował.
Nie podniosła się.
Przeleciał nad nią. Jedną nogą kopnął ją w klatkę piersiową, drugą trafił w podbródek. Odrzuciło ją do tyłu, ale pozbierała się i odwróciła do niego.
Jej oczy nie przystosowywały się, ciemność była nieprzenikniona. Żadnych cieni. Tylko dźwięk. Zapach. Smak.
Poczuła w ustach smak krwi.
Poruszał się cicho -jemu nie przeszkadzały ciężkie buty ani kurtka. Nagle był nad nią, na niej, wczepiał palce w jej włosy. Poczuła zimną stal na gardle. Kawałkiem szkła dziabnęła do góry i w tył.
Krzyknął i ją wypuścił.
Rzuciła się do drzwi.
Złapał ją za kurtkę, pociągnął z powrotem.
Wyślizgnęła się, zostawiając mu pustą kurtkę.
Uciekaj.
Korytarzem, do łazienki. Zatrzasnęła drzwi, szukała zamka.
Drzwi otworzyły się z hukiem, odrzucając ją do tyłu. Uderzyła głową wannę.
W ciemności wcisnęła się między wannę a ścianę.
Korytarz temu myślała o Franny i Danielu. O tym, jak ich z tego wydostać żywych. Teraz zadziałał instynkt samozachowawczy i myślała już wyłącznie o sobie. O przetrwaniu z chwili na

chwilę. O tym, jak przeżyć kolejne pięć minut.

Daniel usłyszał szamotaninę i rzucił się na schody, przeskakując po trzy stopnie naraz, z latarką w ręce. Zatrzymał się w progu pokoju rodziców i poświecił do wnętrza.

I przestał oddychać.

Franny.

Nie.

Na łóżku.

Wszędzie krew. Podcięte gardło.

O Boże.

Nie umiał sobie z tym poradzić. Nie mógł tego przeżyć. Wydał z siebie zduszony szloch.

Mrugnęła.

O cholera jasna. O Jezu.

Uniosła rękę. Błagalną, zakrwawioną rękę. Z głębi korytarza dobiegł krzyk, a potem trzask.

Coś ryczało w uszach Arden. Potrząsnęła głową, ale dźwięk nie ustawał. Brzmiało to jak piecyk, tylko głośniejsz.

Ogień.

Ogień w kominie.

Ile razy tato ostrzegał, by nie pozwalali, żeby piecyk za bardzo się rozgrzał?

„Musicie otworzyć szyber i wypuścić ciepło, bo inaczej komin się zajmie”, wiecznie powtarzał.

A komin biegł po ścianie, przez łazienkę.

W ciemności słyszała, jak Harley szuka jej na osłep, przewracając, co popadnie, zbliżając się.

Jednym płynnym ruchem wstała i otworzyła okno nad wanną. Po sekundzie wahania dała nura na zewnątrz i wylądowała w głębokim śniegu na dachu kuchni, niecałe półtora metra niżej.

Rozdział 46

Harley wychylił się z okna łazienki w samą porę, by zobaczyć, jak Arden ląduje w głębokiej zaspie. W następnym ułamku sekundy umykała już susami.

- Arden! krzyknął.

Zatrzymała się i spojrzała w górę.

Płomienie płonącego domu oświetlały jej twarz.

Była przerażona.

Przerażona i piękna.

Uwielbiał tę kombinację.

Był na krwawym hajcu. Tylko po to żył. Polowanie. Zapach krwi i przerażenia.

A teraz w dodatku ten pożar - to po prostu monumentalne, ucieleśnienie podniecenia, które wypełniało jego wnętrze.

To było jego powołanie. To było jego prawdziwe ja. Nie bycie jakimś mięczakiem, uroczym facetem, którego wszyscy lubią, ale nikt nie szanuje i nie kocha.

Albert French pukał od dawna. Wszedł nawet kilka razy, jak przy drobnym epizodzie z tym denerwującym gnojkiem, Elim, ale Harley zawsze wypraszał go ze swojej głowy.

Dlaczego?

Miał kiedyś psa, który był w połowie wilkiem. Był to najmiłszy, najśladzszy pies na świecie, ale lubił zabijać. Koty. Psy. Kiedyś omal nie zabił dziecka.

Nie mógł się powstrzymać. A im więcej zabijał, tym bardziej pragnął zabijać.

Taki właśnie był Harley.

Harris zaszczepił w nim to pragnienie, a potem próbował je wypłukać, ale instynkt był zbyt silny. Zdążył się zakorzenić.

Przez jakiś czas Harley myślał, że może przestać zabijać, odciąć się od głosu Alberta Frencha. Dla Arden. Ale oszukiwał sam siebie. Nie chciał przestać.

Tak działała na człowieka miłość. Sprawiała, że widziało się wszystko w fałszywym świetle, w ślicznym, miękkim świetle. Pragnęło się być kimś, kim chciała cię widzieć druga osoba, a nie tym, kim się było naprawdę. Ale prawdziwe ja zawsze wracało. Prędzej czy później.

Nawet teraz, kiedy już wiedział, że ją zabije, chciał jej sprawić przyjemność. Chciał, żeby wiedziała, że walczył z Frenchem od dawna.

Zawsze zabijasz tych, których kochasz.

Staruszka po prostu się przydarzyła. Wymknął się z Budynku 25 i szukał Arden. Zamiast niej natknął się na tę kobietę. A ten dom na farmie...

Przebywanie w tym domu namieszało mu w głowie. Ale prawdziwy punkt zwrotny nastąpił wtedy, gdy włączył komputer i obejrzał skutki swoich wcześniejszych zabójstw, do których doszło właśnie tutaj. Harris próbował wymazać to zdarzenie z jego głowy, ale obrazy na ekranie sprawiły, że wszystko wróciło, jakby wydarzyło się wczoraj.

A na dodatek to nagranie egzekucji Frencha.

Te oczy.

French patrzył prosto na Harleya, przypominając mu o jego powołaniu. O obowiązku kontynuowania dzieła.

Niech żyje Albert French.

Do tej chwili wszystko było poplątane, wypaczone i w ogóle nie tak.

Ale to było właśnie to. Prawdziwe. Tak prawdziwe, jak się da.

Musi dokończyć dzieła. Wypełnić ostatnią wolę.

Życie jest dobre. Śmierć jest lepsza.

Okno w łazience nie było duże. Harley wysunął najpierw nogi, a potem resztę ciała. Zsunął się po dachu i wylądował w kupie śniegu. Dotknął ziemi

i pobiegł do budynku, w którym schował karabinek Daniela wraz z zakrwawioną kurtką i rękawiczkami, które miał na sobie, kiedy zabił Elego.

Daniel dopadł do łazienki w momencie, kiedy Harley zniknął w otwartym oknie. Niebo za oknem było jasne. Czyżby nadchodził ranek? I ten dźwięk -co to za dźwięk?

Poczuł dym. W następnej sekundzie zorientował się, że dom płonie.

- Arden! - Omiótł pomieszczenie promieniem latarki i przeszedł do małego pokoju, który był kiedyś jego sypialnią.

Pusto.

Dalej, do pokoju Arden.

Czy też skoczyła? Uciekła?

Płuca go paliły, w świetle latarki widział, że wszystko robi się mętne, zadymione.

Cofnął się do dużej sypialni. Czy Franny jeszcze żyje?

Owinął ją kocami i wziął na ręce. Chciał być bardziej delikatny, ale nie było czasu. Słyszał trzaski i skwierczenie. Coraz trudniej było oddychać.

Zniósł ją na dół. Na parterze, dalej od komina, powietrze nie było jeszcze złe.

Franny nie poruszyła się, nie wydała żadnego dźwięku.

Pewnie była już martwa.

Otworzył frontowe drzwi i wypadł z domu. Potykając się, ruszył przez podwórko z Franny w ramionach. Trafiał na nierówność i zapadł się po pas w śnieg. Nie wypuszczając Franny z ramion, wygrzebał się, padł na kolana, z trudem dźwignął się na nogi. Światło bijące z płonącego domu rysowało długie cienie.

U stóp wzgórza skręcił do skorodowanego, żeliwnego przepustu biegnącego pod drogą.

Pod osłoną przepustu położył Franny na ziemi. Zdjął kurtkę i okrył ją naj-lepiej jak umiał, upychając brzegi koca pod jej boki i stopy. Prawdopodobnie nie żyła. Prawdopodobnie opatulą martwą dziewczynę. A nawet jeśli nie była jeszcze martwa, to wkrótce będzie. Wyciągnął latarkę z kieszeni kurtki. Stał plecami do wylotu przepustu, by światło nie było widoczne na zewnątrz, i włączył latarkę. Wargi Franny były sine, ale patrzyła na niego przerażonymi oczami. Serce zabiło mu jak szalone. Przełknął ślinę. Krew płynęła jakby wolniej. A może po prostu Franny zaczynało brakować krwi?

Nie, nie byłaby przytomna, gdyby się wykrwawiła. Uniosła do niego rękę błagalnym gestem. Nie zostawiaj mnie tutaj.

Właśnie to chciała mu powiedzieć. Złapał jej dłoń - była jak lód. Schował ją pod kurtkę.

- Wróć - szepnął. - Wróć.

Mrugnęła. Ale to mrugnięcie nie mówiło „dobrze”, tylko: umrę. I ty umrzesz. Jeśli pójdziesz, oboje umrzemy w samotności. Zgasił latarkę i wyprostował się.

Musiał się zgodzić z niewypowiedzianymi słowami Franny. Wszyscy umrą. Wszyscy byli już martwi.

Nathan Fury brnął przez śnieg. Jedna noga, druga noga. To był jedyny sposób, cały czas się poruszać. Spojrzał w górę i zobaczył, że niebo zaczyna jaśnieć.

Słońce wstawało.

A już myślał, że ta noc się nigdy nie skończy.

Przeszedł jeszcze pięćdziesiąt metrów i zatrzymał się. Z domu na farmie strzelały płomienie.

Kiedy dobiegł na miejsce, osłonił rękawiczką usta i nos i wyważył kopniakiem drzwi.

Buchnął z nich dym i ogień. Fury zatoczył się do tyłu; żar przypalił mu twarz i brwi.

Obrócił się, zeskoczył z ganku i pognął na tył domu. Pchnął kuchenne drzwi i wbiegł do środka.

- Arden!

Żar był nieznośny, dym dusił.

Po kilku sekundach wyskoczył z powrotem na dwór i padł na kolana w śnieg, krztusząc się i rzeżąc, usiłując wciągnąć powietrze do wypełnionych dymem, pozbawionych tlenu płuc.

Dostrzeżony kątem oka ruch zwrócił jego uwagę. Uniósł wzrok. Kilka metrów od niego stał Harley, obserwując go.

- Gdzie Arden? - wysapał Fury.

- Nie wiem.

- Wydostała się?

- Tak.

- A Daniel. Gdzie Daniel? I Franny? Też wyszli?

- Nie wiem.

Ogień oświetlał połowę ciała Harleya; druga połowa była w cieniu. I ta zacieniona połowa zaczęła się poruszać, zmieniać kształt. Ręka unosiła się... i nagle Fury ujrzał wycelowaną w siebie strzelbę.

Harley?

Jak to?

Czy to Harley zabił Elego?

Czy to Harley zabił rodziców Arden?

Fury siłował się z tą nową informacją. Jego logiczny umysł chciał ją natychmiast odrzucić. Jak to możliwe? Przecież Harleya tu nie było tamtego dnia.

A może był?

Chryste.

Mógł tu być. To możliwe. Oczywiście, że możliwe.

Fury sięgnął po glocka, jednocześnie robiąc unik i przetaczając się bokiem.

Harley otworzył ogień.

Fury turlał się dalej.

Głęboki śnieg przeszkadzał, więził.

Szybka seria dźwięków zabrzmiała mu w uszach. Głęboki huk karabinka odbił się echem od budynków, syk kul trafiających w ziemię, w jego ciało; niektóre przebijały się przez niego na wylot, by wyjść z drugiej strony.

Daniel usłyszał strzały.

Pędem okrążył wzgórze. Łuna płonącego domu rozświetlała niebo, odbijając się od śniegu, który wciąż padał jak gruby koc.

Poczuł szarpnięcie podobne do porażenia prądem po dotknięciu elektrycznego pastucha. Dziwne odczucie, które zdarza się, kiedy mózg i ciało nie współpracują ze sobą i nie można się zorientować, co się właściwie stało.

Poczuł ciepło. Przez chwilę myślał, że zmoczył się w spodnie. Sięgnął w dół i dotknął nogi, uda...

Lepkie.

Krew.

Uniósł rękę i patrzył na nią w migotliwym świetle ognia.

Mnóstwo krwi.

Nie został ranny w walce. Nawet nie był celem. Żałosne. Po prostu żalosne.

Znał kiedyś gościa, który postrzelił się w nogę. Polował, jechał przez pastwisko, samochód podskoczył na wyboju i strzelba wypaliła. Facetowi było naprawdę głupio.

No pewnie.

Daniel osunął się na ziemię, zupełnie jakby się złożył.

Został trafiony zabłąkaną kulą, pewnie z jego własnej, pieprzonej strzelby.

Wkurzyło go to.

Czy cokolwiek kiedykolwiek poszło tak, jak miało pójść?

Mam mało czasu, powiedział sobie.

Krwawił jak cholera. Leżąc na plecach i czując na twarzy padający śnieg, rozpiął klamrę paska.

Jakimś cudem zdołał go wyciągnąć ze spodni jednym, długim ruchem.

Zupełnie jakby się przygotowywał, żeby sprać kogoś po tyłku.

Zaśmiał się, wsuwając pasek pod nogę, nad rozerwaną tętnicą. Na ślepo, mrużąc oczy zasypywane śniegiem, przesunął koniec paska przez klamrę i mocno pociągnął.

Koniec z polowaniem, powiedział sobie. Koniec z pieprzonym polowaniem.

- Harley! Nie!

Słowa wyrwały się z ust Arden, zanim zdała sobie sprawę, że je wypowiada. Myślała tylko o tym, by powstrzymać Harleya przed wpakowaniem jeszcze jednej kulki w Fury'ego, który leżał zwinięty na ziemi.

Harley obrócił się powoli i stanął twarzą do niej. Lufa strzelby poszła za nim.

Dwudziestkadwójka Daniela, Arden dobrze ją pamiętała. Półautomat z magazynkiem na dziesięć nabojów.

Odwróciła się, zrobiła unik i pobiegła.

Nigdy nie uciekaj prosto. Zawsze zygzakiem.

Broni wypaliła; huk odbił się echem od zabudowań i poniósł daleko. Po nim dało się słyszeć pstryk, pstryk, pstryk pustego magazynka.

Nie zwolniła.

Płomienie wystrzeliły z dachu domu, oświetlając jej drogę. Skierowała się do starego, drewnianego budynku, kiedyś pomalowanego na biało, teraz łuszczącego się i ukazującego

spodnią, czerwoną warstwę farby.

Rzeźnia.

Szopa była mała. Miała jakieś trzy na sześć metrów.

Arden rzuciła się ramieniem na drzwi. Zatrzęsły się i ustąpiły. Wpadła do środka, zatrzasnąjąc drzwi za sobą.

Nie było zamka.

Przycisnęła się do drzwi plecami, dysząc ciężko i głośno. Mózg pracował jak szalony, usiłując poskładać fakty.

Harley był zły na Elego. Jak człowiek z rozdwojeniem jaźni, wyciągał Frencha na wierzch, kiedy poirzebował kogoś bezwzględnego i żadnego krwi.

Może nawet nie pamięta, że zabił Elego. Może naprawdę jest przerażony tym, co się stało, ale teraz French przejął nad nimi całkowitą kontrolę. Z Harleya nic nie zostało.

Drzwi otworzyły się z łomotem. Arden poleciała do przodu i uderzyła o metalowy, rzeźnicki stół przytwierdzony do podłogi. Uderzenie odebrało jej dech.

I nagle Harley był tuż przy niej. Złapał ją za ramiona, rycząc jak zwierzę, i zaczął nią trząść.

Uderzyła go kolanem w krocze, kucnęła i wywinęła się, potykając się w ciemności. Po omacku wróciła do stołu. Klęcząc, otworzyła szufladę i zaczęła na ślepo grzebać w jej zawartości, dotykając zimnych, metalowych przedmiotów.

Harley złapał ją od tyłu. W tym momencie jej palce złapały coś, czego szukała.

Broń.

Elektryczny ogłuszacz.

Harley ją dusił.

Wywijala rękami w powietrzu, usiłując go uderzyć; w końcu trafiła go w głowę nieodbezpieczonym ogłuszaczem.

Wydał odgłos rannego byka i puścił ją.

Arden padła na podłogę, chwytając powietrze.

Spiesz się. Nie ma czasu na odzyskiwanie sił. Musisz się pośpieszyć.

Po ciemku przycisnęła ogłuszacz do brzucha i odciągnęła mechanizm odbezpieczający.

Harley pojawił się znikąd i przewrócił ją. Pchnął ją na ziemię, miażdżąc jej łopatki o cementową podłogę. Znow zaczął ją dusić, wciskając kciuki w tchawicę i odcinając dopływ powietrza.

Uniosła ogłuszacz.

Był ciężki. O wiele cięższy niż rewolwer czy karabinek.

Na zewnątrz rozległ się huk eksplozji.

Zbiornik z propanem.

Ziemia zadrżała, od wstrząsu zabrzęczały szyby. Płomienie oświetliły wnętrze rzeźni.

Arden zobaczyła nad sobą twarz Harleya, wykrzywioną z wściekłości. To nie był Harley. To Albert French.

Albert French. Człowiek we wnętrzu Harleya, który zabił jej matkę i ojca, Elego, a prawdopodobnie także Verę Thompson i tę rodzinę w Oklahomie.

Przycisnęła ogłuszacz do jego skroni.

To nie była wina Harleya. Nic nie było jego winą. Oni wszyscy byli ofiarami. Harris stworzył potwora, Frankensteina. Maszynę do zabijania, którą trzeba powstrzymać.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby mogła go znienawidzić...

Pociągnęła za spust.

Usłyszała, jak wyładowanie wchodzi w czaszkę. Głośne, obrzydliwe chrupnięcie kości, a potem cichy trzask.

Czas zrobił się dziwny.

W tej zatrzymanej chwili niedowierzania, przerażenia i bólu jej synapsy zaiskrzyły i uaktywniły ścieżki pamięci.

Zobaczyła, jak furia na jego twarzy zmienia się w zaskoczenie. Jakby mówił: co u licha? Potem, głosem zdumionego chłopca, powiedział:

- Arden...?

Znow był Harleyem. Przykro mi. Tak strasznie mi przykro.

Nie było wiele krwi. Tylko dziurka. Może nic mu nie będzie. Może przeżyje.

- Zrobiłem komuś krzywdę? - zapytał nieobecny, nieprzytomnym głosem, który powiedział jej, że śmierć jest już obok, już klepie go w ramię. - Chyba nie zrobiłem nikomu krzywdy, co?

Pokręciła głową, nie mogąc wydobyć słowa.

- Nie - wykrztusiła w końcu z oczami pełnymi łez.

- To przez ten d-dom - wyszeptał z przejęciem. - Jest zły.

- Wiem - odparła kojąco. — Wiem. Zwiotczał i osunął się.

Nie było już Alberta Frencha. Nie było Harleya.

Rozdział 47

Arden wyszła z rzeźni i zobaczyła Fury'ego, leżącego obok płonącego budynku. Ruszyła biegiem. Oczy i płuca paliły ją od trującego dymu, kiedy schyliła się nad nim i wsunęła mu ręce pod pachy. Tyłem odciągnęła go od domu, przez odsłoniętą trawę, w miejsce, gdzie śnieg nie stopniał od żaru.

Upadła na ziemię, skrzyżowała nogi po turecku i położyła sobie głowę Fury'ego na kolanach.

Strach, ból, poczucie straty, rozpacz.

Życie, śmierć, morderstwo.

Krew, śnieg i Nathan Fury.

Iskra pamięci zapłonęła w rzeźni, kiedy Arden pociągnęła za spust i patrzyła, jak życie uchodzi z oczu Harleya. Kiedy tak patrzyła na Fury'ego w zakrwawionym śniegu, czas rozciągnął się i przeszłość wróciła jak fala.

Przypomniała sobie, kim Fury był dla niej i jak bardzo go kochała. Jak bardzo bolało, kiedy zrezygnował z uczestnictwa w programie i ich drogi się rozeszły.

Francja nie była fikcją. Arden była tam naprawdę.

Z Furym.

Zwierziała się Harleyowi. Płakała na jego ramieniu, opowiadając mu historie o sobie i o Furym.

Harley był jak gąbka, wchłaniająca cudze osobowości, cudze losy. Jakimś cudem wszystkie wydarzenia mieszały się w jego głowie. Może naprawdę wierzył, że był z Arden we Francji.

W ostatniej chwili zaprosiła go do domu na święta, dowiedziawszy się, że będzie sam.

Uśmiechnął się, podziękował jej i powiedział, że może wpadnie.

Może.

Do domu ze Wzgórza jechała samochodem pełnym prezentów. Padał śnieg, ale ona nie zwracała uwagi na pogodę. Myślała o Furym. Czuła się zagubiona, tęskniła za nim. Żałowała, że sprawy potoczyły się w ten sposób.

Do domu rodziców dojechała wczesnym popołudniem. Weszła kuchennymi drzwiami z naręczem prezentów.

- Mamo? Tato?

W domu panowała cisza, słychać było tylko tykanie zegarów. Zrzuciła buty i położyła prezenty na kuchennym stole. Przeszła przez jadalnię i salon. Weszła na górę.

- Mamo?

Skreśliła do dużej sypialni i znalazła matkę leżącą w poprzek łóżka z podciętym gardłem.

Powietrze wypełniał zapach perfum i krwi.

Znajomy sposób działania. *Modus operandi* Alberta Frencha. Arden widziała już wcześniej identyczną scenkę - łącznie z ciałem ułożonym po przekątnej łóżka, z twarzą do drzwi, do góry nogami.

Jej matka była sina. Wykrwawiła się.

Choć było już za późno, Arden próbowała ją reanimować. W końcu zadzwoniła po pogotowie i wybiegła z domu.

Ojca znalazła w stodole. Wisiał na linie, na bloczku. Ciało obracało się powoli, jakby w ojcu tliło się jeszcze życie.

Zwolniła bloczek i ojciec upadł na zaśmiecone słomą klepisko.

Martwy.

Zrobił to Albert French, żeby dać jej nauczkę. Tak myślała tamtego dnia. Tak sądzili wszyscy.

Ale naprawdę to był Harley, mimowolny uczeń Frencha. Bódcem stał się wiejski dom, miejsce niezwykle podobne do lokalizacji faktycznych morderstw Frencha. Na krótką chwilę Harley stał się Frenchem.

Bardzo możliwe, że Harley cały czas był na farmie, że schował się i czekał na nią. Zamiast spróbować go znaleźć i schwytać, Arden uciekła. Do silosu na kukurydzę. Na samą górę, gdzie pozostała, dopóki nie zjawiała się policja. I dopóki nie wezwano FBI.

Wtedy zjawił się Fury.

Chwyliła go kurczowo zlodowaciałymi palcami. Nie była w stanie mówić ani wydać z siebie dźwięku. A on przytulił ją do piersi i płakał razem z nią.

Teraz jęknął i otworzył oczy.

Wszystko pamiętam - powiedziała. - Pamiętam Francję.

Zachłysnął się powietrzem, próbując coś powiedzieć.

- Była tam winnica - ciągnęła Arden. - I deszcz. R-rowery - dodał.

- I rowery. - Potrafiła opowiedzieć resztę tej historii. - Pojechaliliśmy na wycieczkę, ale zaczęło padać, więc szybko wróciliśmy do *chateau*.

- T-tak. Kochałam cię.

Zamrugał. Miał łzy w oczach. W tych swoich niebieskich, niebieskich oczach. Uniósł rękę.

To... jeszcze nie... koniec. Patrzanie, jak próbuje mówić, sprawiało jej ból.

- Wiem - powiedziała. To Harris.

Ujęła jego rękę w obie dłonie.

- Zajmę się tym.

Pociągnęła suwak, rozpinając mu przesiąkniętą krwią kurtkę. Był ranny w ramię, w pierś, w brzuch. Nie wiedziała nawet, od czego zacząć.

- Zostaw. - Z trudem chwycił płytki oddech.

Daniel? Arden była w stanie wypowiedzieć tylko jego imię, ale Fury zrozumiał.

- P-przykro mi. Nie.

Nie, nie, nie. Szloch rozpaczy wyrwał się z jej gardła.

Chciała, by to wszystko się już skończyło, wyłączyć to, jak film w telewizorze. Ale już kiedyś pragnęła tego samego i proszą, do czego ją to doprowadziło.

Ona i Fury rozmawiali kiedyś o tym, że mogą zginąć na służbie, bo taka myśl zawsze tkwi w głowie agenta. Fury powiedział, że woli odejść tak niż jako niedołączony, zdzieciniały starzec. Oczy mu się zaszklily, straciły kontakt, jakby patrzyły na coś za nią, w powietrzu, tuż nad jej ramieniem.

- Ludzie-cienie przyszli - szepnął, niemal ze śmiechem.

- Nie. - Dolna warga Arden drżała. - Nieprawda.

Ale to była prawda. Nie wiadomo, jakim cudem Fury jeszcze żył. Ale nie chciała, by mówił, że umiera. Powiedzenie tego było zaproszeniem dla śmierci, otwarciem drzwi. Sprawiało, że śmierć stawała się realna, a ona nie miała czasu oswoić się z tą myślą.

Dopiero co go odzyskała. Dopiero co przypomniała go sobie.

Nie miała dość czasu. Potrzebowała go więcej.

Zamknął oczy.

Zaciągnęła poły kurtki sztywnymi, oblepionymi zastygłą krwią palcami. Nie zostawiaj mnie tutaj. Kropla wody spadła mu na twarz. Przez chwilę Arden wydawało się, że zaczął padać deszcz. W końcu zrozumiała, że płacze. Zamrugła i otarła łzy zakrwawioną ręką.

Może ona też umrze. Wtedy to się kończy. Kompletne i totalne wybielenie. To jedyny sposób, by powstrzymać szaleństwo. Zresztą, zatoczyła krąg. Nie był to dobry krąg, ale kompletny. Krąg, który miał początek, środek i koniec.

Ale sprawy nigdy nie toczą się tak, jak się człowiek spodziewa.

W ciszę wdarły się dźwięki.

Głęboki, basowy warkot śnieżnych pługów. Za nimi syreny. Daleko, ale coraz bliżej.

Pierwszy policjant, który dotarł na miejsce, znalazł ją siedzącą w śniegu, ubraną tylko w dżinsy i rozwleczony sweter, z włosami zamrożonymi i pokrytymi szronem. Tuliła mężczyznę, zapatrzona w przestrzeń.

Miała krew na twarzy. Krew na rękach.

Tyle krwi.

Funkcjonariusz Bennett przyjrzał się mężczyźnie. Martwy?

Bennett był młody. Widział w życiu tylko dwa trupy i nigdy nie oglądał na własne oczy ofiary morderstwa, oprócz tych na filmach, które pokazywali im w akademii policyjnej.

- Tu jest jeszcze jeden! - krzyknął ktoś. - Rana postrzałowa! Ktoś zauważył dym i zadzwonił. Pożar domu. Funkcjonariusz Bennett schylił się, opierając ręce na udach.

- Jak się pani nazywa? - zapytał łagodnie.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na niego nieprzytomnymi oczami.

- A ofiara? - zapytał. - Kim jest ofiara?

To mój partner. - Słowa wypowiedziane mechanicznym głosem.

- Kto to zrobił? - Sięgnął po pistolet, nagle przypominając sobie, że sprawca wciąż może być w pobliżu.

Dłonią oblepioną zaschniętą krwią kobieta wskazała szopę.

- Tam. Nie żyje.

Burza śnieżna skończyła się nagle. Wyjrzało słońce, ostre i jaskrawe. W nagich gałęziach pobliskich drzew odezwały się ptaki.

Funkcjonariuszowi Bennettowi nie podobało się to wszystko. Ani trochę. Ale pomyślał, jak to będzie, kiedy po wszystkim pójdzie do kawiarni. Kurczę, alez będzie miał historię do opowiadania chłopakom. Będą pić mu z ust każde jego słowo. I to nie tylko dziś po południu. To historia, która wytrzyma wiele dni, tygodni. Do licha, pewnie będzie ją opowiadał jeszcze wnu-
kom. A siostra? Wyprowadziła się do Seattle i lubiła go wkurzać, mówiąc, że w hrabstwie Lake nigdy nie dzieje się nic ciekawego.

No i co?

Przyjechało pogotowie. Delikatnie odsunęli kobietę od mężczyzny i zajęli się nim z ponurymi minami.

- Brak pulsu - powiedział sanitariusz. - Brak akcji serca.

- Tu jest jeszcze jedno ciało! - krzyknął ktoś z daleka. - Ten żyje! Potrwało to chwilę, ale słowa w końcu dotarły do kobiety. Oderwała oczy

od mężczyzny na ziemi. Odwróciła się i ruszyła sztywno przez śnieg.

Bennett poszedł za nią.

Zaczęła biec, coraz szybciej i szybciej, aż ledwo mógł za nią nadążyć. Pędziła w kierunku krzyku, gdzie zaczęli się już zbierać robotnicy. Dwóch mężczyzn szło na przelaj po stoku. Nieśli nosze. Za nimi szło jeszcze dwóch z zestawami pierwszej pomocy.

- Daniel! krzyknęła kobieta.

Daniel usłyszał, że ktoś woła jego imię, ale jakoś nie był w stanie otworzyć oczu. i nagle Arden była przy nim.

- ...przepust zdołał wychrypieć. - Franny. W grzbiecie dłoni tkwiła igła kroplówki.

Skąd się tam wzięła? Jakimś cudem znalazł się na noszach. Obrócił głowę. Czy to dom? Ta dymiąca, śmierdząca kupa węgla? Cieszył się, że dom przestał istnieć. Powinien przestać istnieć. Arden szła obok niego; jej twarz co chwilę znikwała mu z pola widzenia. - Franny żyje - powiedziała.

Nagle zachciało mu się płakać. No proszę - nareszcie dobra wiadomość, a on ma ochotę ryczeć jak dziecko.

Rozdział 48

Arden siedziała na ganku górskiego domku w Appalalach, w Wirginii, zaledwie kilka godzin jazdy od Quantico, gdzie znów mieszkała. Do tego domku jeździła kiedyś z Furym. To było miejsce pociechy. Schronienie.

Był jeden z tych ciepłych, wiosennych dni, kiedy w słońcu ogarnia człowieka senność, a w cieniu się marznie. Arden czuła, że zaczyna drzemać, kiedy przytłumione głosy sprowadziły ją z powrotem na ziemię. Uniosła oczy i zobaczyła Daniela i Franny, idących spacerem w jej stronę. Daniel pozbierał się fizycznie po ciężkich przeżyciach. Na szczęście zdołali mu uratować nogę. Franny trzymała go pod ramię. W dłoni ścisnęła bukiet polnych kwiatów.

Krucze włosy były nażelowane i modnie nastroszone. Miała na sobie długą, kwiecistą spódnicę i wojskowe buty. Blizna na szyi była gładka, czerwona i wypukła. Widać było kropki w miejscu złożonych szwów.

Farmę wystawiono na sprzedaż. To bolesne.

Zostawianie przeszłości za sobą zawsze bolało. Powinno boleć.

Ziemię kupiło młode małżeństwo i ich rodzice za mniej niż jedna trzecia wartości.

Ludzie dziwnie podchodzili do takich spraw. Szczególnie farmerzy, którzy rychłi do życia zależeli w pięćdziesięciu procentach od umiejętności a w pozostałych pięćdziesięciu od szczęścia. Nie wtyka się nosa w sprawy, których się nie rozumie. Nie wiesz się podków do góry nogami i nie kupuje ziemi, która może być przeklęta.

Nawet na normalnej ziemi i przy dobrej pogodzie było wystarczająco ciężko zarobić na życie. Farmerzy uprawiali ziemię, bo musieli, bo nie znali innego sposobu przetrwania i nie chcieli go poznać.

Za pieniądze ze sprzedaży Daniel mógł pójść do college'u. Przyjęto go na Uniwersytet George'a Masona. Franny też wracała do szkoły. Będą normalną, studencką parą. Nikt nie będzie wiedział, skąd u Daniela lekkie utykanie ani jak Franny zarobiła na swoją bliznę.

Ludzie-cienie wciąż byli w pobliżu.

I zawsze będą, bo śmierć zawsze czai się za rogiem. Rzeczywistość to tylko sposób percepcji, inny dla każdego. Nie była to nowa koncepcja, ale mimo to niepokojąca.

Bywały chwile, że umysł Arden wypadał z toru; wyobrażała sobie wtedy, że nic nie jest rzeczywiste, że leży w komorze pozbawiania impulsów zmysłowych, karmiona faktami przez Harrisa. Ale otrząsała się z tego.

Prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo, dlaczego zapomniała o Fu-rym. Może dlatego, że był na farmie w dniu śmierci jej rodziców i znalazł ją w silosie. A może dlatego, że starała się zapomnieć o wszystkim, co bolesne.

Czy Harris tylko podsunął jej placebo, wmawiając, że wybielanie pozwoli jej zapomnieć to, co chciała zapomnieć? Czy to jej pragnienie, własna potrzeba odcięcia się od tego, co się stało, wystarczyła, by zamknąć drzwi pamięci?

Przeprowadzono rządowe dochodzenie. Arden zeznawała przeciwko Harrisowi, który w końcu przyznał, że miał pewne problemy z programem OZ i że wsadził Harleya do komory, by go „przeprogramować”.

Test DNA powiązał Harleya z morderstwem Very Thompson i sprawą z Oklahomy. Nigdy nie znaleziono zadowalającego wyjaśnienia sprawy śmierci Noaha ani tego, jak krew Very znalazła się na jego ubraniu. Arden miała teorię, że biegł po korytarzach i natknął się na scenę morderstwa. Będąc w stanie umysłowego rozchwiania, przekonał sam siebie, że zabił staruszkę. Nie mógł żyć z tą świadomością i skoczył.

Harris prawdopodobnie skończy z wyrokiem paru lat -jak dla Arden był to zaledwie klaps po łapach.

Odezwała się komórka. Miała ją dopiero od tygodnia i wciąż nie od razu reagowała na dzwonek. Dzwonił wicedyrektor Ośrodka Badania Zbrodni o Znamionach Szczególnego Okrucieństwa.

- Tylko się upewniam - powiedział.

Upewniał się, czy Arden na pewno przyjedzie. Będę u was jutro -uspokoila go.

Świetnie. - Słyszała uśmiech w jego głosie. - Mam dla ciebie interesującą sprawę, jeśli ją zechcesz. Jeśli jesteś gotowa. Potrójne morderstwo w Georgii.

Wracała do pracy.

Nie mogła już niczego naprawić, ale mogła wykorzystać swoją wiedzę -choć skażoną i źle zdobytą - by pomagać innym. Wokół jej powrotu panowała nerwowa atmosfera. To zrozumiałe.

- Gdybyś wołała zacząć od czegoś łatwiejszego powiedział wicedyrektor - mogę to załatwić.

Sprawa z Georgii będzie w sam raz.

Pożegnała się z nim i rozłączyła.

Czasami śniła, że leży w komorze. I czasem miewała mętlik w głowie, myślała, że zabiła Elego i rodziców. Potem musiała sobie mówić, że nie, że to Harley. Nie - to tylko obiecujący eksperyment, który się nie udał.

Według niej była jeszcze nadzieja dla programu OZ. We właściwych rękach, z ograniczeniami i pod staranną obserwacją. Z silniejszymi ochotnikami.

Łagodniejsze, słabsze osobowości nie mogły się mierzyć z Frenchem. French zawładnął Harleym i z czasem zawładnąłby Noahem.

- Robi się późno - powiedziała.

Wszyscy przyjechali tutaj na weekend, ale teraz Daniel i Franny chcieli już wracać do swojego mieszkania w Fairfax w Wirginii. Ktoś mógłby powiedzieć, że zbyt szybko zamieszkali razem, ale czasami w najbardziej złowrogich okolicznościach między ludźmi tworzą się silne więzy. Przeżyli razem wiele lat w ciągu kilku godzin.

Wstała i zeszła z ganku.

Jej wspomnienia z poprzednich wizyt w domku były niewyraźne. Przypominała sobie piknik nad strumieniem, z winem i chlebem. Pamiętała, jak kochała się z Furem na dworze, a potem w domu, przy kominku.

Ale czy te wspomnienia były prawdziwe? Czy te wydarzenia naprawdę miały miejsce?

Może nie miało to znaczenia. Najważniejsze, że to były jej wspomnienia. I tylko to się liczyło.

Ktoś jej kiedyś powiedział: jesteś tym, co pamiętasz.

Za plecami drzwi domku otworzyły się - wyszedł z nich Nathan Fury. Znowu o mnie zapomniałaś?

Wciąż kurował się z ran i dochodził do siebie po czterech operacjach. Ale żył.
Uśmiechnęła się, a w końcu roześmiała głośno.
Czasami serca przestawały bić. Czasami zaczynały bić na nowo.
A czasami obcy człowiek tak naprawdę nie był obcy, okazywał się ukochanym, którego
wymazano z twojego mózgu.
Było o czym myśleć.